

Małgorzata Lisieńska

BAJKI KRASNOLUDZKIE



Marcinowi, bo we mnie uwierzył

Spis treści

Robójnicy
Syndrom Śnieżki
Złoty smok z Itru
Syndrom Kopciuszka
Prawdziwa historia kryształowego pantofelka
Syreni śpiew
Ziarno
Werdeański czajniczek
Kto nie słuca ojca, matki...
Kanikuła w Zielonych Borach
Obudzić królowę

Robójnicy

Panny z dobrego domu nie klną, nie piją, nie puszczają się i nie szlajają nocami po szemranych szynkach. Beneria rzadko żałowała, że nie jest panną z dobrego domu. Generalnie lubiła swoje życie. Przygody, szaleństwo i zmienność. Lubiła niepewność jutra i to, że niczego nigdy nie planowała. Nie musiała się martwić o przyszłość, a świadomość tego, co nadejdzie, nie spędzała jej snu z powiek. Zawsze trafiły się jakiś dach nad głową, jakaś przyjazna karczma i nieszpety fundator.

Taaa... Beneria rzadko żałowała, że nie jest panną z dobrego domu. Tego ranka jednak, gdy obudziła się w śmierdzącej stajni okryta brudną derką, z koszmarным kacem, kompletnie nie pamiętając, jak się tam znalazła... Tego ranka, nim jeszcze otworzyła oczy, zatęskniła do bycia córką szlacheckiej rodziny, z wpojonymi nudnymi zasadami. Miała niejasne wrażenie, że wtedy jakiś szalony królik nie buszowałby w jej trzewiach, a odzienie nie cuchnęłoby... Właśnie, co to za straszliwy odór? Niechętnie, gdyż czuła hordę doboiszów wygrywających marsza tuż pod obolałą czaszką, uniosła powieki.

Wielkie ciemne oczy patrzyły na nią z zainteresowaniem. Chrapy siwka drgnęły lekko, jakby ze zdziwieniem wyczuwając obecność gościa. Beneria krzyknęła, odsuwając się od zwierzęcia. Uderzyła przy tym w cieką drewnianą ściankę rozdzielającą boksy. Koń parsknął cicho i pochylił łeb.

– Fúj! Wynocha! A sio! – Krasnoludka nerwowo przetarła rękawem oblizany przez czworonoga policzek. – Czy ja, do jasnej cholery, cmokam cię nieproszona? Dobra, dobra, wiem, że wlałam ci do łóżka, ale to jeszcze nie powód do takiej poufałości! No, poszedł! Wszystkie chłopcy takie same! Bez względu na gatunek! Jesteś mężczyzną, co? – Przekręciła głowę, żeby się upewnić. – Jasne, że jesteś. Żadna baba nie wciskałaby się z czułościami nieproszona. Poszedł wreszcie!

Koń jednak nie poszedł. Wręcz przeciwnie, z lubością przytulił pysk do szopy rudych włosów dziewczyny. Beneria przewróciła oczyma, odsunęła gniewnie łeb zwierzęcia i wstała. Świat zawirował w wesołym tańcu, przypominając pannie o ilości miodu wypitego poprzedniego wieczoru. Jęknęła cichuteńko, wspierając się o ściankę. Deski ugięły się lekko. Przez nieprawdopodobnie długą chwilę wspomniany miodzik podróżował to w górę, to w dół krasnoludzkich trzewi i wreszcie postanowił nie opuszczać tychże. Beneria odetchnęła głęboko.

– No i czego tak się wgapia, ha? – rzuciła do ogiera. – Baby z kociokwikiem nie widział?

Koń zarżał, trącając ramię kobiety.

– Jasne, jasne. Pewnikiem nie zaglądamy do ciebie za często. Nic to, przyjacielu. – Ulga złagodziła nastawienie Benerii, więc dziewczyna z namiastką czułości poklepała biały pysk. – Się będę zbierać. Miło było, chociaż śmierdzi w tym twoim wyrku... gorzej niż u jednej krasuli. Bywaj, chłopcze. – Przesłała mu całusa i ruszyła do wyjścia.

Nie zrobiła nawet trzech kroków, gdy zobaczyła dwie wchodzące postaci. Cofnęła się błyskawicznie. Nigdy nie wiadomo, kogo niosą złe demony. Schowana za potężnym filarem, przyglądała się idącym. Wyższa postać wydała jej się znajoma. Mglisto znajoma, ale zawsze. Ognistoczerwone włosy niższej z całą pewnością nie były naturalne i aż dziw, że tak ściśnięty gorset pozwalał kobiecie oddychać.

– Jesteś pewna? – Głos wyższej osoby mimo męskiego odzienia oraz szczupłej, pozbawionej krągłości sylwetki i krótkich czarnych włosów zdecydowanie należał do niewiasty. A to niespodzianka! Beneria wgapiła się w kobiety i nadstawiła uszu.

– Przecież wiesz, że oni lubią się chwalić – odpowiedziała niższa. – Zwłaszcza kiedy już skończą i...

– Daruj mi szczegóły, Terise. Chcę tylko wiedzieć, czy jesteś pewna.

– Kapitan powiedział, że pojedą Zielonym Jarem, bo tam nigdy nie spotkali zbójców, a i trudno się ponoć tam na kogoś zacząć. Całą kwartalną daninę od jaśnie wielmożnego rządcy będą przewozić. Mówił, że z pięćset sztuk złota. Wyobrażasz sobie taki majątek? Można by pół hrabstwa za to kupić... a może i całe. Miałabym taki duży dom, nad morzem... – rozmarzyła się dziewczyna.

Wyższa pochyliła się i położyła dłonie na ramionach czerwonowłosej.

– Powinnaś przystać do nas, Terise – powiedziała cicho.

Niższa roześmiała się perliście.

– Do lasu? Do wilgotnych, zimnych jaskini? I co ja bym tam robiła? Och, nie patrz tak na mnie, Ali. To nie jest takie straszne. Gospodyni mnie lubi. Pozwala mi wybierać klientów. Mam dom, stawę, mogę odłożyć trochę talarów na gorsze czasy... Już mi się na chatkę z ogródkiem prawie, prawie uzbierało. A klientów wybieram samych miłych i niebrzydkich. Sprawiam im przyjemność, ale oni mi też nie żałują. No i zbieram dla was informacje. Kto by wam donosił, jakbym z tobą poszła?

Czarnowłosa westchnęła w odpowiedzi i pokręciła w milczeniu głową.

– Mam taką prośbę... – Terise zawahała się.

– Mów.

– Ten kapitan... On taki miłusi jest. Zawsze był dla mnie dobry. Płacił z naddatkiem, a w pościeli...

– Do sedna, proszę.

– Nie zrób mu krzywdy, dobrze?

– Zadzwasz mnie, Terise. – Ali uśmiechnęła się ponuro.

– Proszę.

– Dobrze. Powiem wszystkim, że kapitana nie wolno uszkodzić.

Czerwonowłosa rozpromieniła się.

– Dziękuję. Bardzo dziękuję. To ja już pójdę. Lepiej żeby nas nikt nie przyuważył.

Zbójniczka potaknęła. Rozeszły się błyskawicznie, każda w inną stronę.

Beneria stała jeszcze przez chwilę, patrząc za niższą z kobiet, i zachodziła w głowę, jak się robi takie włosy. Już miała wyjść z ukrycia, gdy zauważyła ruch u wejścia do stajni. Naszła ją myśl, że to zdumiewająco ruchliwe miejsce jak na tak wczesną porę dnia.

Chudy krasnolud wychynął z ciemnej wnęki. Rozejrzał się nerwowo i wybiegł z budynku.

Siwek za plecami dziewczyny zarżał cicho. Westchnęła i zerknęła na konia.

– Nie moja sprawa, chłopcze – szepnęła. – Moją sprawą jest wysupłać zza paska kilka kwartników, znaleźć przyzwoitą gospodę i najeść się do syta. Bywaj.

Głośne parsknięcie zatrzymało ją przed wyjściem. Odwróciła się ponownie.

– No, czego?

Ciemne oczy wgapiały się w oblicze kobiety jak żywy wyrzut sumienia.

– Oż, daj spokój! Też się podkuty święty znalazł! – zezłościła się krasnoludka. – I co się mnie pchać między rządcę i zbójców? Nie ślep tak! I bez tego wiem, że z rządcy skurwiel jakich mało i że ten kurdupel, co dziewczuchy podsłuchiwał, z ciepłą dupcią poleciał do jaśnie wielmożnego, żeby mu donieść. Pewnie zasadzkę wyszykują, a tę rudą końmi ciągać będą po placu, coby innych od stawiania się władzy odstraszyć. – Zamyśliła się na moment. – No wiem, że trochę szkoda. Żeby tak włosy wymalować... Ciekawe, jak to zrobiła, no nie? Ty wiesz? Może i masz rację. Pójdę i zapytam.

Siwek poruszył łbem, zupełnie jakby przytakiwał. Rozbawiona Beneria skinęła głową.

– Miło cię było poznać, chłopcze. A i za gościnę dzięki. Jakbyś kiedyś w moje okolice się zagalopował, odwdzięczę się. Bywaj.

To rzekłszy, ruszyła w ślad za czerwonowłosą.

Zamtuz Pod Jurnym Jeleniem – taaa, się wykazał poczuciem humoru ten, co tak uroczo go nazwał – był niskim, niewielkim budynkiem stojącym na skraju miasta. Nie miał najlepszej opinii, ale najgorszej też nie. Ot, przybytek, który w każdym mieście wykлинаły porządne kobiety, a bez którego nie mogli się obyć ich mężowie. Beneria kolejny raz pożałowała, że przez dyskusję z wierzchowcem nie zdążyła dogonić ladacznicy. Nie chciała wrzeszczeć za dziewczyną, żeby nie zwrócić na siebie uwagi mieszkańców, przez co zobaczyła jedynie krwiste loki znikające za drzwiami lupanaru. Zatrzymała się więc krasnoludka z dziesięć kroków przed przybytkiem, walcząc z głębokim pragnieniem, by odwrócić się i odejść.

Och, nie żeby Benerię gorszyły cichodajki albo domy schadzek napełniały obrzydzeniem. Co to to nie. Każda panna – jak sądziła krasnoludka – miała prawo do własnej dupy, więc skoro chce nią handlować, nic nikomu do tego... Dopóki, rzecz jasna, handel jest dobrowolny, a należność właściwa i trafia do świadczącej usługi, a nie do jakiegoś łajdaka czerpiącego zyski z nierządu tejże. Z tego zaś, co Benerii było wiadomo, w Jurnym rządziła uczciwa gospodyni, pozwalająca dziewczętom zatrzymywać znakomitą część zarobku.

Co innego jednak nie gardzić ladacznicami, a co innego w biały dzień zastukać w zamtuzowe drzwi.

– Cholera, było spać dłużej. Nic bym nie wiedziała, a ten durny pchlarz sumienia by mi nie podrażnił – wyszeptła do siebie, po czym z ociąganiem podeszła do wejścia. Stuknęła miedzianą kołatką i wzdrygnęła się na dźwięk uderzenia. Zdało się jej naraz, że całe miasto słyszy ten brzdęk i ino chwila, a wszyscy wychyną z domów, by się pukającej przyjrzeć. Podenerwowana uderzyła kolejny raz i jeszcze jeden.

– Dyc idę! – wrzasnął potężny stróż, otwierając drzwi. – Wiem, że człeka może przypilić... – Urwał, kiedy zobaczył, kto stukał. Zamrugął zaskoczony. – A panna czego tu? – Obejrzał dziewczynę, dokonując błyskawicznej oceny. – Gospodyni będzie rada. Takiej jeszcze u nas nie było.

Beneria cofnęła się o krok. Zmarszczyła brwi, przetrawiając słowa. Naraz pojęła insynuację. Złapała się pod boki i ryknęła wściekle:

– I, cholera, nie będzie! Nie stać was na mnie! – Postąpiła krok w kierunku mężczyzny, a miała coś takiego w czarnych oczach, że ten, choć niemal dwukrotnie większy od krasnoludki, cofnął się gwałtownie. – Wybij to sobie z tej pustej, wielkiej, łysej łepetyny! Żadna kobieta z mojego rodu nie musiała na życie na plecach zarabiać! I NIE! – wrzasnęła, kiedy spróbował otworzyć usta. – Na kolanach też nie! Ze dwie złodziejki były! I owszem! I szcycę się, że były najlepszymi złodziejkami w Krainie!

Kradły w najlepszych domach! I w pałacach! Żadna dupy za talary nie dawała i ja, kurwa, pierwsza nie będę! Zrozumiałeś?!

– Taaa, ja i z pół dzielnicy – wymamrotał wciąż nieco wystraszony wielkolud.

Dziewczyna rozejrzała się nerwowo. No tak, zapomniała.

– Wpuść mnie, do jasnej cholery!

– Ale po co? Skoro nie do roboty...

– Terise zawołaj. Nie, nie teraz! Najpierw wpuść mnie do środka! No już! – Odepchnęła wielkoluda i weszła pod jego ramieniem do lupanaru.

Drzwi zamknęły się za nimi. Mężczyzna, zaskakująco szybko jak na swoją posturę, zniknął z pola widzenia Benerii. Stała więc samotnie, przytłoczona dusznym zapachem perfum i wszechobecną ciszą. Znać, że mieszkanki domu uciech odpoczywały po pracy. Jako że była osobą bardzo ciekawską, krasnoludka rozglądała się wokoło. Nie wiadomo przecież, czy jeszcze kiedykolwiek dane jej będzie oglądać lupanar od środka.

Korytarz był wąski i raczej mroczny. Ściany zdobiły ciężkie purpurowe draperie, haftowane złotą nitką w przedziwne esy-floresy migoczące w blasku świec. Zdumiewająco bogate ozdoby jak na zamtuz w niedużym mieście na pograniczu. Krasnoludka szybko wyceniła je w myślach. Tak, zdecydowanie zdumiewające.

Rozmyślania Benerii przerwała czerwonowłosa.

– Otrum mówił, że mnie szukacie.

– Szukam, nie szukam. – Zapytana wzruszyła ramionami. – Jakby nie jeden durny koń i miód, co się wracał, pewnie by mnie tu nie było.

– Nie rozumiem.

– I nie musisz. Zbieraj się. Czas goni. To szkaradne chuchro pewnie już do rządcy dotarło. Ino patrzeć, jak straż tu wpadnie.

– Co?!

– Oj, widzę, że tutejsza gospodyni nie szuka mądrych dupodajek. – Krasnoludka westchnęła. – Podśluchałam twoje ze zbójniczką pogaduszki. Nie bój się. – Machnęła ręką, kiedy dziewczyna się szarpnęła. – Przynajmniej nie mnie. Podśluchiwał was też taki jeden chudy i pryszczaty... Poznałam go, bom ze dwa dni temu tego cholernika na jaśnie wielmożnego dworze widziałam. Oj, nie przynosi chluby naszemu gatunkowi, oj nie. Franca taka, że aż strach. Nie dość, że szpetniejszy niż troll, to jeszcze śliski jak piskorz. Jakeście się tylko rozstały, poleciał rządcy donieść. Rozumiesz?

– Niby dlaczego mam ci wierzyć?

Beneria przewróciła oczami.

– Ano nie musisz. Możesz siedzieć i czekać, aż straż w drzwi zastuka. Ino jak znam tego waszego rządcę, to na szybką śmierć bym na twoim miejscu nie liczyła.

Terise pobladła gwałtownie.

– No, widzę, że i ty trochę pana szlachetnego znasz. To jak będzie? Idziemy rozbójniczki ostrzec?

Czerwonowłosa stała, niepewnie wpatrując się w gościa. I zapewne nie ruszyłaby się jeszcze przez jakiś czas, gdyby gwałtowne uderzenia w zamtużowe odrzwia nie przerwały ciszy.

– Otwierać! – rozległ się nieco przytłumiony wrzask.

– O w dupę – zakląła Beneria. – Macie tylne wyjście? Rusz no się, dziewczyno! Wyjście?!

Ladacznica, jakby naraz się obudziła, pokiwała szybko głową.

– Chodź. – Odwróciła się i pobiegła korytarzem. Krasnoludka z niejakim trudem podążyła za nią.

Zbiegły po schodach do piwnicy. Terise zarygłowała za nimi wejście, a potem odsunęła stół i pociągnęła dźwignię schowaną pomiędzy koszami z jedzeniem. Cyknęła zapadka, zajęczał mechanizm, ściana drgnęła i, wzniecając tumany kurzu, otwarły się ukryte drzwi. Czerwonowłosa sięgnęła po kaganek, po czym bez słowa wskazała drogę.

Potężny Otrum właśnie wpuszczał straż, gdy ukryte wejście w piwnicy ponownie się zamknęło, pograżając obie uciekinierki w półmroku rozświetlanym drżącym płomykiem kaganka.

* * *

Eloj Gurtan, z łaski najjaśniejszego Króla Królów rządcą pogranicza, z prawdziwą przyjemnością przyglądał się nowej zabawce. Długonogie elfię stało wyprostowane z uniesioną głową, chociaż na granicy czarnych tęczówek migotał strach. Jedynym odzieniem chłopca były rozpuszczone, sięgające bioder włosy. Dłonie młodzieńca związane za plecami, więc w żaden sposób nie mógł osłonić swej nagości.

Rządcą uśmiechał się, sunąc wzrokiem po szczupłym ciele. Dobrze wydane pięćdziesiąt talarów. Bardzo dobrze. Świetna budowa, przyjemna buźka i jeszcze ten bunt w oczach. Łamanie ich woli zawsze jest najprzyjemniejsze. Tętno Eloja przyspieszyło, oddech się spłycił. Przymknął powieki. Jeszcze nie teraz. Powoli... Powoli.

Odetchnął głęboko. Cztery lata temu, kiedy niczym kundel z podkulonym ogonem opuszczał stolicę Krainy, w najśmielszych snach nie marzył, że zdoła osiągnąć tak

wiele. Pakował się pospiesznie, a z całego należnego mu majątku zdołał zabrać jedynie dwa kufry złota i czterech służących. Wtedy był nikiem, a zła sława ciągnęła się za nim jak fetor zgnilizny. I dlaczego? Bo zabawił się z elfem? Jakby toto miało rozum, duszę czy co tam ludzi odróżnia od zwierząt. Musiał przebyć cały kraj, ukrywać się miesiącami i dotrzeć aż na pogranicze, żeby się uwolnić od smrodu potępienia. Ówczesny rządcą przyjął zbiega z otwartymi ramionami, wspominając z rozrzewnieniem ojca Eloja, którego poznał na syrellskim uniwersytecie. Opowiadał o przygodach, jakie przeżył ze starym Gurtanem. Małżonka rządcy, śliczna elfia księżniczka, uśmiechała się z czułością do męża i sympatią do młodego gościa. Nawet młodziutka córka szlchetnych gospodarzy zerkała przyjaźnie spod opuszczonych rzęs. Eloj był im bardzo wdzięczny. Okazywał ową wdzięczność aż do chwili, gdy katowski toporek skrócił ojcowskiego przyjaciela o głowę. Nawet wtedy głośno powtarzał, że nie może uwierzyć w zdradę szlchetnego Eneo.

Nie, oczywiście, że nikt się nie domyślał, iż dowody tejże zdrady sfabrykował i przesłał Królowi Królów skromny i elegancki młodzieniec, którego potem sam władca namaścił na nowego rządcę. Nikomu też do głowy nie przyszło, że tenże młodzieniec bił i gwałcił wdowę po poprzednim rządcy, aż któryś strażnik nie upilnował nieszczęsnej kobiety. Pogranicze uznało, że księżniczka powiesiła się z rozpacz po śmierci męża i zaginięciu jedynej córki. Poplecznicy nowego pana się o to postarali.

Eloj wstał z ławy i niespiesznie podszedł do zabawki. W zamyśleniu wyciągnął rękę, by przesunąć pieśczośliwie po policzku elfa. Cztery lata. Tylko cztery lata, a tak wiele zmian. Pieniądze, szacunek i władza. Oszalałająca moc decydowania o życiu i śmierci. Tu i teraz był równy bogom.

Uśmiechnął się z czułością, bardziej do własnych myśli niż do nowej zabawki. Nagle zamachnął się i uderzył. Cios zachwiał chłopcem. Na bladej skórze wykwitł rumieniec. Podniecony rządcą zamachnął się ponownie.

Elf uskoczył. Padł na podłogę, przetoczył się i błyskawicznie podkurczył nogi, przesuując związane ręce do przodu. Natychmiast, prostując kończyny, kopnięciem pozbawił Eloja równowagi. Kiedy mężczyzna padł z krzykiem, chłopiec doskoczył do niego. Zarzucił na szyję oprawcy skrępowane nadgarstki i zaczął dusić. Wrzask rządcy zmienił się w charkot. Sznur werznął się w skórę, a kolana elfa wbiły w plecy...

Eloj ledwie usłyszał otwierające się drzwi i biegnącą straż. Sznur popuścił równie nagle, jak został zadzierzgnięty. Przez chwilę rządcą siedział nadal przerażony,

oddychając z trudem. Dopiero kiedy powiększająca się kałuża krwi dotarła do nogawki eleganckich spodni, Eloj poderwał się z podłogi.

– Który?! – wycharczał wściekle, wpatrując się to w rozplątane zwłoki elfiego chłopca, to w trzech strażników. Odpowiedź była prosta. Tylko jeden z mężczyzn trzymał zakrwawiony miecz. Rządca podszedł do sprawcy. Trzasnął go w twarz i wyszeptał: – Pięćdziesiąt talarów!

– On by was udusił, panie – próbował się tłumaczyć żołnierz.

– Pięćdziesiąt talarów – wycharczał ponownie Eloj. – Tyle mi zwrócisz. Chyba że przyprowadzisz mi następnego, takiego jak ten. Albo skończysz jak on. Rozumiesz?

Strażnik skinął głową.

– Wynoście się! I zabierzcie to ścierwo! – warknął rządca, wychodząc z sypialni.

Dopiero za drzwiami, gdy nikt nie widział, Eloj Gurtan, postrach pogranicza, księżę wśród wybrańców, pan i władca, odpowiadający jedynie przed Królem Królów, zwymiotował ze strachu.

* * *

Nieliczne słoneczne promyki, którym udało się przeniknąć przez liściasty dach lasu, tańczyły na powierzchni strumyka. Muskały je złocistą jasnością, zatapiając świetliste paluszki w granacie wody. Kobieta klęknęła przy brzegu i pochyliła się. Ledwie poznała swoje odbicie. Przesunęła powoli ręką po krótkich włosach, a potem po odkrytym karku. Trzy lata temu nikt by nie uwierzył, że Ali Ohru Eneo może włożyć męskie odzienie i tłuc się po lasach, napadając na królewskie karawany. Zaśmiała się gorzko. Zmąciła powierzchnię wody i ochlapawszy twarz, wstała. Nikt. Nikt by nie uwierzył. Tak jak nikt nie poznałby jej dzisiaj. Cóż, życie bywa dziwne. I zmienne.

Las szumiał cicho. Słyszała każdy dźwięk z osobna. Łamiące się gałązki, szelest liści, wśród których buszował wiatr, pochrząkiwania dzikich zwierząt i wreszcie odległy szept strumyka. Tak, zwłaszcza woda działała na zmysły Ali. Śpiewała wprost w półelfie uszy, przypominała dziewczynie, że prababka przyszła za kochankiem do lasu wprost z morskich toni. Muzyka fal uwodziła i przyzywała, chociaż syreni czar nie działał już na to pokolenie Eneo. Owszem, kiedy Ali uciekała po śmierci ojca, z desperacji wybrała się nad morze i tam sprawdziła, czy po wejściu w toń nie wyrośnie jej ogon. Nie wyrósł. Rodzina prababki nie upominała się o krewną. Zostawili ją, tak jak i reszta bliskich. Poradziła więc sobie sama. Obcięła włosy, założyła męskie odzienie i weszła do lasu.

Wysokie „kijkijkijkij”, doskonale naśladowujące zawołanie pustułki, rozerwało leśną ciszę. Półelfka uśmiechnęła się. Przyłożyła dłonie do ust i odpowiedziała w ten sam

sposób. Pustulczy duet śpiewał przez chwilę, a potem zamilkł.

Spomiędzy drzew wyszły dwie kobiety, tak od siebie różne, jak to tylko możliwe. Niższa miała dwa chude warkoczyki. I były to jedyne chude rzeczy w jej osobie. Reszta była duża, bardzo duża. Generalnie kobietka wyglądała jak odziana w szare szmatki piłeczka. Druga ze zbójniczek, w jaskrawych szatkach, wysoka i przeraźliwie chuda, szczerzyła się szczerbatym uśmiechem.

– Witojcie, Panie kapitanie. – Piskliwy głos należał do tłuściutkiej zbójniczki.

Kapitan uśmiechnęła się szeroko. Nie była sama. Miała nową rodzinę.

Jeszcze zanim dotarli do jaskini. Ali opowiedziała Kruszyńce i Duszcze, czego dowiedziała się od Terise. Wiatr szumiał wśród koron drzew, gdy szły znaną tylko sobie ścieżką ukrytą między ciasno rosnącymi drzewami. Duszka słuchała w milczeniu. Kiedyś była gadatliwą dziewczyną. Wysoką i radosną panną, tańczącą w kolorowych zapaskach przy wiejskim ognisku. Mówiono o niej, że świergocze jak skowronek, a i dzióbek się jej nie zamyka. Szczebotała bez ustanku i zawsze z uśmiechem.

Dopóki ojciec nie wydał jej za człowieka, który nie lubił skowronków.

Nauczyła się więc Duszka milczeć. Otwierała usta rzadko, a i tak kończyło się to boleśnie. Aż przyszedł dzień, w którym nie wytrzymała. Chwyliła nóż, a potem, nie sprawdzwszy, czy została wdową, uciekła do lasu.

Kruszynka pobiegła za nią. Nie, nie miała szczególnego powodu. Nikt jej nie bił, nikt nie krzywdził, nikt nie straszył. Pobiegła za nieszczęsną chudziwą, bo nie miała nic lepszego do roboty. Nie była nikomu potrzebna, a i ona nikogo we wsi nie potrzebowała. Tłuściutkiej kobiecie doskwierała nuda codzienności, marzyły się przygody. Zmarły ojciec nauczył ją czytać, a w spadku zostawił książkę. Każdego dnia przed snem Kruszynka czytała o wypadkach młodego i pięknego rycerza, a później, nim zasnęła, wymyślała własne. Rankiem zaś, zamiast całować księcia z bajki, szła doić krowy.

Kiedy więc pewnego wieczoru ujrzała sąsiadkę biegnącą do lasu z nożem w dłoni, uznała, że może wśród drzew spotka ją jakaś przygoda.

Minęły już dwa lata od spotkania z Ali, drużyna nieustannie się powiększała, a Kruszynka ceniła każdy dzień wśród nowych sióstr. Niestety widoki na owego wymarzonego księcia z bajki miała raczej marne. Zdarzyło się wprawdzie, raz czy dwa, że obrabowały szlachetnie urodzonego i nieszpetynego młodzieńca. Z niewiadomych przyczyn jednak ówże paniczyk nie rwał się do uwodzenia czy całowania krągłej dziewczuszki.

Uśmiechnęła pod kulfoniastym nosem. A co tam! Grunt, że na brak przygód nie mogła narzekać. Potem zerknęła na chudą przyjaciółkę, by ostatecznie utkwic wzrok w przywódczyni leśnej bandy. Plan rysowany przez Ali jak zwykle wydawał się nie mieć wad. Choć półelfka zawsze wymyślała zasadzki sama, nigdy nie narzucała własnych pomysłów. Teraz też czekała je dyskusja w jaskini.

Splątane pędy sezamu porastające skały rozsunęły się przed kobietami. Były na miejscu.

* * *

Płomyk kaganka zadrzał poruszony podmuchem. Korytarz stawał się coraz węższy. Uciekinierki nie mogły już iść obok siebie. Krok za krokiem przeciskały się ciasnym tunelem. Po jakimś czasie musiały się schylić, bo i sufit znacznie tu opadał. Terise szła pierwsza i to ona krzyknęła na widok wąskiego, malutkiego wyjścia.

– Cicho! – warknęła Beneria. – Cholera wie, kto tam na nas czeka.

Czerwonowłosa zasłoniła usta i potaknęła. Zatrzymały się przed jasną plamą. Terise wstrzymała oddech, a potem powoluteńku wysunęła głowę. Rozejrzała się i odetchnęła głęboko.

– Nikogo nie ma – powiedziała i nie czekając na towarzyszkę, wcisnęła się w otwór. Beneria poszła w jej ślady.

Wyjście z tunelu okazało się piwnicznym okienkiem jednej z obdrapanych kamienic na obrzeżach miasta. Ledwie kilka kroków dalej znajdowała się stajnia, w której obudziła się krasnoludka. Dziewczyna uśmiechnęła się niewesoło, tęsknie spoglądając w tamtym kierunku. Gdybyż tylko spała chwilę dłużej.

– Będzie tak – zaczęła. – Pójdziemy do tej twojej zbójniczki. Normalnie miałabym was w dupie. Ruszyłabym do jakiejś karczmy, zapłaciła ze dwa kwartniki, zjadła polewki... Polewka dobrze robi na kociokwik... Sama byś se tamtej panny szukała. Tak by było, gdyby mnie ten wasz wielkolud dobrze nie obejrzał. Pewnikiem doniesie rządcy, więc moje w tym mieście odwiedziny dobiec muszą końca. A skoro muszę iść, to równie dobrze mogę iść z tobą. No więc pójdziemy do zbójniczki, powiemy w czym rzecz, a potem się pomyśli.

– Chcesz iść do lasu? Na nogach? – zdumiała się czerwonowłosa.

Krasnoludka westchnęła ciężko.

– No niby i racja. Zanim dojdziemy, dziewczuchy dawno już wyjadą. – Zamyśliła się.

– Tak, właśnie to mnie martwi – przytaknęła ladacznica nieco ironicznie.

– I pewnie też to, że w takich pantofelkach daleko byś nie zaszła. – Beneria wykrzywiła usta. – Chodź, mam pomysł.

Kiedy weszły do stajni, siwek przeżuwał obrok. Krasnoludka uśmiechnęła się złośliwie.

– Widzisz, chłopcze... – Poklepała koński kark. – To chyba jednak miłość. Albo przeznaczenie. Albo cholera wie co. Przyjdzie nam jednak spędzić razem trochę czasu.

* * *

– Jaśnie wielmożny panie, bo to kazaliście... no to żem kapitana pilnował. On zawsze po robocie do tego zamtuza chodzi. Tam przeróżne kurwy, jaśnie wielmożny, ale kapitan zawsze do jednej zagłada. Niezła dupa, nie ma co, sam bym... ale ona wybredna, ta kurwa, znaczy się, a gospodyni dziwce pozwala klientów wybierać. Dziw, ale pozwala. No więc żem poszedł za kapitanem. Stróż tam dobry człek jest i mnie wpuścił. Nie, nie żeby darmo. Pół talara dać skurwielowi musiałem. Ale warto było. Takie rzeczy ta dziwka potrafi... Oj, jaśnie wielmożny panie, co żem się napatrzył... Ze dwa razy sam... No wiecie, panie. Bo tam w każdej izbie dziura taka, żeby co chętniejszy, a śmiałości niemający klient, to se popatrzeć albo posłuchać mógł. Jak oni już skończyli, to się kapitanowi japa otwarła i jak nie zaczął opowiadać, gdzie i ile to wieźć złota będzie... A kurwa udawała, że nic ją to... i tak kapitana polectała, tak mu dogodziła, że dureń jeden wszystko jej opowiedział. Potem się kapitanowi zdrzemnęło. Wziąłem wtedy jedną dziwkę, żeby i mnie dobrze zrobiła, bo trudno było tak ino patrzeć i słuchać. Cały czas jednak uważałem, czy kapitan nie wychodzi. Chyba mu jednak ta kurwa coś do miodu dosypała, bo chłop padł jak nieżywy. Za to kurwa ino ablucji dokonała, odziała się i wio w miasto. Musiałem tę moją odprawić i ledwiem zdążył za kapitanową. No dyć, żem zdołał. Schowałem się w sam czas, żeby cichodajkę przydybać, jak ze zbójnikiem gada. Tak że w lesie już pewnie wiedzą, którędy złoto pojedzie. Jak się kurwa ze zbójnikiem rozstała, to żem od razu do was, jaśnie wielmożny panie, w te pędy. Ino po drodze chłopców wysłałem, żeby cichodajkę zgarnęli, zanim ucieknie. Pewnie już ją prowadzą. Dobrzem się sprawił? Zadowoleniście?

Eloj Gurtan, z łaski najjaśniejszego Króla Królów rządca pogranicza, przyglądał się z obrzydzeniem chudemu krasnoludowi. Nie, nie był zadowolony. Jego niezadowolenie nie brało się jednak z jakości służby donosiciela. W tym mały Strun świetnie się sprawdzał. Dzięki niemu rządca zawsze był na bieżąco, znał wszystkie plotki, mógł uprzedzić każdy atak. Tak jak teraz. Trudno więc było narzekać na efekty działań szpiega. Eloj Gurtan nie był zadowolony ze sposobu, w jaki owe informacje były zbierane. A także, być może przede wszystkim, z osoby zbieracza.

To straszne, że musiał używać takich okropnych, niskich i brzydkich istot. Straszne, że musiał przebywać z nimi pod jednym dachem.

– Panie? Dobrzem się sprawił? – dopytywał krasnolud.

Twarz rządcy wykrzywił straszliwy grymas.

– Dobrze, sługo – odparł tonem człowieka, który właśnie sobie uświadomił, że to miękkie coś, w co wdepnął, to nie płatki kwiatów. – Możesz iść. Ochmistrz wypłaci ci zwykłą należność.

Strun zgięty w ukłonie cofał się ku drzwiom. Zamiast jednak wyjść, przystanął wpatrzony w rządcę.

– A bo, jasnie wielmożny panie – zaczął z wahaniem – ja se tak umyśliłem... Se tak umyśliłem...

– Mówcie wreszcie!

– Bo na co wam taka cichodajka? Znaczy ja wiem, że trza ją porządnie ukarać... Ale może mnie byście ją dali, co? Taki dodatek za wierną służbę. Już ja znajdę karę odpowiednią dla kurwy. – Czarne oczy pod krzaczastymi brwiami wgapiały się błagalnie w rządcę. Ten zaś cofnął się o krok, jakby odległość od sługi zdała mu się naraz zbyt mała. Wzrok szlachcica pociemniał wstrętem. Przez długą chwilę milczał. Krasnolud w tym czasie cofał się powolutku, śmiertelnie wystraszony. Wreszcie poczuł za plecami drzwi i sięgnął ku nim.

Jego pan w tym czasie odwrócił zniesmaczone oblicze. Szybko przekalkulował zyski, które przynosi mu zatrudnianie oślizgłego brzydala. Wykrzywił się okrutnie, ale powiedział:

– Ladacznica jest twoja, a teraz wynoś się! Czekaj! Wezwij mi oficera straży. Tylko nie tego idiotę kapitana.

Kiedy Strun wyszedł, Eloy pograżył się w rozmyślaniach. Miał oto dwa problemy. Musiał urządzić zasadzkę, dzięki której pozbędzie się rozbójników grabiących regularnie jego gości. I znaleźć odpowiedniego następcę obleśnego kurdupła.

* * *

Beneria zacisnęła palce na wodzach i rzuciła za siebie wściekłe spojrzenie.

– Jak to, cholera, nie wiesz, gdzie są?!

– No nie wiem – odpowiedziała siedząca za krasnoludką dziewczyna. – Nie chciałam wiedzieć. Dla bezpieczeństwa. Kiedy potrzebowałam im coś przekazać, szłam do lasu, do ciotki Nuny.

– No to dupa zbita – warknęła Beneria, pochylając się nad końskim karkiem. – Na co mi przyszło? Taaa, rzyj, durnoto. Jakbyś mnie, cholera, nie obudził, a potem nie

gapił się tymi wielkimi oczyskami, żarłabym se pyszną polewkę albo może i jakie piecyste, a nie włóczyła się po lesie z niezbyt rozgarniętą pannicą.

– Hej! – fuknęła Terise.

– No co? Najbystrzejszaś nie jest. Pyszczaty krasnolud laźł pewnie za tobą od lupanaru. Przyprowadziłaś go wprost na spotkanie. I pewnie byś już gniła w lochu dzięki tej głupocie, gdyby nie ten tu obecny wałach. A ty nie rzyj po próźnicy. Będę ci wałachowała, kiedy zechcę. Nic to. Skoro nie wiesz, gdzie zbójniczka, pojedziemy do tej twojej ciotuchny. Wskaż ino drogę.

Jechały w milczeniu, jeśli nie liczyć cichego parskania siwka i nieskładnego mamrotania Benerii. Minęło sporo czasu, nim dotarły na niewielką polanę, gdzie pod potężnym, rozłożystym dębem stała maciupeńka chatynka. Przed nią, na rozpadającym się zydelku, siedziała staruszka w tęczowej chustce i równie barwnym kubraku. Nie wstała na widok gości, a jedynie kiwnęła głową.

– Witajcie, córcie, a co was tu przywiało? – zapytała starczym głosem, skrzeczącym jak źle naoliwione zawiasy. Pochylone ciało staruszki drżało lekko, a i głowa kiwała się w rytm wypowiedzi.

Terise zeskoczyła z konia, po czym podbiegła do kobieciny.

– Och, ciotko, źle się stało! – krzyknęła płaczkliwie. – Ali idzie wprost w pułapkę!

Krasnoludka ze zdumieniem przyglądała się właścicielce kolorowego stroju. Oto bowiem pochylona, zgrzybiała babulinka wyprostowała się gwałtownie. Wstała błyskawicznie, a trzęsące się członki nagle przestały tańczyć. Nuna zrobiła krok ku czerwonowłosej i złapała ją za ramiona. A kiedy wstała, okazało się, że wzrostem góruje nie tylko nad Benerią czy Terise, lecz także zapewne nad wieloma całkiem wysokimi mężczyznami.

– Jak to w pułapkę?! – Głos ciotki stał się naraz dźwięczny i mocny.

– Nie zauważyłam go. Nie zauważyłam... Moja wina. Powinnam patrzeć... – Terise rozplakała się. Łkała, próbując coś powiedzieć.

Nuna westchnęła i spojrzała na Benerię, a zrobiła to tak sprytnie, że krasnoludka nie zdołała dojrzeć twarzy ukrytej za pstrokatą chustą. Dziewczyna zmarszczyła brwi, bo naraz odniosła takie dziwne wrażenie, że ktoś wlaźł w jej duszę i gmera. Dopiero po chwili odpowiedziała na niezadane pytanie:

– Rozmowę waszej rozbójniczki z tą tutaj fontanną podsłuchał szpieg rządcy. Jaśnie wielmożny pewnie wysłał ludzi, żeby raz na zawsze pozbyć się zbójniczego kłopotu. Trzeba więc szybko zbójców ostrzec, a już straciłyśmy sporo czasu. Rzeknijcie mi, gdzie ich szukać, to może zdążę.

Ciotka skinęła głową. Puściła zapłakaną Terise i bez słowa poszła między drzewa za chatą. Po chwili wróciła, prowadząc za uzdę potężnego karego ogiera. Siwek pod Benerią parsknął niespokojnie, przestępując z nogi na nogę. Krasnoludka poklepała go po karku.

– No, ja na twoim miejscu też poczułabym okrucieństwo zazdrości – wyszeptała z błyskiem ironii w oczach. – Przystojniaczek. Za takim to się kobyłki oglądają. Spokojnie, malutki – dodała, kiedy koń wierzgnął, coraz bardziej zdenerwowany. – Ja będę ci wierna. Nie dla mnie takie wielgachne eksceleńce.

Kiedy Beneria uspokajała swojego wierzchowca, staruszka jednym skokiem dosiadła karego. Potem wyciągnęła rękę do łkającej czerwonołosej i bez najmniejszego wysiłku pomogła jej wsunąć się na siodło za sobą.

– Jedźmy! – rzuciła do krasnoludki i pognęła przed siebie.

* * *

Duszka wierciła się nerwowo w siodle, co rusz zerkając na jadącą obok Ali. Na tle soczystej zieleni krzewów porastających brzegi wyjścia z jaru barwne odzienie chudej rozbójniczki niemal raziło w oczy. Dziewczyna rzadko dosiadała konia, więc i teraz nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie będzie mogła wyjść z siodła. To właśnie miały znaczyć spojrzenia rzucane przywódczyni. Były niemym błaganiem, by skończyć już jazdę i wreszcie wyznaczyć miejsce zasadzki. Wcześniej, gdy tylko Ali wróciła, ustaliły, że większość z czterdziestki kobiet zasadzi się na wyładowany złotem wóz u wyjazdu z jaru, a pozostałe zsuną się po zboczach leśnego osuwiska, by odciąć ewentualną drogę ucieczki. I – ku rozpaczy Duszki – Ali uznała, że kochająca kolory dziewczyna pojedzie przodem, a nie będzie, jak Kruszyńka, czekać na wzniesieniu. Tak, Kruszyńka nie musi telepać tłustego tyłka w niewygodnym siodle, bojąc się, że jakieś głupie bydlę zrzuci ją przy pierwszej okazji. Niby Ali nikogo nie faworyzuje, ale przecież wszyscy wiedzą, że ustępuje we wszystkim temu małemu tłuściochowi.

Poprawiła się kolejny raz, czując, jak złobienia w siodle ukradzionym przed miesiącem bogatemu kapłanowi dają się we znaki chudym pośladowcom.

– Przestań się wiercić, bo wreszcie spadniesz – fuknęła gniewnie przywódczyni.

– Jakby bogowie chcieli, żebyśmy biegali na czterech nogach, to daliby nam cztery nogi – odwarknęła Duszka. – Kto to widział, żeby siadać na grzbiecie takiego wielkiego bydlęcia?

– Jakby to było pierwsze wielkie bydlę, którego dosiadłaś – zakpiła inna rozbójniczka, doganiając je. – To jak, Ali? Zaczekamy tutaj?

Półelfka rozejrzała się. Zatrzymały się w miejscu, w którym ściany jaru opadały gwałtownie, tworząc tym samym świetne miejsce na kryjówkę. Wokoło szumiał las, a gdzieś w oddali przyzywająco szeptał taki sam strumyk jak ten, którego wyschniętym korytem przyjechały. Rozłożyste korony drzew tworzyły liściasty dach wysoko nad rozbójniczkami i jarem ograniczonym wysokimi ścianami ziemi upstrzonej pojedynczymi krzewami. Tu zaś, gdzie jar się kończył, krzewy i drzewa rosły gęsto – można było wejść między nie i zupełnie zniknąć.

– Tak, to dobre miejsce – zawyrokowała półelfka. Zeskoczyła z wierzchowca i poprowadziła go między drzewa. Uszczęśliwiona Duszka poszła w jej ślady. Prowadziła konia na sztywno wyprostowanej ręce, starając się odsunąć zwierzę jak najdalej od siebie.

– Nigdy więcej – mamrotała pod nosem, całkowicie świadoma, że nie ma szans na spełnienie złożonej sobie obietnicy. Praktykowały rozbój od wielu miesięcy, napadały na karawany, na samotnych bogaczy, na wozy przewożące daninę do i od rządcy. Wierzchowiec w takiej pracy bywał niezbędny. Zdecydowanie pomagał w ucieczce.

Weszła między drzewa. Prowadzona przez nią klacz parskiała niezadowolona, kiedy gałęzie smagały jej boki. Wierzchowce pozostałych rozbójniczek zachowywały się podobnie. Przez chwilę, bo potem kobiety przywiązały zwierzęta i usiadły między krzakami, by czekać.

* * *

Keru siedział pomiędzy innymi żołnierzami ściśniętymi pod płachtą wozu i dumiał nad swoim życiem. Nie żeby było nad czym rozmyślać. Urodził się, poszedł do gwardii i służył rządcy. Było mu dobrze. Żołd może i nie był za wielki, ale oprócz tych kilku talarów gwardziści mieli darmowe dziwki w lupanarze Pod Jurnym Jeleniem i wyżywienie w gospodzie u Grubej Tośki. Nikt zaś tak nie gotuje jak ichniejsza kucharka. Większą część żołdu wysyłał matce i pięciu siostrom. Odkąd przed rokiem ojciec przeniósł się do przodków, to właśnie Keru utrzymywał rodzinę. Dzięki niemu dwie z pięciu sióstr znalazły mężów, a i o przyszłość pozostałej trójki jeszcze niedawno nie musiał się martwić.

Niedawno, bo teraz już się martwił. Rządca powiedział, że gwardzista musi mu zwrócić pięćdziesiąt talarów. Pięćdziesiąt! To prawie pięcioletni żołd! Jeśli odda go jasnie wielmożnemu, to dla sióstr na wiano nie będzie.

Zadumał się więc Keru nad przyszłością swojej rodziny. A rozmyślając, szukał we wspomnieniach jakiegoś elfiego młodzieńca. Gdybyż bowiem znał takowego, może

rządca darowałby tych pięćdziesiąt talarów. Niestety, żadnego ostroucha w jego wsi nie było. Pech...

Wóz podskakiwał na kamieniach. Gwardziści zaciskali paluchy na rękojeściach mieczy. W kompletnej ciszy, w tajemnicy przed eskortującymi wóz jechali na spotkanie zbójców.

* * *

Pochylona nad końskim karkiem Beneria wyklinała głośno, kiedy chłostały ją kolejne gałęzie. Pędząca na złamanie karku Nuna co rusz zniknęła z pola widzenia krasnoludki i ta już z pięć razy zastanawiała się, po cholere wciąż jeszcze pędzi w ślad za dziwną kobietą. Mogła zostać już przy jaskini, kiedy pojeły, że się spóźniły, bo rozbójniczki opuściły schronienie. Mogła! Zachciało jej się jednak sprawdzić, co takiego ukrywa Nuna pod kolorową chustą, że aż biedną krasnoludkę w duszy zadrapało. Przygód się zamarzyło, niech ją tak rzyć boleć nie przestanie! To i popędziła za karym ogierem. Dyc na nikogo narzekać nie może, ino na swoją głupotę. O właśnie, kolejna gałąź chlasnęła osłonięte cienką tkaniną udo. Będą ślady, jak nic. No niby i tak ud nie ma komu pokazywać, ale, cholera, żal i boli... Zaklęła ponownie, tym razem cicho, a potem, leciuteńko oderwawszy głowę od końskiego karku, spojrzała przed siebie. Czarny ogon ciotczyngo konia znów pojawił się w zasięgu wzroku, a nad nim szarpane wiatrem czerwone włosy Terise. Ladaczniczka dzielnie trzymała się rozłożystych pleców dziwacznej staruszki, chociaż zapewne i jej dokuczał pęd.

Siwek, jakby nie czuł zmęczenia, coraz mocniej wyciągał nogi. Drzewa zaczęły się przeredzać i rozdzieliły w dwie strony. W płaskiej dotąd okolicy pojawiły się wzniesienia. Wierzchowce wpadły między dwa porośnięte mchem pagórki wyglądające jak szmaragdowe osuwiska.

Dotarły do Zielonego Jaru.

Nuna wyraźnie zwolniła. Wyschnięte koryto strumienia, którym teraz jechały, stało się wąskie, a podłoże nierówne i kamieniste. Galop byłby niebezpieczny, a one i tak dotarły na miejsce. Krasnoludka jadąca za ciotką odetchnęła. Wyprostowała się w siodle i rozejrzała. Wiatr szumiał między pniami nielicznych drzew, a ptaki świergotały wśród baldachimów rozłożystych koron.

Już ucieszyła się, że zdążyły przed potyczką, gdy usłyszała krzyki.

Uniosła się w siodle. Świst tuż przy uchu ponownie posadził ją na końskim grzbiecie. Wrzasnęła, gdy kolejna strzała przemknęła obok skroni.

Przerażony siwek zatrzymał się w miejscu, a Beneria, wyrzucona z siodła, śmignęła ponad pochylonym końskim karkiem. Lecąc, pomyślała jeszcze, że trzeba było jednak zostać w stajni.

A potem słodka ciemność pochłonęła wszystkie krasoludzkie rozmyślania.

* * *

Nuda nie zdążyła ich dopaść. Ledwie zajęły pozycje wśród traw na obu wzniesieniach jaru, usłyszały dobiegające z daleka rzenie koni i turkot kół na kamienistym dnie jaru. Kruszyńska wyteżyła wzrok, wypatrując kawalkady z drogocennym ładunkiem. Tak, to oni. Dwóch jeźdźców na przedzie. Potem ten kapitan, co to Ali absolutnie zakazała go tknąć, później duży, naprawdę duży wóz, a na końcu jeszcze dwóch jeźdźców. Znaczący pięciu zbrojnych i woźnica. Rzeczywiście rządca nie spodziewał się ataku. Dziwne. Bardzo dziwne.

Okrągłutka kobietka podrapała się po głowie.

Zdumiewająca niefrasobliwość, pomyślała. Jak znała jaśnie wielmożnego – nie, nie znała go zbyt dobrze, ale okradały go tak często, że każdej wydawało się, iż Gurtan nie ma dla nich tajemnic – to zupełnie do niego niepodobne zachowanie. Nawet jeśli możnowładca nie spodziewał się napaści, powinien wystawić przynajmniej mały oddział. Tak z dziesięciu żołnierzy, może nawet dwudziestu. Zawsze tak robił. Dlaczego więc tym razem wysłał młodego oficera tylko z czterema podwładnymi?

Bardzo dziwne.

Rozbójniczka uniosła trochę głowę. Na przeciwnym wzniesieniu czekała szóstka dziewcząt. Ledwie je dostrzegła, tak dobrze się schowały. Dobre były, oj, dobre. Doskonały się od miesiący. Kruszyńska uśmiechnęła się krzywo. Z miejsca, w którym leżała, nie mogła dojrzeć pozostałej grupy, która wraz z Ali czekała u wylotu z jaru. Nie musiała jednak widzieć, żeby mieć pewność, że poradzą sobie bez trudu...

Naraz Kruszyńska zmarszczyła brwi. Coś w olbrzymim wozie przyciągnęło jej wzrok. Płótno okrywające drogocenny ładunek poruszyło się. Może to wiatr? Może... Skupiła wzrok. Nie, wyrzucenie w tkaninie nie wyglądało na podmuch. Wyglądało zupełnie... zupełnie jakby ktoś wypychał płótno głową.

Wóz właśnie mijał ich kryjówkę, gdy dziewczyna poderwała się nagle. Nie bacząc na to, że ją dostrzegą, krzyknęła. Pozostałe rozbójniczki również wstały. Z wrzaskiem zsuwały się po zboczu.

Zamykający kawalkadę żołnierze błyskawicznie zawrócili konie i wydobyli miecze z pochew. Unieśli broń. Zakrzyknęli i rzucili się w stronę kobiet.

Nim jednak pierwszy z mężczyzn zdołał osiągnąć rozbójniczek, stojąca wciąż na wzniesieniu Długa Nija naciągnęła cięciwę i spokojnie wymierzyła. Strzała śmignęła z sykiem i wbiła się w odłoniętą prawicę gwardzisty. Broń opadła, po czym z brzękiem uderzyła o kamienie. Mężczyzna zawył rozpaczliwie.

– Zabij! – poleciła Kruszynka strzelającej. – Nie cackaj się!

Nija ponownie naciągnęła cięciwę. Kolejna strzała przeszła powietrze. Tym razem dziewczyna celowała w pierś mężczyzny. Grot trafił, ale odbił się od pancerza. Łuczniczka znowu wycelowała...

Kruszynka nie patrzyła na nią dłużej.

Płachta spadła z wozu.

* * *

Hałas z tyłu zwrócił uwagę młodego kapitana. Odwrócił się, ale wielki wóz zasłaniał widok. Dziwnie wielki. Do przewozu pięciuset talarów wystarczyłby znacznie mniejszy pojazd. I jeszcze to wysokie zadaszenie...

Krzyki nasilały się. Oficer przestał zachodzić w głowę, dlaczego nie pozwolili mu obejrzeć ładunku, i wychylił się. Niestety ściany jaru zasłaniały widok. Były też na tyle blisko, że koń nie zdołałby się przecisnąć między nimi a wozem. Młodzieniec wolno wyciągnął miecz z pochwy i zsunął się z siodła.

W chwili, w której kapitan wcisnął się między wóz a zielone osuwisko, płócienna płachta opadła. Zdumiony oficer zamarł, wpatrując się w dwudziestkę uzbrojonych żołnierzy siedzących na drewnianych ławeczkach. Gwardziści szybko odzyskali rezon, wyskakując jeden po drugim, uzbrojeni i gotowi do ataku. Kapitan powiódł za nimi wzrokiem, nie drgnąwszy nawet. Przez metalowy szkielet zadaszenia widział rozbójników zbiegających zboczami. Chuda elfka na szczycie celowała z łuku, gdy wymierzona przez jednego z żołnierzy strzała przeszła jej pierś. Wśród szczęku broni i krzyku walczących i tak by tego nie usłyszał, ale był pewien, że dziewczyna nawet nie jęknęła.

Powoli ruszył ku walczącym, wciąż nie rozumiejąc, co się wokół niego dzieje. Za jego plecami pozostałe rozbójniczki wyskoczyły z ukrycia, by dołączyć do sióstr. Nawet ich nie zauważył, zajęty oglądaniem wydarzeń w jarze.

Chociaż kobiety radziły sobie całkiem nieźle, żołnierze i tak pokonywali je bez trudu, nie ponosząc większych strat. Nie wydawało się też, by mieli jakieś opory przed ranieniem czy zabijaniem niewiast.

Jakoś nie wydawało się to kapitanowi właściwe. Zatrzymał się. Obok niego przebiegły rozbójniczki. Nie dostrzegł ich. Zobaczył za to potężnego jeźdźca w

barwnej chuście dosiadającego karego ogiera. Za karym biegł siwek z krasnoludką w siodle. Oba wierzchowce zbliżały się ku walczącym. Pierwszy konny uniósł się w strzemionach i wypuścił wodze. Oficer nie dowiedział się jednak, dlaczego tamten to zrobił. Jeden z gwardzistów, dzierżący łuk, również dojrzał nadeżdżających. Błyskawicznie wycelował...

Jeździec nie zauważył strzelca, bo w tejże chwili jadąca za nim krasnoludka, wrzeszcząc, wyleciała z siodła. Zatoczyła półkole nad końskim łbem i ciężko opadła na kamienistą ziemię. Krzyk kobiety przyciągnął uwagę poprzedzającego ją mężczyzny. A kiedy się odwracał, dosięgła go strzała gwardzisty.

Krzyknął, ściągnął wodze. Kary koń błyskawicznie wytracił prędkość. Mrugnięcie oka później trzy kolejne strzały wypuszczone przez gwardzistów trafiły w pierś konnego.

Kapitan patrzył na zsuwające się z końskiego grzbietu bezwładne ciało i rozpaczliwie trzymającą się go czerwonołosą, która zleciała z karego wraz z postrzelonym mężczyzną.

– Terise? – wyszeptał zdziwiony młodzieniec.

* * *

Stal śpiewała wokoło, siejąc śmierć. Keru walczył odruchowo, ale lata ćwiczeń sprawiały, że robił to bardzo skutecznie. Parował uderzenia, cofał się, nacierał, odskakiwał, kuczał i skakał w górę. Był najlepszym szermierzem w całym oddziale i właśnie to udowadniał. I robił to absolutnie bezmyślnie, bo wciąż wracające wspomnienie pięćdziesięciu talarów nie pozwalało mu o sobie zapomnieć.

Kolejne cięcie. Skok, wycofanie, atak, raz, drugi i jeszcze pchnięcie. Krzyk. I następna.

Dostrzegł tego elfa i prawie roześmiał się ze szczęścia. Ostrouchy był jak modlitwa wysłuchana przez dobrotliwe bóstwa. Krótkie czarne włosy, szczupła wysoka sylwetka, ciemne ogromne oczy. Prawie jak tamten. W wyobraźni gwardzisty śmignęły majątek, który mógłby zaoszczędzić, i całkiem przyzwoite wiano dla sióstr. Odetchnął głęboko, pchnął gwałtownie kolejną atakującą go rozbójniczkę i rozejrzał się.

Elf walczył. I szło mu całkiem nieźle. Jak to zrobić... Jak go nie zranić? Myśli kotłowały się jak szalone. Keru przyjrzał się ponownie walczącemu elfiátku.

A potem skoczył.

* * *

Ciemność odchodziła bardzo powoli. Nie ustępowała jednak jasności, ale jakiejś szalonej karuzeli. Świat wirował z obłądną prędkością. Beneria wracała z mroku, ale wciąż bała się otworzyć oczy. Otaczała ją cisza. Spodziewała się okrzyków, szczęku broni i wszystkich tych dźwięków, które zwykle towarzyszą walce. Zamiast tego słyszała... Nic nie słyszała. I to ją przerażało. Nie, nie otworzy oczu...

Śliskie, mokre, ciepłe i tylko nieco szorstkie liźnięcie wyrwało ją z rozmyślań. Powoli i z wielką niechęcią uniosła powieki.

– Taaa – wycharczała – szło się spodziewać, że to będziesz ty. Najpierw, cholera, zrzucasz mnie, a potem się czulisz, co? Myślałby kto, żeś taki łakoć. I nie gap się tak. Nie uwierzę w te twoje udawane wyrzuty sumienia.

Podniosła się trochę, wspierając na łokciach. Siwek trącił nosem policzek krasnoludki.

– Jasne, jasne. Już, cholera, wstaję. O niczym innym tak nie marzę jak o tym, żeby znów posadzić dupę w twoim siodle i dać sobie ją obtłuc w galopie po kamieniach. Nie macaj mnie! A sio! Durny wałach. A tak! A będę sobie wałachowała ile zechcę, i nie ma co robić takiej obrażonej mordki. I co? I gdzie lezie? Podejdzie tu, a już. Muszę się czego chwycić, żeby wstać. Kurwa, ale mi we łbie gra. Piętnastu zacnych doboszów na ogromnych, cielecą skórą powleczonych bębnach.

Siwek pochylił głowę, a Beneria, uchwyciwszy wodze, podciągnęła się. Z trudem złapała równowagę. Świat wirował, a w głowie straszliwie łupało. Przymknęła na moment powieki. Koń zarżał cicho i znów łagodnie trącił ją w ramię.

– Czego? – warknęła, ale otworzyła oczy.

I rozejrzała się.

Wokoło leżały zwłoki rozbójniczek. Ich krew znaczyła kamienie i wsiąkała w ziemię. W zaciśniętych dłoniach wciąż trzymały krótkie miecze i łuki. Szmaragd trawy znaczyły krwawe strumyki. Okrągła i niska kobieta rozcięta w pół niewidzącymi oczyma wpatrywała się w niebo. Ledwie kilka kroków dalej zieleń złamała wielobarwna plama sukni chudej rozbójniczki. Zamknięte oczy w przeraźliwie szczupłej twarzy pozwalały sądzić, że dziewczyna śpi.

Beneria postąpiła krok, rozglądając się nerwowo. Nigdzie nie widziała czerwonych włosów ladaczniczy. Dojrzała za to kogoś innego. Ciotka Nuna leżała na boku, pomiędzy innymi rozbójniczkami. Z potężnego ciała wystawały cztery strzały, a wiatr poruszał długimi piórami ich lotek. Krasnoludka podeszła do niej. Uklęka i ostrożnie odwróciła ją na plecy. Wielobarwna chusta zsunęła się z głowy Nuny.

– Wyjmij. – Szept niemal poderwał Benerię do ucieczki.

– Cholera, żyjesz! – sapnęła zdumiona.

– Zyję, jasne, że żyję. Możesz wyjąć to cholerstwo? – Mężczyzna w kolorowej chuście ledwie mówił, ale wyraźnie był poirytowany.

– Słuchaj... cioteczko, to nie jest dobry pomysł. Nie żebym się na tym znała, ale...

– Wyjmij. – Jasne, niemal białe tęczówki wyglądały jak oszronione. – Już!

– Jak se tam chcesz. – Krasnoludka chwyciła strzałę.

– Nie! – Duże palce zacisnęły się na jej dłoni. Mężczyzna odetchnął boleśnie. – Najpierw przepchnij. Odłamię groty. Potem wyjmij.

– Oszalałeś?

Odpowiedzi nie było. Powieki zasłoniły oszronione oczy. Ranny stracił przytomność.

– Jasne, przepchnij, odłamię, wyjmij. Jasne, jasne. Bo to, kurwa, takie proste – mamrotała kobieta. Zacisnęła zęby, skrzywiła się i przez chwilę wyglądała na niezdecydowaną.

– Nie mam za wiele czasu – wyszeptał mężczyzna, nie otwierając oczu.

– Zanim cokolwiek zrobię... chcę, żebyś wiedział, że to mój pierwszy raz.

Kąciki ust rannego drgnęły, ale zamiast zmienić się w uśmiech – skrzywiły się z bólu. Beneria wcisnęła pierwszą strzałę. Ostrze weszło miękko. Kiedy grot znalazł się za plecami, krasnoludka bardzo szybko odłamała go i ją wyciągnęła. Postąpiła tak jeszcze dwukrotnie i za każdym razem poszło równie szybko. Przy ostatniej napotkała opór. Naparła mocniej. Ranny syknął i otworzył oczy.

– Nie dam rady – płaczliwie tłumaczyła się Beneria. – Nie dam rady.

– Spokojnie, dziewczyno. – Głos mężczyzny stał się nadszpiewanie mocny. – Może uda się bez tego. Odsuń się, dobrze?

Potaknęła i posłusznie zrobiła, co kazał.

Ranny usiadł. Opuścił powieki, odetchnął głęboko, a potem zamknął palce wokół wystającego z piersi drewna.

Jasność była porażająca. Oślepiła krasnoludkę, zmuszając ją do zamknięcia oczu. Zapach magnolii podrażnił zmysły.

Koń za plecami dziewczyny parsknął głośno, a potem zarżał wystraszony.

– Możesz otworzyć oczy. Już po wszystkim.

Mężczyzna stał nad nią i wyciągał rękę, by pomóc jej wstać. Zmarszczyła brwi.

– Kim ty, cholera, jesteś?

Uśmiechnął się chłodno.

– Zwą mnie Stroidarus. Beneria, prawda?

– Nie mówiłam, skąd...?

– Czytam w myślach.

– Jesteś jakimś czarodziejem?

– Jakimś jestem. – Skinął głową. – Dobrze, nie mamy za dużo czasu. Zabrali Ali i Terise. Straciłem sporo krwi, osłabłem, a i na uzdrowienie zużyłem niemało mocy. Mostu nie rozepnę. Musimy dostać się tam bez magii. Mój koń uciekł. Twój musi nas zanieść do jaśnie wielmożnego rządcy.

Beneria uśmiechnęła się złośliwie, zerkając na siwka.

– No, koleżko, lekko nie będzie, ale wreszcie na coś się przydasz.

Wierzchowiec zarżał, potrząsając łbem.

* * *

Dzień się kończył. Rządca stał w oknie i uśmiechał się do swego odbicia. Tak, zdecydowanie był to widok lepszy niż lasy i pola. Dobrze, że się ściemniło. Z szyby patrzył na mężczyznę wysoki i przystojny elegant. Ciemnowłosa i smukły. Eloi dbał o ciało. Lubił na nie spoglądać, tak jak lubił patrzeć na wszystkie piękne rzeczy.

Tak więc rządca patrzył na swoje odbicie i uśmiechał się do niego. W komnacie obok czekała nowa zabawka, w lochach natomiast kilka kobiet i durny kapitan ze zbyt długim jęzorem oczekiwali egzekucji. Kurewką, od której wszystko się zaczęło – powinien być dziwce wdzięczny – zajął się obleśny krasnolud. Wszystko układało się jak najlepiej. Wreszcie pozbył się rozbójników i nic na tym nie stracił. No, może za wyjątkiem kilku żołnierzy, ale to koszt, który poniósł bez większego bólu. I jeszcze dodatkowy prezent. Elfiątko. Gwardzista zapewniał, że takie jak tamto, a gwardziści nigdy nie kłamią.

Zbyt się boją swojego pana.

Odetchnął głęboko, a potem wszedł do swojej sypialni.

* * *

Terise obudziła się przerażona jak jeszcze nigdy wcześniej. Wszystko ją bolało, szczególnie ramiona. Poruszyła nimi i usłyszała dzwoniące łańcuchy. Otworzyła oczy. Wokoło panował półmrok. W kącie pomieszczenia dogorywał kaganek oświetlający wąskie metalowe łóżko. Było wyjątkowo małe i przykryte szarym kocem. Żadnej poduszki czy prześcieradła. Na łóżku leżał kańczug zakończony kilkoma rzemykami, na których końcu przymocowano małe haczyki i ołowiane kulki.

Nie to jednak przeraziło czerwonołosą.

Przeraziło ją to, że wisiała przypięta łańcuchami do powały, z szeroko rozstawionymi nogami przywiązany do haków w podłodze.

I była kompletnie naga.

* * *

Tym razem elfiątko było odziane. I niestety, było krótkowłose. Szkoda, lubił, kiedy włosy są długie. Cóż, nie można mieć wszystkiego. Leżało skrępowane niczym młode jagnię, z głową schowaną w ramionach. Nie zobaczył więc od razu jego twarzy. Reszta jednak rzeczywiście przypominała poprzednie. Szczupła sylwetka, wąskie ramiona, jędrne pośladki, na których opinały się spodnie. Eloj poczuł przyspieszające tętno. Podszedł do leżącego i odwrócił go na plecy.

Nie od razu poznał regularne rysy i duże ciemne oczy. Ostatecznie nie widział dziewczyny od dwóch lat, a i wcześniej spotkał ją ledwie kilka razy. Dlatego też najpierw zachwycił się urodą elfiątko. Dopiero później rozpoznał w nim Ali.

Tak, w pierwszej chwili poczuł rozczarowanie. Zaraz jednak minęło.

– Ali Ohru Eneo. – Roześmiał się na widok czystej nienawiści w czarnych oczach półelfki. – Kto by pomyślał? Córka pieprzonej elfiej księżniczki walczy u boku rzezimieszków.

– Przewodzi im – warknęła półelfka.

Gurtan przestał się śmiać. Zmarszczył brwi, przez chwilę przyglądał się leżącej, a później westchnął z przyjemnością. Największą rozkoszą było przecież łamanie ich woli, a ta dziewczyna miała charakter.

– Przewodziłaś rozbójnikom... Naprawdę? I co? I myślałaś, że zbierzesz wiejskie dziewczuchy i z nimi zdołasz mnie pokonać? Czym miały ze mną walczyć? Cepami? Widłami? Wiesz, ilu wysłałem ludzi przeciw wam? Dwudziestu. I starczyło. Truchła twoich rozbójniczek zaścieliły cały jar. A te, które nie zdechły w lesie, zawisną jutro na głównym placu. Razem z tym idiotą kapitanem, co to ma za długi jęzor.

Ali szarpnęła się, ale nauczeni doświadczeniem gwardziści zwiążali ją bardzo mocno. Nie zdołała się uwolnić.

Rządca podszedł bliżej, kucnął przy nowej zabawce i przesunął palcami po jej szczupłym policzku.

– Nie martw się. Ty i ta twoja ruda kurwa pożyjecie jeszcze trochę. Ją oddałem jednemu krasnoludowi. Coś mam wrażenie, że dziwka pożałuje, że nie kazałem jej powiesić. Tak jak i ty. – Ostatnie słowa powiedział, ciężko już dysząc. Pchnął dziewczynę na brzuch...

A potem sięgnął do spodni.

* * *

– Więc jesteś czarodziejem? Takim trochę dupiatym, bo se sam ze strzałami nie poradziłeś. Dupiatym, ale zawsze. Jakem cię pierwszy raz ujrzała, myślałam, żeś baba. A mnie niełatwo zwieść. No i tę ostatnią strzałę... Nie pogadasz, se dałeś radę. I na rannego już nie wyglądasz... To ty mnie powiedz, jaki z ciebie czarodziej, skoro zamiast łuczników w perzynę roznieść, dałeś się im ustrzelić, ha?

Stroidarus uniósł wzrok ku niebu, wzywając dobrych bogów na pomoc.

– Nie dałbym się im ustrzelić, jakbyś, dziewczyno, akurat wtedy nie chciała się uczyć latać. Odwróciłaś moją uwagę. I na nic było moje oszczędzanie Mocy. Trzeba było rozpiąć Most, a was przy jaskini zostawić. Przynajmniej nikt by mnie nie rozpraszał, fruując nad końskim łbem.

– Taaa... najlepiej zwalić na innych. Jakbyś był porządnym czarodziejem, to i ja bym dupy nie potłukła i strzał bym nie musiała z twej piersi wyjmować.

– To może tak mnie swoją urodą uwiodłaś, że łuczników nie dojrzała – fuknęła mag.

– A tak, to i być może. – Zachichotała, poprawiając odruchowo rudy loczek łaskoczący policzek. – To rzeknij mi jeszcze, po ciężką cholere ty babę leśną udajesz, ha? Znaczy, nie powiem, kilku takich spotkałam, co babskie łaszki lubili wkładać i brewki czernić. No ale z ciebie kawał chłopca i na takiego, co innym dupy dawać lubi, nie wyglądasz. To po co oczojebną kieckę nosisz i starowinę po lesie udajesz?

Czarodziej westchnął. Z ulgą dojrzał bramy miasta na horyzoncie. Jeszcze chwilę...

– Nic nie powiesz? Tajemnica, co? Ale skoro beze mnie gryzłbyś ziemię od spodu, to chyba możesz rzec, ha?

– Ty się nigdy nie zamykasz, moja piękna?

– Z rzadka, mój przystojniaczku. To jak? Po coś w lesie siedział? I dlaczego teraz gnamy na złamanie karku obcą pannę ratować? Bo wiesz, to też mnie mocno zastanawia. Dlaczego obtłukujemy tyłki, a i co innego po równi, w niewygodnym siodle? Masz coś do tej chudej pannicy, co to chłopca udaje? Taka jakaś grupa wsparcia? Ona chłopca, ty babę, to trza se pomagać?

– Beneria...

– No?

– Masz rację. Uratowałaś mi życie. Jakbyś nie wyjęła strzał, nie zdołałbym odzyskać sił. Jestem twoim dłużnikiem. Taki mój życiowy pech. Wiecznie robią coś dla mnie kobiety, którym potem muszę długi spłacać.

Krasnoludka pokiwała domyślnie głową.

– Strzeżesz panny, boś jej dłużnikiem?

– Obiecałem jednej syrenie, że zaopiekuję się jej prawnuczką. Jak na razie słabo mi idzie. A Colinera fatalnie znosi niepowodzenia... No i rodzinę ceni ponad wszystko. Lepiej, żeby Ali włos z głowy nie spadł. Nie wyobrażasz sobie, jak nieznośna bywa wściekła syrena.

To rzekłszy, spał siwka. Minęli bramy miasta.

Bez słowa pognali przez główną ulicę i zatrzymali przed pałacem rządcy. Mimo nadchodzącej nocy na głównym dziedzińcu wciąż uwijała się służba. Przy wejściu stało dwóch zbrojnych. Stroidarus zeskoczył z siwka i spojrzał w górę, szukając rozświetlonych okien. Zmrużył oczy, odetchnął...

Beneria zsunęła się z siodła i z zachwytem wpatrzyła w towarzysza. Tęczowa luna miękkimi falami otoczyła maga i migotała delikatnym, ledwie widocznym blaskiem. Aromat magnolii wypełnił powietrze. Łagodny zaśpiew wiatru tańczącego wśród drzew pieścił uszy. Chłód nocy powoli zmienił się w parny mrok. Tęcze barw, ta magiczna i ta z pstrokatej sukni, w którą wciąż odziany był mag, zmieszały się w jedno, pojaśniały, rozświetliły noc, rozbłysły. I znikły. Moc Pierwotnego wróciła do swego pana.

– O kurwa – szepnęła Beneria, gdy potężny mężczyzna w czarnym skórzanym stroju, dopasowanym do umięśnionej sylwetki niczym druga skóra, spojrzał w jej kierunku.

– Nie klnij, dziewczyno. Pięknym kobietom nie wypada – napomniał ją łagodnie. – Zostajesz czy idziesz?

– Coś mi mówi, że przy tobie będę bezpieczniejsza – mruknęła krasnoludka. – Idę, oczywiście, że idę.

* * *

Krzyk dziewczyny przyspieszył tętno Struna. Zamierzył się znowu.

Haczyki wbiły się w jasną skórę ładacznicy. Pociągnął. Trysnęła krew. Terise zawyła ponownie. Krasnolud przesunął dłoń po plecach kobiety. Lepka, ciepła krew podnieciła go, niosąc niemal na granicę spełnienia. Zamierzył się jeszcze.

Za chwilę, kiedy będzie już nieprzytomna, uwolni ją z łańcuchów i weźmie. I będzie brał. Raz za razem. Na każdy z możliwych sposobów.

Bat opadł. Dziewczyna krzyknęła.

Za oprawcą otworzyły się drzwi. W progu stanęła krasnoludka, a za nią czarodziej. Strun nie zauważył żadnego z nich, zbyt rozogniony dumaniem o przeszłości. Uniósł rękę...

Beneria sięgnęła do paska stojącego za nią maga. Wyszarpnęła krótki sztylet. Przyskoczyła do krasnoluda i jednym cięciem poderżnęła mu gardło.

* * *

Uszczęśliwiony Keru stał na straży u drzwi rządcy. Rozmyślał nad przyszłością. Nad wianem dla sióstr i małym domkiem dla matki na stare lata. Marzył o dziewczynie z wioski, z którą za parę lat może się ożeni i spłodzi kilkoro dzieci. Za rok, może dwa, kiedy dzięki hojności rządcy zdoła odłożyć trochę talarów i zostanie nowym kapitanem straży.

Stał tak Keru pod drzwiami rządcy, marząc o cudownej przyszłości. I nawet nie zauważył, kiedy przyszła śmierć.

* * *

Stroidarus uchylił lekko drzwi do sypialni rządcy, po czym spojrzał do wnętrza. Zacisnął usta, a palce na framudze aż pobiełały, gdy mag zobaczył scenę w komnacie. Beneria próbowała zajrzeć, ale mężczyzna zasłonił jej widok. Nie wszedł jednak do środka. Zmrużył powieki, a krasnoludka znów poczuła intensywny zapach magnolii.

Zmarszczyła brwi, bo czarodziej powolutku znów zamknął drzwi.

– Nie wchodzimy?! Zostawiamy ją tam?! – warknęła szeptem. – Oszalałeś?!

– Nie zostawiamy – odpowiedział równie cicho. – Poczekaj.

– Na co, cholera?

Nie odpowiedział, ale kiedy dziewczyna ruszyła ku wejściu, objął ją mocno i przytrzymał.

– Czekał – powtórzył.

* * *

Ali poruszyła się gwałtownie, choć nie miała nadziei na uwolnienie. Za jej plecami rządcą rozwiązywał spodnie. Słyszała to. Szarpnęła się więc, bo nie mogła tak czekać. Jak owca prowadzona na rzeź. Próbowała już wcześniej, bez powodzenia. Wyrwała się, gdy ją złapali. Szarpała, gdy wiązali. Bez skutku. Aż nagle więzy puściły.

Wyprostowała się gwałtownie. Wciąż leżąc, machnęła nogami, podcinając pochylonego Eloja. Mężczyzna zachwiał się i ciężko padł na podłogę. Próbował się podnieść, ale niedoszła ofiara mu na to nie pozwoliła. Zerwała się błyskawicznie i gdy tylko rządcą lekko się uniósł, walnęła go pięścią w szczękę, a potem kopnęła. Raz i drugi. Upadł, a dziewczyna skoczyła mu na pierś i zaczęła go okładać. Zasłaniała twarz rękami. Nie walczył. Krzyczał, wzywając pomocy, ale nikt nie nadbiegał.

Wreszcie Ali wstała.

– Chcę, żebyś wiedział – powiedziała cicho, podchodząc do ściany, na której wisiały miecze – że nie zabiję cię z zemsty. Nie chodzi o to, że przez ciebie mój ojciec został ścięty, a matka się powiesiła. Nie, nie dlatego cię zabiję. – Zdjęła ze ściany pięknie inkrustowany elfi oręż i podeszła do leżącego. Był przytomny, a z nosa, ust i rozciętych łuków brwiowych płynęła mu krew. Z oczu zaś wyzierało przerażenie. – Zabiję cię dla tutejszych mieszkańców, dla pogranicza i całej Krainy. Dla nich wszystkich – zakończyła szeptem.

A później wbiła ostrze w pierś rządcy.

* * *

Siwek niósł ich przez las. Ciemność otaczała słodką miękkością. Beneria, na wpół drzemiąc, opierała głowę o pierś mężczyzny, a ten uśmiechał się lekko. Cisza. Lubił ciszę, ale coś mu mówiło, że będzie musiał zrezygnować z tego upodobania. Kto by pomyślał... Krasnoludka.

Pochylił głowę, by poczuć zapach śpiącej. Ostry, korzenny. Tak właśnie pachniała przyszłość Stroidarusa.

– O cholera. – Dziewczyna wyprostowała się nagle. – Zapomniałam zapytać, jak się robi takie włosy.

Syndrom Śnieżki

Dla Oli i Kasi

Dziewczyna znów straciła równowagę i runęła w zaspę.

– Jasna cholera! Weźże mnie rozwiąż! – wrzasnęła, potrząsając głową, żeby pozbyć się śniegu. – Ile razy muszę jeszcze dupnąć?! Co ci mogę zrobić, ha?! Wielkiś jak góra łajna, co to żem ją w jednej wsi widziała. I zdaje się, że i rozumny jako i ona – dokończyła, kiedy gwardzista poderwał ją wreszcie z ziemi. – Jakbyś chociaż trochę rozumu miał, puściłbyś mnie i spieprzał gdzie oczy poniosą. Nie mówili ci, żem czarodziejowa? W perzynę obróci to wasze księstwko, jak mnie jeden włos ze łba spadnie!

– Czarodziej daleko, a królowa w zamku – filozoficznie odrzekł mężczyzna. – Kazali ubić w lesie, to mnie słuchać, a nie nad magami deliberować.

– Oż, trafił się mnie posłuszny łosień! Toż pomyśl, durnoto, co gorsze! Ta twoja pani czy mój kochany, co palcami pstryknie, a z waszego królestwa jeno szczury podziemne zostaną.

– Jakby on taki wasz był, to siedziałby z wami, a nie samej po miastach puszczać się pozwalając, ha!

– No i patrzajta, wydumał wreszcie – wyszeptała Beneria, kolejny raz żałując, że pokłóciła się z Pierwotnym i uciekła, kiedy spał. Ale czy to, cholera, jej wina, że nie chciał wraz z nią swoich byłych odwiedzać? Przecież normalne, że kobita chce poznać poprzednie flamy swojego czarodzieja, nie? No, może i trochę żółć jej pod gardło podeszła, kiedy tamtą syrenę zobaczyła... No, może i ciuteńkę przesadziła z pazurami, lecąc na rybie puszczać. Ale jak się łuskata do Stroidara uśmiechnęła...

Na owo wspomnienie znów Benerię krew zalała, a że ukochanego pod ręką nie miała, postanowiła zale wylać przed najbliższym przedstawicielem płci przeciwnej.

– A pozwala, jasna cholera! A jak się dowie, że mnie jakiś mieszaniec muła z łajnem po lesie ciągał, i to jeszcze związaną jak sarna na pieczyste, to ślad po was nie zostanie! A co?! – Zatrzymała się gwałtownie. – Nie idę, kurwa, dalej! Śniegu na kopy! Co dwa kroki zrobię, gębą w zaspę walę! Już u mnie pewnikiem nochal czerwony jak dupa jednego stwora, co na obrazkach... No, nie idę! Chcesz ubijać, ubijaj! Ale tu, bo do lasu nie polezę, kurwa, związana jak szynka!

Żołnierz spojrzał niepewnie na krasnoludkę. Do lasu zostało ledwie kilkadziesiąt kroków, ale kobieta najwyraźniej się zaparła. Musiałby ją nieść, i to jeszcze zapewne wierzgającą i wyzywającą nieustannie. A miała dziewczuszka gadane, oj, miała. Buźka

jej się nie zamykała, odkąd wyszli z zamku. Całkiem ładna buźka... To nagłe spostrzeżenie tak wstrząsnęło gwardzistą, że cofnął się o krok. Światło księżyca oświetliło naburmuszoną Benerię i zdała mu się naraz nieprawdopodobnie urodziwa, doskonała.

– Aleście piękna – wyszeptał w podziw, którego bynajmniej nie zmniejszyło rozdziawienie ust owej piękności. – Takem sobie wyobrażał boginię Triosi.

Porównanie do bogini miłości kompletnie zaskoczyło krasnoludkę. Przez chwilę chciała zapytać, czy chłopinie jaki wywar do łba nie uderzył albo czy za dziecka nie tłukli go po tej łysej makówce, żeby rozumu wbić, co najwyraźniej nie pomogło. Tak, przez chwilę nad tym dumiała.

– To może mnie uwolnicie? – zapytała jednak łagodnie. A co? Warto spróbować, przecie jak się chłopu coś naraz poprzestawiało, trza wykorzystać.

– A dacie buziaka? – nabożnie poprosił gwardzista.

Potem, pomyślała Beneria, potem się, cholera, zastanowię, o co chodzi.

– Jasne. Nawet dwa, tylko mnie rozwiążcie.

Rozanielony mężczyzna przyskoczył, żeby rozciąć więzy dziewczyny. Nie odrywał przy tym błędnego spojrzenia od najcudniejszej istoty, jaką dane było mu widzieć.

Najcudniejsza istota poruszyła dłońmi, sprawdzając, czy nadal ma w nich czucie.

– A teraz zamknijcie oczy i pochylcie się nieco – poleciała, uśmiechając się słodko do żołnierza.

Gwardzista wykonał polecenie, a dziewczyna sięgnęła po wcześniej upatrzony drąg. Zważyła go w rękach i zamachnęła się z całej siły, by trafić w pochyloną głowę.

– Ja ci, kurwa, dam buziaka! – wrzasnęła, kiedy mężczyzna upadł. – A nawet dwa! – Uderzyła drugi raz, tak dla pewności, choć najwyraźniej już pierwsze uderzenie wystarczyło, bo zamroczony żołnierz nie próbował się podnieść. – Na cześć słabej kobity nastawać się chce, co? – Uderzyła trzeci raz. Tym razem już nie w łusą łepetynę, ale znacznie, znacznie niżej. – To cię, góro łajna, zniechęci do wiązania szacownych niewiast i nastawania na ich cnotę. – Odrzuciła drąg. Sięgnęła po sporych rozmiarów nóż przypięty do pasa nieprzytomnego i wsunęła go sobie za pasek. – Nawet jeśli cnotę tej konkretnej niewiasty dawno szlag trafił – podsumowała poważnie.

Poprawiła kurtkę i rozejrzała się wokoło. Do zamkubyło daleko i trochę niebezpiecznie wracać tam, gdzie chcą jej śmierci, ale konia szkoda. Siwek został w królewskich stajniach. Niby nie ukrzywdzą go tam, owies dadzą najprzedniejszy i ciepłe sianko... no ale przecie tęsknił będzie. Westchnęła markotnie i ruszyła do

lasu. Poczeka tam i wróci po swojego konika jutro, kiedy królowka gośćmi będzie zajęta.

* * *

Frianna wciąż klęczała pośród kawałków szkła, wściekła i zrozpaczona jednocześnie. Spływające po policzkach łzy skapywały na lustrzane drobiny, więc palce królowej ślizgały się po błyszczącej w świetle świec powierzchni. Dotykała jej z czułością, pieśczośliwie i tęsknie. Żalność niemal odbierała dech, tak jak gniew na chwilę odebrał królowej rozum. Gdyby potrafiła myśleć, kiedy zobaczyła rozbite zwierciadło, nie kazałaby zabić tej głupiej krasnoludki. Stroidarus nie lubi, gdy niszczy mu się zabawki. Teraz Frianna klęczała wśród kawałków magicznego lustra i dumiała nad swoją przyszłością. Gdyby lustro wciąż było całe, może uchroniłoby ją przed gniewem Pierwotnego. Gdyby nie zabiła krasnoludki, może zdołałaby namówić go na stworzenie nowego lustra... Ogromnie dużo tych gdybań, a rozwiązania brak.

– Pani... – Stara piastunka Frianny odważyła się podejść do królowej. Była jej jedyną powierniczką, znała moc zwierciadła. – Pani, może pomogę.

– Jaaak? – załkała królowa, wskazując fragmenty lustra.

– Nie rozpadło się na bardzo drobne kawałki. – Staruszka pochyliła się nad Frianną i szklanymi szczątkami. – Może spróbujemy posklejać?

– Oszalałaś?! To nie puchar z porcelany. To magiczne zwierciadło!

Staruszka uśmiechnęła się i łagodnie położyła dłoń na ramieniu podopiecznej.

– To też magii, nie kleju, użyjemy, córciu – wyszeptła.

Frianna poderwała się z podłogi, a jej oczy rozbłysły nadzieją.

– Myślisz, że znowu będzie działało?

– Jeśli poskładamy wszystkie kawałki... To dobre zaklęcie. Łączy, co się rozpadło.

Królowa wstrzymała oddech i przygryzła dolną wargę.

– Monu, jeśli się uda... Proszę... – powiedziała cicho.

Staruszka pokiwała głową. Usiadła na podłodze i bez słowa zaczęła dopasowywać fragmenty. Po chwili zastanowienia Frianna poszła w jej ślady.

* * *

Beneria szła przez las, mamrocząc pod nosem przekleństwa. Taaa, pamiętała, że Stroidar nie lubił, kiedy przeklinała, ale przecież go tu nie ma, prawda? Za to jest mróz, gęste drzewa, jakieś dzikie stworzenia powarkujące gdzieś za jej plecami i inne,

wydające dziwniejsze jeszcze odgłosy daleko wśród zarośli. Ech, było wrócić do zamku, konika porwać ze stajni i uciekać. Z siwką raźniej by było. Nawet w lesie.

Przez jakiś czas krasnoludka szła traktem, ale potem pomyślała, że kiedy zakochany żołnierzyna obudzi się, to może i zechce szukać tej, co to go szans na potomka pozbawić chciała. Znaczący, kiedy już zdoła iść. Zachichotała pod nosem, na chwilę poprawiając sobie nastrój. Zapewne kiedy ówże ruszy w pościg, pomyśli, że słaba kobitka to w głąb lasu pchać się nie zechce. Bezpieczniej więc było w tenże las wleźć, acz trzymać się blisko traktu, żeby się nie zgubić. Tak też zrobiła. Weszła między drzewa i maszerowała, aż się zmęczyła. Kozuszek i wysokie buty chroniły przed zimnem, ale nieprzespana noc dawała o sobie znać. Musiała poszukać schronienia.

Taaa, na pewno znajdzie się piękną chałupkę w samym środku niczego. No jak nic niedźwiedzie z wilkami gospodę wyszykowały w borze i zaraz ją który w gościnę zaprosi. Ino patrzeć...

Zatrzymała się, jakby rzeczywiście oczekiwała zaproszenia od drapieżnika. Zapewne jakiś był w pobliżu, ale nie wyszedł spośród drzew. W sumie to i dobrze, bo na niedoszłego właściciela leśnej gospody nóż, który Beneria zechciała pożyczyć od swojego admiratora, mógłby nie wystarczyć.

Dziewczyna westchnęła i ruszyła przed siebie. Zrobiła znów kilkanaście kroków, po czym uznała, że nie da rady, że nogi cholernie bołą, a oczy same się zamykają. Już była gotowa szukać dziury w którymś z większych konarów, ewentualnie zwyczajnie położyć się w krzakach i liczyć na to, że nie zamarznie, gdy daleko, między drzewami, zobaczyła dym. Niezbyt gęsty, najwyraźniej ogień już dogasał, ale unoszący się wystarczająco wysoko, by nie był wspomnieniem ogniska, a dochodził z komina. Oczy Benerii rozbłyły.

– No i pięknie – wymruczała. – Niedźwiedź, wilk czy insza bestyjka, drzwi, cholera, otwieraj, panna Beneria dziś zawita w twe progi. Nogi tak mnie w rzyć włożą, że gotowa nawet wilkołakowi buziaka dać, byle kawałkiem leża się podzielić.

Na wszelki wypadek po złożeniu tej deklaracji rozejrzała się szybko, bo jakoś nie była pewna, czy spodobałaby się ona Stroidarusowi.

Chata była dość spora jak na zabudowanie pośrodku lasu. Właściwie określenie „chata” nie bardzo pasowało do piętrowego kamiennego budynku. Beneria widywała gospody mniejszych rozmiarów. Lekko zaskoczona zadarła głowę, upewniając się, że okna na piętrze również pogrążone są w ciemności.

– Patrzajcie ludziska, kamienica na zadupiu – wyszeptała z podziwem. – Z kolorowymi szkiełkami w oknach. Niech mnie więcej Stroidar w to jedno miejsce nie cmoknie, jak pięknie. I tam, o – wskazała samej sobie, bo Beneria lubiła ze sobą

pogawędzić – rzeźby nad oknami. Ale cudeńka. A w oknach, jak dobrze widzę, zasłoneczki... kurwa, haftowane!

Szła powoli, okrążając dom, nie mogąc wyjść z podziwu, bo tak zdobionego domostwa nie widziała, odkąd z Syrelle wyjechała zeszłej zimy. Naraz zatrzymała się gwałtownie, bo za budynkiem ujrzała bielone ogrodzenie z małych rzeźbionych sztachetek. Najwyraźniej ogród, chociaż w środku zimy trudno być pewnym.

– Taaa, to chyba jednak nie u dziczyzny będę dzisiaj gościć. – Pokiwała głową, po czym wróciła do wejścia. Stała u drzwi z wahaniem. Stukać, nie stukać? Jakoś tak...

Ale dom kusił ciepłem, więc zastukała.

Nikt nie kwapił się otwierać, więc powtórzyła pukanie nieco głośniejsze. Wciąż nieskutecznie.

– Co to to nie – fuknęła krasnoludka. – Nie będę spała na ganku. Nikomu się dupy ruszyć nie chce, żeby drzwi otworzyć? To se sama wleżę. O!

Nie było to trudne, bo właściciele domu najwyraźniej nie bali się złodziei i wrota pozostawili otwarte. Benerię przywitała cisza. Mieszkańcy spali. Ogień w kominku wciąż jeszcze się tlił, a izbę nadal wypełniały przyjemne ciepło i nikła pozostałość słodkiego aromatu, którego krasnoludka nie potrafiła nazwać, chociaż wydawał się jej dziwnie znajomy.

Zwiedzała parter domostwa, stąpając cichuteńko. Pasował idealnie do fasady. Elegancki, zadbany i gdzie tylko się dało upiękuszony wszelkimi możliwymi caczkami. To haftami, to malunkami, rzeźbami, porcelaną, szkiełkami.

– No ślicznie tu do wyrzygania – wymamrotała Beneria. – O! Łóżko! Kapa co prawda na nim, jakby nimfa z rusałką ścięły się w tkaniu, a śliczny bożek ruchania szczał między nimi tęczę, ale niech będzie. Jak oczy zamknę, to tego całusnego okrycia widzieć nie będę. Rano się, cholera, przedstawię. Nie moja wina, że się kładą z kurami.

To rzekłszy, wpakowała się pod niemożebnie kolorową kapę i błyskawicznie zasnęła.

Obudziły ją szepty. Uznała, że można je zignorować, odwróciła się więc na brzuch i przykryła kocem. Głosy jednak nie ucichły, przeciwnie – przybrały na sile. Westchnęła ciężko i po dłuższym zastanowieniu usiadła. Ciężkie powieki jakoś nie chciały się unieść, przynajmniej nie obie na raz. Nie żeby nie próbowała. Wreszcie się poddała i otworzyła tylko jedno oko.

Siedmiu mężczyzn zamilkło natychmiast. Wszyscy za wyjątkiem przystojnego młodzieńca w średnim wieku. Stali przy łóżku, wpatrując się z zachwytem w Benerię.

– To naprawdę kobieta – wyszeptał wreszcie najmniejszy.
– A myśleliście, że co? – Dziewczyna błyskawicznie otworzyła również drugie oko.
– Niedźwiedź z cyckami wpadł wam łóżko rozgrzać? – Opuściła nogi na podłogę, jakby chciała wstać. – No? Chcecie się gapić na mnie caluśki dzionek? Ruszcie się, to wstanę. Jadło jakie przyszykujcie, to pogwarzym.

Żaden z mężczyzn nie drgnął. Dalej gapili się na gościa z zaskakującą fascynacją. Beneria zmarszczyła brwi. Podciągnęła koc pod szyję i cofnęła się w róg łóżka. Nie, wcale się nie bała. Przecież nie mogło ją wystraszyć siedmiu chłopów gapiących się jak pies w kawał pieczystego.

– Ruszcie no dupy! – wrzasnęła nieco piskliwym głosem. – Wstać chcę!
– Rzeczywiście, kobieta – odpowiedział wysoki chudzielec, unosząc brwi. – I to bardzo nieprzyjemna.

– Ale jak? – zapytał ponownie bardzo cicho niski. – Jak?! – Oderwał wzrok od gościa, by spojrzeć na towarzysza.

– Nie wiem. – Chudzielec wzruszył ramionami. – Może jeśli damy jej odetchnąć i ją nakarmimy, a potem zadamy właściwe pytania, dowiemy się czegoś.

– Tak! – zakrzyknął krągłutki rudzielec, zacierając pulchne ręce. – Jeść! Śniadanko! Już! Już! Już! Przygotować papu! I talerzyki! I kubeczki! Już! Już! Już!

Mężczyźni rozbiegli się w jednej chwili. Pozostali tylko wysoki i niski.

– O cholera! – jęknęła Beneria. – On zawsze tak? – dodała, wskazując grubaska. – Drze się jak rodząca oślica.

– Taaak – rzucił wysoki, kręcąc głową z dezaprobatą. – Bardzo nieprzyjemna.

Krasnoludka zrzuciła okrycie, poprawiła spódnicę i zeskoczywszy z łóżka, stanęła przed chudzielcem.

– Jakbyście wy tacy mili byli, ha? – Złapała się pod boki. – Obstąpili bidną kobiecinę, że tchu złapać nie mogła. I to kiedym może i голуśka pod kocem leżała, a!

– Aleście przecież odziana była – zdziwił się niski.

– Ale mogłam nie być, co nie?! – Krasnoludka odwróciła się do niego, a chłopina aż się cofnął.

– Ale...

Beneria zmarszczyła brwi, na co mężczyzna zamilkł. Dziewczyna odetchnęła, poprawiła włosy, a później uśmiechnęła się prawie serdecznie i ponownie odwróciła do wysokiego.

– Zdaje się, że wyście tu najważniejsi. Jestem Beneria... – Nie lubiła tego mówić, bo przecież sama w to nie wierzyła, ale czasami bezpieczeństwo ważniejsze jest niż duma. Więc dodała: – I należę do Pierwotnego Maga.

– A tak, to by może i pewne rzeczy tłumaczyło. – Mężczyzna pokiwał głową. –
Gapciu, idź pomóż pozostałym.

– Co? A tak, już. Już idę. – Niski podreptał do wyjścia.

– Gapciu? – zachichotała Beneria. – Ojciec go nie kochali czy jak?

Mężczyzna uniósł brew.

– Mnie zwą Mędrak – przedstawił się zimno.

– Nie no – parsknęła dziewczyna. – Teraz to se już jaja ze mnie robicie. Co się tak krzywicie? Naprawdę? Naprawdę zwą was Mędrak? A pozostałych jak? Baryła, Smark, Chichot, Wstydzak i Zez? No co? Ten łysy to całkiem zezowaty jest. Oczywiście biegali, każde w inną stronę.

– To od nadmiaru snu. Ciągłe jest senny. Takie jego przekleństwo.

– Przekleństwo?

– Ano przekleństwo. Jesteście w przeklętym domu, w zaklętym lesie. Nie wiedzieliście?

Beneria rozejrzała się zdumiona. Naraz nadmiar barw, słodki wystrój, wszystkie te ozdoby stały się zrozumiałe.

– Nooo – odezwała się cicho – to też by wiele tłumaczyło.

Z sąsiedniej izby dobiegło wołanie. Mędrak westchnął.

– Chodźcie na śniadanie, to wam wszystko opowiemy.

Panowie podnieśli się, kiedy Beneria weszła. Dziewczyna stanęła w wejściu do jadalni, z trudem panując nad językiem. Ostatecznie wypadało być grzeczną, kiedy i gospodarze byli, prawda? Tylko jak nie skomentować ośmiu nakryć zdobionych kwiatuśkami, ułożonych na ręcznie haftowanych serwetkach? Jak nie parsknąć śmiechem na widok cacuśnych maleńkich czerwonych różyczek ułożonych w wianki wokół mis? No jak utrzymać powagę, kiedy rudy grubasek zaciera tłuste łapki i przebiera nóżkami?

Krasnoludka zdzierżyła, choć łatwo nie było.

– Radziśmy – spojrzenie ładnego młodzieńca uciekło w bok, a głos ledwie było słychać – tak miłej komitywie.

– Ano. – Radosny brunet zachichotał. – Szczęście... haha... Szczęście ogromne...

– Zaszczyt po zbójcu. – Rudy grubasek naraz wystawił język, co wprawiło Benerię w kompletne osłupienie. Akurat on wydawał się jej od początku dość miły. Bez słowa, choć jak już wiadomo, łatwo nie było, usiadła na wskazanym jej miejscu. Poczekwała, aż pozostali zajmą swoje, i dopiero wtedy zagaiła:

– Znaczący nie dogodziliście jakiejś czarodziejce, a ta was w las wysłała?

Nieśmiały poczerwieniał gwałtownie, krztusząc się przy tym kęsem właśnie połykanego chleba. Sąsiad trzasnął go więc przez plecy, aż chłopakowi łyzy pociekły po ładnej buźce. Wypłuł jadło, pochylił się i skulił, jakby dzięki temu mógł stać się niewidzialny.

Mędrek przewrócił oczyma i znów popatrzył na gościa zde gustowany.

– Można tak rzec – odpowiedział niechętnie. – Zakłęta ogród, dom i nas w nim. Żaden z nas nie może domostwa opuścić i jak dotąd, a minęło już sporo zim, nikogo nie gościliśmy. Chyba że i wy trafiliście tu przez czar? – zapytał mocno zaniepokojony.

– Nie, tradycyjnie, przydrałowałam, uciekając przed napalonym huncwotem – wyjaśniła Beneria. – Przednie jadło. Ino rzeknijcie mi, skąd ono u was, skoro wychodzić nie możecie?

– Jak dom, zaczarowane. Pojawia się każdego ranka w spiżarni.

Dłoń dziewczyny zatrzymała się w pół drogi do ust, a potem powolutku odłożyła kawałek pieczeni.

– Zaczarowane?

– Ale jak? Jak? – dopytywał się Gapcio, wpatrując w krasnoludkę.

– No dyc wy chyba lepiej wiecie. – Beneria uśmiechnęła się.

– On raczej chce wiedzieć, jak wy się do nas dostaliście – wytłumaczył Mędrek.

– Przecie mówiłam: tradycyjnie. Przyszłam w nocy, pukałam, aleście nie otwierali. Zimno było, to nie chciałam czekać ranka i weszłam bez zaproszenia.

Mężczyźni spojrzeli na siebie, a potem znów na gościa.

– No czego? – zapytała poirytowana krasnoludka. – To znowu takie dziwne nie jest, że nikt was nie odwiedzał. Mieszkacie na zadupiu, gdzie ino dzika gadzina zagląda...

– Na wiosnę przechodzili tędy drwale – przerwał jej Mędrek. – Krzyczeliśmy do nich, ale ani nas nie widzieli, ani nie słyszeli.

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

– A to rzeczywiście czary muszą być, choć nie takie znowu mocne. Zamykające zakłęcie byle wiedźma rzucić może. Ta zamknęła całą waszą gromadkę, więc nie najpośledniejsza jest.

– A wy skąd wiecie? – burknął grubasek. – Samaście wiedźma, co? Dlategoście weszli.

– Się weź zastanów, co gadasz... – Zezowaty ziewnął, przymykając jedno oko. – Toż ona krasnoludem jest. Z domieszką, bo z domieszką, za ładna na krasnoluda bez obcej krwi, ale jednak. Widział ty kiedy krasnoludzką wiedźmę?

– To niby jak...? – zapytali jednocześnie grubasek i Gapcio.

– Należy do Pierwotnego Maga – wyjaśnił Mędrak.

Panowie zamilkli, gapiąc się na Benerię. Ona zaś oparła się wygodnie i uśmiechnęła szeroko.

– Ano, jestem Stroidarusa – potaknęła. – To tak żeby wam do głów nie przyszło co głupiego.

– I puścił was samą? – zapytał cichuteńko nieśmiały.

– A co was to wszystkich...? – zezłościła się dziewczyna. – Toż nie jestem przedłużeniem już wy tam wiecie czego szacownego maga. Rozum swój mam! I wolna ze mnie krasnoludka! Mogę łązić, gdzie chcę! – To, że akurat Stroidar miał nieco inne zdanie na temat tego ostatniego, postanowiła pominąć milczeniem.

– Użyliście pierwotnego zaklęcia? – zapytał Mędrak.

– Zaklęcia?

– Żeby tu się dostać?

– Niczego nie używała. Ta wiedźma to się chyba nie waszego rozumu obawiała, co? Przecie jużem dwa razy prawila, żeście otwarte mieli, to i wlażłam.

– Może... – Milczący dotychczas zakatarzony blondyn poderwał się ze stołka. – Może czar minął?! – Rzucił się ku drzwiom.

Pozostali, za wyjątkiem Mędrka, poszli w jego ślady. Ledwie kilka uderzeń serca później wrzask wstrząsnął kamienicą. Beneria drgnęła, bo krzyk zaiste był przerażający.

– Próba wyjścia zawsze jest bardzo bolesna – wyjaśnił Mędrak.

– Was jakoś nie poniosło sprawdzać?

Mężczyzna popatrzył na nią z wyższością.

– Gdyby czar zdjęto, rankiem nie pojawiłby się posiłek, a ja zapewne pamiętałbym moje imię.

– Toście jednak nie Mędrak? – Mrugnęła figlarnie.

Niestety gospodarza nie rozbawiła.

– Nie sądzę – odpowiedział ze śmiertelnie ponurą miną. – Żaden z nas nie pamięta swego miana.

– Nie żebym coś... ale jakbym ja zapomniała, jak mnie dali przy urodzeniu, to takich jak wasze bym raczej nie przyjęła – wymamrotała Beneria. – A resztę pomnicie?

– Nie da się! – Zakatarzony wpadł do izby, ocierając nos. Nad górną wargą zostało mu kilka kropli krwi. Najwyraźniej to on pierwszy sprawdzał działanie zaklęcia. Pozostali weszli za nim z opuszczonymi głowami.

– Jaką resztę? – Mędrak zignorował przyjaciół.

– No resztę. Coście robili, gdzieście mieszkali... takie tam. Pomnicie?
– Tak.
– No to opowiedzcie. – Beneria uśmiechnęła się słodko.
– A po co?
– Nakarmiliście mnie, w gościnę przyjęli, to zdałoby się jakoś odwdzięczyć – wyjaśniła grzecznie. – Może wymyślę, jak pomóc wam się wykaraskać z tej opresji.
Kiedy mężczyźni wpatrzyli się w nią z nadzieją, poczuła niejaki wyrzut sumienia. Ostatecznie żadna z niej czarownica, chciała tylko jakoś czas zabić do wieczora. No i nie ma jak ciekawa historia po obfitym posiłku.

* * *

Wkrótce okazało się, że poskładanie magicznego lustra bynajmniej nie jest takie proste. Tym bardziej że nastał środek nocy, a oczy Frianny zaczęły odmawiać posłuszeństwa. Wreszcie zasnęła wśród kawałków szkła, jeden z nich dzierząc w dłoni niczym talizman.

Obudziła się, gdy słońce było już wysoko. Sama we własnej sypialni. Od lat nie budziła się sama, zawsze towarzyszył jej jakiś przystojny młodzieniec. Nawet kiedy jeszcze żył król. Cóż, był stary, a ona nie znosiła jego dotyku. Na szczęście umarł szybko, a Friannę jednogłośnie wybrano królową. Nikt z Rady Królewskiej nie potrafił się oprzeć urokowi młodej wdowy... Urokowi zwierciadła. To ono sprawiało, że mimo upływu lat wciąż mogła wybierać kochanków. Żaden nie potrafił się jej oprzeć. Żaden. Lustro w tajemnej komnacie każdego poranka i każdego wieczoru mówiło, że jest najpiękniejsza.

A ta suka go rozbiła. Suka Pierwotnego.

Frianna usiadła w łóżu. Bolesny ucisk w piersi zapał jej dech. Rozpacz ponownie wkradła się do serca. Rozpacz i strach. Nadzieja, którą poprzedniego wieczoru piastunka wlała w serce królowej, skonała wraz z nocą. Pierwszy raz w życiu Frianna bała się spojrzeć w odbicie na toaletce. Pierwszy raz policzyła upływające lata i wspomniała, że młodość minęła. Jak poradzi sobie ze wszystkim bez mocy lustra? Jak poradzi sobie z furią Stroidarusa? On będzie wiedział. Na pewno będzie wiedział.

Długo siedziała, ze strachu i bezsilności przygryzając wargi, samotna i przerażona. Kiedy wreszcie uznała, że czas zmierzyć się ze światem bez zwierciadła, ktoś zapukał w drzwi komnaty. Pukanie musiano powtórzyć trzykrotnie, nim królowa odpowiedziała:

– Wejść!

Piastunka stanęła w progu, a Frianna już wiedziała. Załkała rozpaczliwie.

– Nie płacz, pani. – Staruszka bardzo szybko, jak na swój wiek, podeszła do królowej. Objęła ją jak kiedyś, w dzieciństwie, i kołysała z matczyną czułością. – Naprawimy je. Tylko nie płacz.

– Ale... jaaak?

– Brak jednego kawałka. Zapewne ta – zatchnęła się na moment – krasnoludka zabrała ze sobą. Nie możemy posklejać bez niego. Zakłęcie nie zadziała.

– Zabrała? Ale ona...

– Posłałam już po żołnierza, który... zajął się tamtą. Znajdziemy truchło, to znajdziemy i szkiełko. Nie płacz.

Załzawione oczy ponownie napełniła nadzieja. Tym razem jednak zmieszana ze strachem.

– Musimy, Monu. Bez zwierciadła...

– Zawsze będziesz piękna, córciu – wyszeptała piastunka, tuląc królową.

– Nie rozumiesz – Frianna wczepiła się w ramiona staruszki – że Stroidarus nie wybaczy? Tylko zwierciadło może nas uratować.

Wkrótce przyprowadzono gwardzistę z pokiereszowaną twarzą. On zaś, spojrzawszy na królewską piastunkę i samą królową, padł na kolana i wyznał prawdę.

* * *

Mędrek zastanawiał się chwilę, nie wiedząc najwyraźniej, ile może powiedzieć gościowi.

– A skąd pewność, że uda wam się wyjść? Może zostanieie tu z nami na zawsze? – zapytał w końcu.

– Może – przytaknęła spokojnie Beneria. – Chociaż nie wydaje mi się, żeby Stroidar pozwolił, coby jego dobro w lasach się marnowało. – Mrugnęła figlarnie. – Mogę też od razu wam pokazać, że wyjść potrafię. Ino się zastanówcie, bo jak polezę, mogę nie dać rady wrócić. A tak, jak już mi rzekiecie co i jak, to może i z Pierwotnym coś uradzim. Nawet jeśli wrócić nie zdołam.

– Powiedz, Mędreku, powiedz!

– Tak, opowiadaj! – przekrzykiwali się gospodarze leśnej kamienicy.

Wywołany odetchnął głęboko i po raz pierwszy wykrzywił usta w coś na kształt uśmiechu. Beneria naraz pojęła, że Mędreku, tak jak i ona, bardzo lubi być w centrum uwagi. Zamiast więc rzucać jakieś kąśliwe słówka, grzecznie czekała na opowieść.

– Wszyscy służyliśmy naszemu królowi – zaczął Mędreku. – A króla mieliśmy dobrego. Nie był już najmłodszy, gdy wziął nową żonę. Piękną niczym duchy

światłości. Żaden mężczyzna nie potrafił przejść obok niej, nie oddawszy i duszy, i serca miłościwej pani...

– Taaa – mruknęła Beneria, choć jeszcze przed chwilą obiecywała sobie milczenie do końca historii. – Poznałam ja ten... ekhm... wzór cnót niewieścich.

Mężczyzna zmarszczył brwi, ale kontynuował:

– Toż i my służyliśmy najukochańszej naszej władczyni duszą i sercem. Gapcio był nadwornym pisarzem, Wesolek – błaznem, Apsik – lekarzem, Gburek zarządzał kuchnią, Śpioszek był kapitanem straży pałacowej, a ja doradcą naszego króla.

– Kurwa, nie zmożę. – Beneria chichotała, kiedy Mędrak wymieniał imiona. – Nie no... ście se wybrali przydomki... No niech was szyści.

Siedem par oczu spojrzało na dziewczynę z wyrzutem. Przygryzła więc drżącą ze śmiechu wargę i wyszeptła:

– Oj tam zaraz, nie ma co się obrażać. Kontynuujcie... Wyście byli doradcą. A ten, co krwi na poliki dostaje, jak tylko nań spojrzę?

– Nieśmiałek? – Wszyscy popatrzyli na młodzieńca, a ten rzeczywiście spłonął purpurą i pochylił głowę. – W sumie to nie wiemy. Pojawił się na dworze tuż przed naszym uwięzieniem. Już po śmierci naszego pana.

Krasnoludka przyjrzała się Nieśmiałkowi. Oceniała jego urodziwą twarz, ciało w lekkiej koszuli i dopasowanych spodniach. Szczególnie jedną z części owego ciała, która pod jej spojrzeniem naraz urosła. Pokiwawszy głową, stwierdziła:

– Dobra, ja wiem, jaka była jego służba na dworze. No tośmy już uzgodnili, żeście wiernymi sługami i jaśnie pana, i przecudnej pani waszej byli. Ino wciąż ni cholery nie pojmuję, za coście wylądowali na Zadupiu Wielkim. Znaczy czemu on – wskazała Nieśmiałka – w życiu nie pokapuję. Bo jeśli o was chodzi – skinęła Mędrkowi – to nawet nietrudno pojąć.

– Chcecie reszty czy nie? – poirytował się naraz Mędrak, bo bez trudu zrozumiał aluzję.

– Nie no, mówcie. Ciekawam okrutnie.

Mężczyzna wzniosł oczy ku niebu, co – Beneria musiała to uczciwie przyznać – wielu się zdarzało, którzy z nią w dyskusje się wdawali. Znać już tak wpływała na ludzi, że się bogobojni robili.

– Kiedy pan nasz konał, wezwano Apsika. A ten mi doniósł, że mu się ta królewska choroba wydaje i za nagłą, i dziwną niewymownie. Bardziej czary, a nie naturalne zejście przypominała. Zawołaliśmy prędko kapitana straży i pisarza korony, coby ten pierwszy miał na wszystko baczenie, a ten drugi opisał co trzeba. Jeszcze wzięliśmy na spytki kucharza, czy się ktoś przy posiłkach pana naszego nie kręcił. Ale nic z tych

rozmów nie wynikło. Tyle, że po kilku niedzielach wszyscyśmy się obudzili w leśnej kamienicy, a nikt z nas imienia swego nie pamięta. Czasami myślę – zawahał się, ścisząc głos – że gdyby któryś z nas głośno swoje imię wypowiedział, czar by prysnął. Długo żeśmy deliberowali nad tym, z jakiego powodu akurat my wiedźmie podpadliśmy, i tak nam pasowało, że z powodu owych narad po śmierci jaśnie pana. Ot, cała historia.

– A Wesołek?

– Co Wesołek?

– O nim żeście w historii nie wspomnieli.

– A bo ja zawsze się wszędzie wkręciłem – wyjaśnił wesoły brunet. – I wtedy też siedziałem w kąciuku. Oni nie pomną, ale wiedźma wiedziała.

Beneria pokiwała głową.

– Ano, wredna z niej suka. Chociaż, jak se tak pomyślę, mogliście gorzej skończyć. Zamiast kamiennego dworku w borze mogła wam uszykować ziemisty kopczyk za murami miasta. Aż dziw, że nie sięgnęła ostatecznego rozwiązania. Czary przecie zawsze odczynić można, a trucizny czy strychezek to już niekoniecznie.

Panowie spojrzeli na siebie, jakby taka myśl nigdy wcześniej do głowy im nie przyszła.

– Rzeczywiście. – Mędrak wyglądał na bardzo zaskoczonego. – Dziwne.

– Najwyraźniej ta wasza królowka ma jakieś resztki sumienia – podsumowała Beneria.

– Jak to? – zapytał niewyraźnie Gapcio. – Jak to nasza królowa?

Pozostali też patrzyli na krasnoludkę zdumieni. Dziewczyna zmarszczyła brwi.

– No a kto? Toż z niej wiedźma jest. I męża ukatrupiła jak nic. A młodego – wskazała na Nieśmiałka – jak się jej w łóżnicy znudził, to z wami zesłała.

– Oszalałaś, kobieto?! – krzyknął Mędrak.

– Ja... nigdy... z królową... – szeptał Nieśmiałek.

– No ale... – zaczęła Beneria.

– To nie pani jest wiedźmą!

– Nie? To kto? – zapytała zdziwiona krasnoludka.

* * *

Monu stała przed leśną kamienicą i po raz kolejny zastanawiała się, czy jednak nie powinna jej podpalić albo zesłać innego kataklizmu. Lata temu wydało jej się zabawnym ćwiczeniem stworzenie tego miejsca i wysłanie doń niewygodnych i zbyt ciekawskich dworzan. I chłopca, który odmówił jej swych wdzięków, oczywiście.

Zadbała nawet o wystrój wnętrza. Irytująco barwny i kobiecy. Ot, też dla rozrywki. Czasami, niewidzialna dla mężczyzn, wkradała się do środka i obserwowała, jak daremnie próbują przypomnieć sobie imiona, licząc, że to uwolni ich z więzienia. Zaklęcie tak nie działało, ale zabawę miała przy tym przednią.

Z czasem jednak utrzymanie aktywnego czaru kosztowało ją coraz więcej energii, a – jak słusznie zauważyła krasnoludka – magię zawsze można cofnąć. Ryzyko stawało się coraz większe... Monu nie lubiła zabijać. Krew osłabiała moc. Czasami jednak należało przeliczyć koszty i podjąć decyzję.

Stała więc i patrzyła, kalkulując. A potem postanowiła.

Najpierw jednak musiała poczekać na krasnoludkę. Potrzebowała jej żywej. Przynajmniej dopóki dziewczyna nie odda lustrzanego okrucha. Później...

W przeciwieństwie do córuchy, Monu nie bała się zemsty Stroidarusa. Kiedyś, dawno temu, zakosztowała Pierwotnego i wiedziała, że żadna kobieta nie jest dla niego ważna. A już na pewno nie jakaś... krasnoludka.

* * *

Kiedy nadszedł wieczór i słońce zaszło, Beneria zrozumiała, że z mężczyznami w tej okolicy Krainy jest zdecydowanie coś nie tak. Ledwie księżyc zajaśniał na nieboskłonie, a mieszkańcy leśnej kamienicy zaczęli ostentacyjnie adorować swojego gościa. Nieśmiałość wzdychał, siedząc w kącie izby, wpatrzony w Benerię z psim oddaniem. Wesolek chichotał głośno. Gburek co rusz wystawiał język, przypominając zdychającego ze zmęczenia grubego kundelka. Apsik ze trzy razy nasmarkał dziewczynie na kołnierz, bo mimo ostrzeżeń wciąż podchodził za blisko. Gdy zaś Beneria uciekła od zasmarkacza i zaszyła się w kącie, ledwie odwróciła wzrok, a już na jej podołku drzemał Śpioszek. Po drodze ze dwa razy potknęła się o Gapcia, który podejrzenie chętnie wyciągał ku niej ręce z pomocą. Nawet Mędrek co rusz szukał jej towarzystwa, opowiadając niezrozumiałe historie.

– Jasna cholera, ogłupiały te chłopcy! – zezłościła się wreszcie dziewczyna. – Pójdą w cholere, no!

– Ale, Benerio droga... – zaczął Mędrek.

– Żadna, kurwa, droga! – Ruszyła ku wyjściu. – Na łby wam wszystkim padło?! Idę! Już! Siwek na mnie czeka.

– Ale Benerio... – wyszeptał Gapcio płaczliwie.

Przewróciła oczami, stojąc już w otwartych drzwiach.

– Dobra, obiecałam, że coś poradzę, to poradzę, nie? – I wyszła w mrok.

Wiedziała, że jeśli się odwróci, zobaczy siedem naraz rozkochanych twarzy. No, może sześć, bo gówniarz Wstydziak pewnie gapił się przez lufcik. Dlatego się nie odwróciła.

Zrobiła ledwie kilka kroków, gdy dostrzegła starowinkę. Kobięcina siedziała na pieńku i kołysząc się, nuciła jakąś smętną piosenkę. Beneria stanęła, świadoma, że powinna omijać ludzi. Nigdy nie wiadomo, jakie mają zamiary, ani czy królowka nie wyznaczyła za nią nagrody. Powinna, ale kobieta na pieńku wydawała się jej taka samotna i nieszczęśliwa, że współczujące krasnoludzkie serce nie pozwoliło Benerii przejść obojętnie.

– Ej, babciu, bo zamarzniecie w lesie! – krzyknęła do staruszki.

Starowinka zamilkła i powoli podniosła wzrok.

– Jabłko mam – oznajmiła, wyciągając ku dziewczynie rękę. – Zjecie jabłko? Czerwone i soczyste. Najlepsze.

I właśnie w tym momencie Beneria po raz kolejny pożałowała, że zostawiła Stroidarusa śpiącego w domu, a sama polazła poznawać jego byłe. I że wybrała Friannę. I że zachciało się jej macać tamto przekłete lustro. W ogóle pożałowała, że ma upór po babce. A babka pewnie była, kurwa, oślicą.

– A co ja, cholera, szkapą jaką, żeby się ogryzkami karmić? – zapytała łagodnie.

Staruszka cofnęła się lekko, prawie spadając z pieńka. Zaraz jednak wstała.

– Dobrze jabłuszko – zaśpiewała cicho. – Pyszne jabłuszko. Mówi do ciebie. Zjedz jabłuszko.

– Sratatata – warknęła Beneria. – Toż ja, głupia więdźmo, od dwóch zim z Pierwotnym mieszkam. Nie na mnie takie magiczne ględzenie.

W jednej chwili miła starowinka zmieniła się we wściekłą furię. Odrzuciła jabłko. Zasyczała, zajęczała i wycharczała:

– Therde ughre! Therde ughre!!!

W dłoni kobiety pojawiła się ognista błękitna kula. Monu zamachnęła się...

Ogień poszybował nieprawdopodobnie szybko. I mimo że Beneria odskoczyła, kula osmaliła jej policzek. Dziewczyna wrzasnęła. Wyrwała zza paska nóż. Druga kula już leciała w jej kierunku. Beneria padła na ziemię, a potem błyskawicznie się podniosła.

– Ty!!! – Rzuciła się ku więdźmie. – Ogniem?! We mnie?!

Trzecia kula była w drodze...

Krasnoludka pchnęła. Jeden szybki zamach i nóż poszybował idealnie do celu.

Zakłęcie ucichło w pół słowa. Czarownica jęknęła i zwała się na ziemię. Leżała, patrząc w niebo gasnącymi oczyma. Kiedy Beneria podeszła ku niej, Monu spojrzała na krasnoludkę.

– Kto się teraz moją córcią zaopie... – wyszeptała jeszcze.

* * *

Stroidarus udawał, że śpi, kiedy Beneria wróciła do domu. Nagi i piękny. Potężny ten mój czarodziej, pomyślała krasnoludka z zadowoleniem. I nie o czarach dumiała, patrząc na nagość kochanka.

– Będziesz tak stała i się gapiała? – zapytał Pierwotny chłodno. Bo przecież nie mógł się jej przyznać, że nie przespał jednej nocy ze zmartwienia, od kiedy odeszła.

– A jakby było na co – odpowiedziała krasnoludka, bo przecież nie chciała, żeby wiedział, jak tęskniła do tego widoku.

– No bo jest – zaśmiał się mag. Pociągnął Benerię na posłanie. Wsunął palce w rude, jak zwykle splątane włosy i ją pocałował. Gwałtownie, zaborczo.

Naraz syknął.

– Cholera, kobieto, palce sobie pokaleczę. Coś ty w tę czuprynę wcisnęła? – Wyciągnął kawałek szkła z włosów dziewczyny i nie patrząc nań, rzucił na podłogę.

Złoty smok z Itru

Syreni ogon połyskiwał w słońcu, odbijając promienie przy każdym, najmniejszym nawet ruchu, zupełnie jakby był pokryty diamentami albo lustrzanymi drobinkami. Beneria przekrzywiła głowę. Zmrużyła kolejny raz oczy, znów oślepią blaskiem, i wreszcie skrzywiła się niemiłosiernie.

– To prawdziwe czyście ino się odziali w jakie złotogłowie, coby mnie z nóg zwałiło? – zapytała złośliwie, wskazując syreni ogon. – Bo jak to drugie, to wybaczcie, ale nogi durne, to i nie pojęły, że ugiąć się trza.

Syrena odrzuciła złote włosy i spojrzała na dziewczynę z wyższością. Ogon drgnął, ponownie skrząc się setkami świateł, ale jego właścicielka milczała.

– To może se pomacam, bo wiecie, taki cud natury się mnie drugi raz może nie trafić – skonstatowała filozoficznie krasnoludka i zrobiła ruch w kierunku siedzącej na skale Colinery.

Osiągnęła tym zamierzony cel, bo syrena szarpnęła się gwałtownie. Strzepnęła z ogona ostatnią kroplę wody, a wraz z nią jednym błyskawicznym ruchem łuski. Na moment wyścieliły wodę u podnóża skały niczym połyskliwy dywan odbijający słońce feerią barw, by zaraz zniknąć. Nie zatonęły, po prostu rozplynęły się jak piana na falach.

Colinera tymczasem rozprostowała długie nogi, a potem wstała i powoli zesła ze skały. Kiedy jej stopy dotknęły wody, Beneria odruchowo wstrzymała oddech. Zawsze sądziła, że syreny nie mają władzy nad przemianą, czekała więc na powrót łusek. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Fale na płyciźnie łagodnie obmywały nogi syreny, dopóki ta nie wyszła z morza, uważnie stąpając po suchych kamieniach na brzegu. Stała przed krasnoludką, naga i piękna, jak tylko piękne mogą być syreny, i spojrzała na dziewczynę z góry.

– Użyłaś magicznej muszli – warknęła, mrużąc powieki. Nawet nie próbowała ukrywać gniewu. Beneria gapiała się zafascynowana. Jak to, cholera, mogło być, że kiedy ona się złości, wygląda jak borsuk, co to go ogary wypatrzyły wśród sitowia, więc musiał spieprzać, nie bacząc na okolicę, a kiedy toto zgrzyta zębami, wciąż jest takie gładkie i śliczniutkie?

– Ano wzięłam i dmuchnęłam w muszelkę – potaknęła wreszcie dziewczyna, bo Colinera z wolna zaczynała przypominać kogoś, komu cierpliwość jest kompletnie obca.

– Zauważyłam. Zmusiłaś mnie do wyjścia z głębin.

– Niby tak to miało być, nie? Ja dmucham, wy wyłazicie i spełniacie jedno moje życzenie. Tak, co nie? – Beneria uśmiechnęła się krzywo, świadoma narastającej irytacji wodnej pani. Ostatecznie krasnoludkę też nie przywiodła nad morze miłość do fal ni tęsknota za skrzelami, jeno straszliwa wściekłość.

– Pokróćce. Czego w takim razie chcesz, dobra kobieto?

– Tego, co jest moje, a wyście se zatrzymali – odpowiedziała lekko Beneria, chociaż sam dźwięk tych słów przypomniawszy, po co przyszła do Colinery, i gniew targnął dziewczyną.

– A jesteś pewna, że to twoje?

Krasnoludka zgrzytnęła zębami i zrobiła krok ku syrenie. Ta zaś cofnęła się nieco wystraszona, bo dziewczyna miała morderczy wyraz twarzy.

– Jakbyście magii syreniej nie użyli – syknęła Beneria przez zaciśnięte zęby – tobyście i pytania takiego zadać nie mogli. W muszlę dmuchnęłam, więc oddawajcie bez gadania!

Syrena uśmiechnęła się złośliwie i odrzuciła złote włosy na plecy.

– Niekompletna ta twoja edukacja, krasnoludzka kobieto. Nikt ci nie powiedział, że będę musiała spełnić życzenie... wtedy i tylko wtedy, gdy ty spełnisz moje?

Zaskoczona Beneria zagapiła się na Colinerę.

– Znaczy...

– To magia wiążąca, moja droga. – Piękność wygięła wzdorliwie usta. – Nie oddam ci... tego, co nazywasz swoim, dopóty, dopóki ty nie spełnisz mojego życzenia. Proste i eleganckie, prawda?

Dziewczyna zamrugnęła. Przez chwilę patrzyła jeszcze, nie dowierzając, a potem zaciśnęła usta, wzięła się pod boki i postąpiła ku wodnej pani.

– Dawajcie no to życzenie, cholera – warknęła wściekle. – Już ja je wam spełnię!

* * *

Starożytny smok z królewskiego rodu z Itru, obrawszy ludzką formę, siedział na ławeczce przed gospodą i gapił się w gwiazdy. Skrzące się na granacie nieba drobiny przypominały mu o dylemacie moralnym, z którym właśnie się zmagał. I nie, nie była nim owa słodka dziewczuszka, która czekała na niego w niewielkiej izbie na pięterku gospody. Bo i niby dlaczego miałaby być? Że miała nie więcej niż siedemnaście wiosen i – tego smok był absolutnie pewien – wciąż była nietknięta? Każda przecież kiedyś była, a potem nadchodził taki moment i taki mężczyzna, że dziewczyna być nietknięta przestawała. Dlaczegoż nie miałby to być ten moment i ten konkretny mężczyzna... smok, Yhkredtherdurhe Anhe Hredhertgherre, dla przyjaciół Yh,

skoro panna tak bardzo nalegała? Sama przecież przysłała. I prawie błagała. Nieładnie dziewczęciu odmawiać. Toż serca musiałby nie mieć, żeby powiedzieć *nie* takiej cudnej, miłej panience, co to właśnie jemu wianuszek chciała oddać, prawda?

Toteż nie burmistrzówna była powodem dylematów moralnych Yha. Właściwie gdyby nie ówże powód, już dawno spełniłby prośbę panienki, rozdziewiczył ją, usatysfakcjonował... i to pewnie kilka razy.

Yh westchnął, a potem spojrzął na leżący na kolanach list. Już samo to, że Colinera postanowiła napisać... Bogowie, smok nie sądził dotychczas, że kuzyneczka w ogóle potrafi to robić! Cóż, niewiedza była domeną syreny. Z jednej strony przez ostatnie dziesięciolecia kojarzył ją z różnymi... ekhm... przeróżnymi talentami, głównie związanymi z nagością i głośnym wzywaniem bogów. Z drugiej – tak jak i on pochodziła ze szlachetnego rodu... Nic to. Kartka papieru na smoczych kolanach wyraźnie dowodziła, że Colinera jednak nie jest taką ignorantką, za jaką miał ją kuzyn. A szkoda. Nie dość bowiem, że syrena napisała, to jeszcze użyła magicznego papieru, który pojawił się znikąd w niewielkiej izbie, w tej samej chwili, w której śliczna panna zdejmowała sukienkę. Yh mógłby ostatecznie zignorować szum, ale rozbłyski nie chciały ustać dopóty, dopóki nie sięgnął po list. Rozjaśniły całą izbę, oślepiając i dziewczuszkę, i smoka. W sumie może i to również by zbagatelizował, ale takie światło mogło ściągnąć do izby pół miasteczka, a tego by nie chciał.

Teraz więc siedział przed gospodą i gapił się w gwiazdy, a na jego kolanach leżał powód smoczego dylematu moralnego. Gdzieś za jego plecami czekała na niego chętna śliczna panienka, a on siedział i myślał.

Bogowie, do czego to doszło!

Bo i też miał o czym myśleć: Colinera obiecała oddać mu za przysługę artefakt, którego pragnął już od... od bardzo dawna. A Yh uwielbiał magiczne artefakty prawie tak bardzo, jak kosztowności i chędożenie. Matka przepowiadała, że któraś z tych rzeczy wreszcie go zgubi, bo co za dużo to niezdrowo. Cóż, to przecież matka – musi straszyć, prawda? Wszak nie można przesadzić z chędożeniem, a już na pewno z pragnieniem posiadania. Taki werdeański czajniczek... zaprawdę zacny przedmiocik. I przydatny wielce. Yh trzymał go kiedyś w dłoniach i zapragnął niemal tak mocno, jak owej panienki w izbie na górze. Może nawet bardziej, bo pragnienie czajniczka wciąż trwało, a o pannie pewnie za dwa miesiączki i wspomnienia nie stanie. Colinerze artefakt na nic, a oddać nie chciała. Aż do dzisiaj.

Gdybyż tylko ceny nie wyznaczyła tak wygórowanej...

– Panie... – Cichy głos ślicznej burmistrzówny wyrwał mężczyznę z zamyślenia. Stała przy nim w cieniutkiej koszulce. Jasne włosy ciężkimi puklami opadały na

ramiona i wiły się ku piersiom. Chłodny wieczorny wiatr przyciskał materię do ciała, rysując każdy kształt, jakby dziewczę stało nagie. Yh odetchnął powoli. Zaiste, na niczym pannie nie zbywało, a i braków żadnych nie dojrzał.

– Nie chcecie już, panie? – zapytała drżącym głosem i zrobiła niepewny krok ku siedzącemu.

Przyglądał się jej przez chwilę. Hmmm... może jednak powinien mieć i tutaj dylemat?

– A ty, moja droga, na pewno chcesz?

Zacisnęła usta i potaknęła bez słowa.

Yh pokiwał głową. Z namaszczeniem poskładał list, ale gdy zamierzał włożyć go za pas, papier rozbłysnął... i zniknął.

– Dobrze więc, Erice. – Smok wskazał dziewczynie drzwi gospody. Jeszcze jej nie dotknął. Zawsze ktoś mógł patrzeć. – Zimno się robi. Zmarzniesz.

Patrzył za nią, kiedy wchodziła po schodach. Szła miękko, kołysząc biodrami, a materia koszuli opinała się przy każdym kroku. Czy robiła to specjalnie, czy miała wrodzony dar? Grunt, że krew w smoczych żyłach krążyła coraz szybciej.

Weszli do izby, a Yh zamknął drzwi na zasuwę i oparł się o nie, czekając. Dziewczyna stanęła na środku małego pomieszczenia. W świetle dogorywającego kaganka mężczyzna ledwie mógł dojrzeć jej kształty, ale i tak wiedział, że drży. Już miał powiedzieć, że jednak zmienił zdanie, kiedy burmistrzówna szybkimi, nerwowymi ruchami zrzuciła koszulę.

– Ja naprawdę chcę. Wyście smok z Itru – powiedziała spokojnym tonem. – Lepszego na pierwszy raz nie znajdę.

– Skąd wiesz? – zaniepokoił się Yh.

– Żeście smok? Wszyscy w mieście wiedzą. Dlatego do was przyszłam. Jesteście tacy piękni, a i służki mówią, żeście w tym wprawni.

Podeszła do niego i położyła dłonie na piersi mężczyzny. W przeciwieństwie do głosu wciąż lekko drżała. Dziewczyna uniosła głowę i z napięciem patrzyła w złote oczy smoka. Yh milczał, ale pożądanie już grało w żyłach. Burmistrzówna w tym czasie szybko rozplątywała troczki męskiej koszuli. Muskąta przy tym odślanianą skórę, z każdym ruchem podniecając bardziej smoczego kochanka. Kiedy rozsznurowała do połowy, wsparła się leciuteńko o nagi tors i powolutku przesunęła po nim sterczącymi sutkami.

– Zróbcie mi to, panie – wyszeptała w usta mężczyzny, a potem go pocałowała.

Całowała niewprawnie, ale za to z zapałem. Napierała przy tym coraz mocniej na smoka. Słyszał jej szybki oddech, jękliwe westchnienia...

– Zróbcie – błagała. Złapała jego rękę i położyła sobie na piersi.

Yh zaśmiał się gardłowo, a potem oddał pocałunek. Stwardniały sutek pieścił wnętrze jego dłoni, kiedy wolniutko zamknął palce na jędrnej, pełnej piersi. Burmistrzówna jęknęła głośno i wygięła się, napierając biodrami na biodra kochanka.

– Powoli, dziewczyno – szepnął.

Objął ją mocno i poderwał z podłogi. Błyskawicznie owinęła się wokół niego udami i otarła zachęcająco. Jęczała przy tym coraz głośniej i wbijała paznokcie w szerokie ramiona Yha. Mężczyzna odetchnął, zrobił krok i opadł na łóżko, pociągając dziewczynę na siebie. Przez moment leżała bez ruchu, nie wiedząc, co robić. Zaraz jednak zsunęła się z kochanka i sięgnęła do jego spodni. Szarpnęła raz i drugi, aż rzemienie puściły i uwolniła to, czego pragnęła. Wtedy zamarła. Przygryzła usta i patrzyła niepewnie. Yh czekał. Łatwo nie było. Krew płonęła, a oddech się rwał. Wreszcie burmistrzówna powolutku przesunęła palcami po napiętym do bólu smoku.

– Duże – szepnęła. – I takie... takie...

Zachichotał nerwowo. Pociągnął Ericę w pościel tuż obok siebie i pocałował mocno, rozpoczynając wędrówkę palców po rozgrzanej skórze burmistrzówny. Całował tak długo, aż dziewczyna znów zaczęła ciężko dyszeć z podniecenia. A i wtedy nie przestał. Zmienił jedynie pozycję i umościł się między udami kochanki. Naparła na niego, ale był dzielny. Ostatecznie zasługiwał na swoją opinię.

Był złotym smokiem z Itru. Najlepszym kochankiem w Krainie.

Wszedł w nią, dopiero kiedy krzyczała z rozkoszy po raz drugi. Nawet nie poczuła bólu, zajęta przeżywaniem zaspokojenia. I ledwie Yh doszedł, była gotowa na trzeci raz.

* * *

Beneria wjechała w bramy miasta tuż przed ich zamknięciem. Zapadł już zmrok i ciepłe popołudnie szybko zmieniło się w chłodny wieczór, więc krasnoludka pospieszyła szukać noclegu. Och, wiedziała, że to nie będzie trudne. Przede wszystkim dysponowała zasobnym trzosikiem. Stroidarus zawsze dbał o to, żeby niczego jej nie brakowało, więc i talarów nie szczędził. Gdyby jednakże trafił się jej jakiś wyjątkowo niechętny gospodarz albo taki – nie żeby była w stanie sobie go wyobrazić – który nad brzęczącą monetę przedkładał uprzedzenia, miała w zanadrzu kilka zaklęć, których nauczył ją Pierwotny. No i przede wszystkim miała jego. Nawet kiedy nie stał tuż obok, po dwóch latach ich związek tak słynny się zrobił w Krainie, że nikt nie odważyłby się wchodzić Benerii w drogę. Znaczący nikt, kto nie chciałby się zmierzyć ze Stroidarem. A takich jeszcze Beneria nie poznała. Tak więc nie martwiła

się, że nie znajdzie noclegu, ale że nie znajdzie tego konkretnego. Chciała bowiem zatrzymać się na noc w tym samym miejscu, w którym gościł właściciel upragnionego przez Colinerę przedmiotu. Na myśl o syrenie Beneria zacisnęła palce na wodzach siwka i ściągnęła je raptownie. Koń parsknął boleśnie, więc dziewczyna poklepała go przeprasząc po karku.

Oż, bura suka z zafajdanym ogonem, co niech jej odrośnie i już tam ona wie co zakorkuje na wieki. Se wymyśliła! Żeby biedną krasnoludkę przez pół Krainy telepać! Żeby ze smokiem kazać się jej układać! Toż smoki, wiadomo, w żadne układy nie wchodzi, a jak już, to ołżą bezczelnie, i to jeszcze ze słowem danym zgodnie! I jak ona, biedniuteńka, ma takiego jednego łuskowatego do handlu i pozbycia się artefaktu namówić? Ha? No jak?

Znaczy coś tam na ewentualność smoczej niechęci ma przygotowane, nie żeby nie. Toż bystra z niej krasnoludka...

Namierzające zakłęcie, własność – a jakże! – Stroidara prowadziło siwka ulicami miasteczka, aż do bram całkiem przyzwoitej gospody przy głównej ulicy. Większość okiennic przybytku była już zamknięta i tylko w dwóch czy trzech chybotąło światełko kaganka. Dziewczyna zsiadła z konia, a gdy go przywiązywała, dobiegło jej uszu dość głośne, niemożliwe do pomylenia z czymkolwiek innym pojękiwanie. Narastało błyskawicznie, by zmienić się w słodki zaśpiew.

Beneria spojrzała smutno na okno, z którego dobiegały jęki. Och, zatęskniła nagle za swoim Pierwotnym. A bo to już tyle dni! Tyle dni! Smarknęła głośno, otarła kułakiem oczy i zastukała w drzwi.

Nie musiała odwoływać się do magii ani do znajomości ze Stroidarusem. Gospodarz, oceniwszy tak odzienie późnego gościa, jak i rząd siwka, zgiął się w pokłonach i z wielką admiracją zaprosił dziewczynę w swoje progi. Kiedy zaś puste kiszki krasnoludki zagrały głośno, mężczyzna usadził ją przy stole i zakrzyknął na służki, by go zastawiły.

Beneria raczyła się wytrawnym miodzikiem, zagryzając go pieczystym. W kominku, tuż przy ławie, na której siedziała, buzował ogień. W izbie było przytulnie i cicho, bo kilkoro ostatnich gości, podobnie jak krasnoludka, jadło samotnie przy różnych stołach. Żaden nie wyglądał na smoka, jak skonstatowała ze smutkiem dziewczyna. Ale cóż ona mogła wiedzieć? Nie była pewna, czy poznała jakiegoś zmiennokształtnego. Może to właśnie ten chudy i niziutki jegomość, który pakuje polewkę w szerokie usta z prędkością pozwalającą sądzić, że nie zaspokajał głodu od tygodnia? Albo tamten tłuscioszek, co to się oblizywał za każdym razem, kiedy

mijała go biuściasta służka? Taaa, z tego, co słyszała o chutliwości Yha, to ten by nawet pasował.

Zaśmiała się pod nosem, bo w gruncie rzeczy wiedziała, że żaden z obecnych nie jest kuzynem Colinery. Syrena powiedziała, że nie da się go pomylić z nikim innym, i tym razem Beneria jej uwierzyła. Tak jak nie było słynniejszego w Krainie związku niż jej ze Stroidarem, tak też nie było bardziej niemoralnego smoka niż Hredhertgherre. A Yh słynął nie tylko z braku przyzwoitości, lecz także z nieprzeciętnie atrakcyjnej fizjonomii.

Tak, trzeba przyznać, że Beneria była ciekawa smoczego wyglądu.

Odetchnęła i odłożyła puchar. Czas się zabrać do sprawy. Już więc miała zawołać ową biuściastą pannę, co to o ślinotok przyprawiała tłuscioszka, gdy drzwi gospody otworzyły się gwałtownie i do środka wpadł mały, hałaśliwy tłumek mieszczan. Wszyscy uzbrojeni w noże, grabie i inne domowe narzędzia mordy, ucichli, kiedy tylko przekroczyli próg. Rozejrzeli się nerwowo, a idący na przdzie wysoki długowłosy starzec, odziany w purpurową kapłańską szatę przewiązaną połyskliwym złotym sznurem, położył palec na ustach, a potem wskazał schody na poddasze gospody. Ruszyli jednomyślnie, jak żywy organizm prowadzony przez kapłana, cicho, w skupieniu i z zajadłą wściekłością w oczach.

Tylko jedna osoba mogła aż tak rozgniewać pół miasta. Beneria westchnęła smutno. Znaczy trza będzie szukać smoka, co nie? Przecie jak ta gromadka owieczek prowadzonych na rzeź wpadnie do jego izby, to Yh albo zeżre połowę towarzystwa i będzie musiał uciekać, albo po prostu ucieknie. Dziewczyna pokręciła głową, bo teraz i tak nic już nie mogła zrobić. Niby trochę zakłęb Stroidara miała, ale żadne nie pomogłoby na smoczy powróż...

Wstrzymała gwałtownie oddech. Tak się jej jakoś samo pomyślało, a przecież to właśnie zobaczyła w pasie księżula. Smoczy powróż...

* * *

Burmistrzówna przygryzła wargę i patrzyła na Yha w napięciu. Smok osunął się na poduszki, jego powieki opadały powoli, a na ustach błędził uśmiezek spełnienia. Nie przejął się spojrzeniem kochanki, bo nawet go nie zauważył, na wpół zanurzony już we śnie. Przez otwarte okno do pokoju wpadał chłodny wietrzyk próbujący zdmuchnąć i tak dogorywający płomyk kaganka. Smok przestał wreszcie walczyć z sennością.

Niestety właśnie wtedy drzwi izby otworzyły się i z hukiem trzasnęły w ścianę. Yh uniósł powieki i zaskoczony zobaczył obce twarze w wejściu. Obce wściekłe twarze.

Zamrugał, a potem zaczął się podnosić...

Dziewczyna u jego boku krzyknęła. Wrzeszczała wysokim piskliwym głosem, jakby obdzierano ją ze skóry, a jednocześnie szarpała prześcieradło, próbując się osłonić i wyskoczyć z łóżka. Smok spojrzał na nią zdziwiony, puścił materiał, a wtedy burmistrzówna spadła z hukiem na podłogę i ucichła.

– Ty!!! – zakrzyknął purpurowy kapłan, wskazując smoka chudym paluchem. – Ty!!!
– Ja? – Nieco zdziwiony Yh uśmiechnął się łagodnie. Rozumiałby pojawienie się burmistrza, ale kapłan wiodący za sobą pół miasteczka? – O co... – zaczął, jednak nie dane mu było skończyć, bo kapłan nagle szarpnął sznur przewiązujący go w pasie. Złoto błysnęło w migoczącym świetle płomyka i jak żywe skoczyło ku nagiemu mężczyźnie.

Uderzenie serca przed tym, kiedy ból pozbawił go świadomości, Yh rozpoznał smoczy powrót.

* * *

Posiedzenie Rady Miasta było tajne, ale Benerii udało się wślizgnąć drzwiami dla służby. Użyła w tym celu dość łatwego zaklęcia kryjącego, dzięki któremu nikt jej nie zauważył. Zaklęcie lekko drażniło skórę dziewczyny, więc drapała się nerwowo, stojąc w kącie sali. Czekwała.

Nie, Beneria nie należała do cierpliwych, więc dreptała w miejscu, poprawiała włosy, szarpała rąbek spódnicy... Wykliąć tylko nie próbowała, bo zaklęcie kryło jedynie jej osobę, nie głos.

Wreszcie się doczekała. Trzech strażników wniosło zawiniętego w prześcieradła mężczyznę i bezceremonialnie rzuciło go na drewnianą podłogę między ławami, na których siedzieli radni. Za strażnikami wszedł kapłan w purpurze, wlekąc za sobą burmistrzównę. Dziewczyna, owinięta w prześcieradło, co rusz je poprawiała, drepcząc z opuszczoną głową. Twarz kapłana tymczasem nabrała kolorów idealnie współgrających z odzieniem.

– Gwałciciel!!! – wrzasnął od progu. – Bezbożnik!!!

Ramiona burmistrzówny drgnęły lekko, a plecy zgarbiły się, jakby nie mogła udźwignąć ciężaru winy. Rozsypane włosy osłaniały twarz, więc nikt z obecnych nie mógł dostrzec, czy dziewczę pobladło, czy przeciwnie, pokraśniało z zawstydzenia.

– Bezbożnik!!! – nie ustawał kapłan. Pchnął dziewczynę przed siebie, a potem podszedł do leżącego i odwrócił go kopnięciem. Materia zsunęła się z oblicza pojmanego, a Beneria wstrzymała oddech.

Zaprawdę złoty smok z Itru był piękny. I to w ludzkiej postaci. Chociaż cierpienie ściągnęło jego rysy, a skórę pokryła sina bladość, wciąż zapierał dech w kobiecej piersi. Nawet tej szczęśliwie zakochanej i krasnoludzkiej.

Połykujące złotem tęczówki spojrzały wprost na krasnoludkę, jakby czar, którego użyła, nie zwiódł smoka. Beneria odruchowo zrobiła krok ku leżącemu, ale zaraz się zatrzymała i pokręciła głową.

– *Potem* – pomyślała, bardziej do Yha niż do siebie, mimo że wcale nie była pewna, czy więzień zdoła odczytać jej myśli. Artefakt, który wciąż go krępował, tłumił smoczą moc i wysysał życiową siłę. Najwyraźniej przyniósł też ogromny ból, który nie dość, że zmienił oblicze leżącego, to jeszcze spłycił jego oddech. Męka smoka poruszyła miękkie serduszko Benerii, ale rozum podpowiadał, że to ni miejsce, ni czas, by spieszyć na ratunek.

– Śmierci!!! – krzyczał kapłan. – Śmierci dla tego, który pohańbił strażniczkę! Bezbożny czyn należy karać śmiercią!

Krasnoludka westchnęła ciężko. Stojący obok niej gwardzista zmarszczył brwi i rozejrzał się nerwowo. Dziwny dźwięk, którego źródła nie był w stanie namierzyć, uniósł lekko włosy na potężnym karku. Mężczyzna złożył palce w ochronny znak i cofnął się, żeby oprzeć się o ścianę. Ta pozycja jakoś koła jego nerwy. Beneria tymczasem przysłoniła usta. Spojrzała na pojmanego i z niedowierzaniem pokręciła głową. Strażniczka? Naprawdę?! Spośród wszystkich kobiet w mieście musiał wybrać tę jedną, ofiarowaną bogom? Tę, której czystość powinna zostać nienaruszona?!

Choć umysł smoka z wolna pochłaniała mgła, Yh również usłyszał słowa kapłana. Zmarszczył brwi, próbując się skupić, ale ból mu na to nie pozwolił. Jęknął więc cicho i pozwolił się ukoić zbawiennemu mrokowi.

– Śmierci! – powtórzył purpurat i kopnął nieprzytomnego więźnia. – To jedyny wyrok!

Radni spojrzeli po sobie. Żaden jakoś nie był gotowy na wydanie ostatecznego wyroku. Nawet burmistrz, siedzący pośrodku i wbijający nienawistne spojrzenie w leżącego, usłyszawszy żądanie kapłana, cofnął się lekko.

– Nie wiem, świątobliwy – wymamrotał cicho. – To królewski smok. A jak się o niego upomną? Spalą nam miasto, ludzi wybiją... Nie nam walczyć ze smokami z Itru. Nie mamy nawet porządnego czarodzieja na etacie, boście poprzedniego z miasta wygnali. Nie nam walczyć z... tym, o. – Burmistrz wskazał więźnia.

– Nikt nie będzie wiedział – warknął purpurat. – Nikt! Nie chcecie córki pomścić? Gwałtownika pokarać nie chcecie?!

Radni pochylili głowy, coby nikt nie zauważył, że w ów gwałt to jakoś nie chcą dać wiary.

– Weźcie, świątobliwy – odważył się wreszcie odezwać jeden z nich, chudy i malutki starzec – nie szalejcie. Panna na gwałtem wziętą nie wygląda. Nie gniewajcie się, burmistrzu, ale prawdę okiem gołym widać. Nie można chłopca na śmierć skazywać, bo wziął, co mu dawali.

Kapłan pobladł gwałtownie, ale zaraz ponownie poczerwieniał. Warknął głośno, a potem zakrzyknął coś niezrozumiałego i postąpił ku chudzielcowi.

– Łgarstwo mnie zarzucacie?! Mnie?! Boskiemu śludze?! Dziewczę bogom ślubowało! Żadna strażniczka sama cnoty nie odda! Musiał czarów gad użyć! Jak nic czarów!

Starzec nie wyglądał na wystraszonego. Pokręcił głową i wyszedł zza stołu.

– Burmistrz prawdę rzekł, świątobliwy. To smocze książątko jest. Jak go ukatrupimy, zleci się cała gadzina z Itru. Nawet dzieciaka nie oszczędzą. Trza sprawę wyciszyć, pannę gdzieś wysłać, a smoka wypuścić, dopóki jeszcze pół jego rodu nad dachami nam nie lata. Ot, i tyle.

– Nigdy! – krzyknął kapłan. Złapał koszulę na piersi i rozdarł ją raptownie. Przez chwilę patrzył w uniesieniu, wodząc gniewnym wzrokiem po pięciu mężczyznach. – Przeciw bogom chcecie stanąć? Przeciw świętościom? – zapytał nagle cichym tonem. – W świętej Tradycji jest zapisane, co trzeba uczynić z tym, który bezbożnie kała niewinność strażniczki. Nie ma znaczenia jego pochodzenie. Gdyby nawet Król Królów na to się poważył, winien byłby życie oddać, by krzywdę bogów wyrównać. Tak jest zapisane!

Radni ponownie spojrzeli po sobie w milczeniu. Odwołanie do świętej Tradycji wprawiło ich w konsternację. Z jednej strony zgadzali się z przemową chudego starca, z drugiej jednak... Cóż, to Tradycja.

– A jak się smoki zwiedzą? – zapytał wreszcie milczący dotychczas potężny kupiec.

– Nie zwiedzą się. Smoczy powróż już ukrył magiczny ślad – tłumaczył kapłan. – Zostawimy na truchle, to żaden gad nigdy go nie wyniucha.

– Żadnej publicznej egzekucji zrobić nie można – wtrącił burmistrz.

– Nie potrzeba dziewczęciu większej sromoty – przytaknął kapłan. – Grunt, że bogom zadość uczynimy.

Chudy starzec pokręcił z niechęcią głową, ale nie próbował dłużej smoka ratować. Usiadł jednak z boku, by chociaż w ten sposób odciąć się od tego wydarzenia.

– Jak to zrobimy? Stosik za miastem? – Kupiec zatarł dłonie.

– Nie! Smoka spalić się nie da, a i powróż... – Kapłan zamilkł, jakby przestraszył się, że powiedział za dużo. – Nie będziemy gada palić. Wrzucim go do lochów i zapomnimy o stworze. Artefakt dokona reszty.

Czterej mężczyźni pokiwali głowami. Staruszek wymamrotał coś pod nosem, ale głośno nie rzekł nic. Stojąca za kapłanem burmistrzówna pobladła gwałtownie. Szarpnęła się lekko, spoglądając nerwowo na nieprzytomnego kochanka. Przez chwilę wyglądało na to, że chce krzyknąć albo przynajmniej coś powiedzieć. Nie zrobiła tego jednak, a kiedy kapłan wskazał jej wyjście, posłusznie ruszyła w jego kierunku.

Beneria w zamyśleniu podrapała się po rudej czuprynie. Każdy, kto znałby kobietę Pierwotnego, dostrzegłby w jej krzywym uśmiešku przekonanie, że oto właśnie sprawy zaczynają układać się po jej myśli.

* * *

Ciemność nie ustąpiła, mimo że Yh otworzył oczy. Otaczała go z wszystkich stron, absolutna i nieprzenikniona. Zupełnie jak ból, który nieustannie rozrywał smocze członki. Złota magia artefaktu krążyła żyłami, by komórka po komórce spalać ludzką postać. Nie mógł się z niej wyrwać. Nie mógł przybrać smoczego ciała ani użyć mocy danej mu, gdy przyszedł na świat. Myśli się plątały. Nieopisany ból wyciskał łzy i bezgłośnie łkanie z osłabionej piersi.

– Yh... – Szept z kompletnej ciemności zdał się smokowi majakiem umęczonej duszy, więc nie próbował odpowiadać. – Mam nadzieję, cholera, że żyjesz. Na nic mi martwyś. – Niski kobiecy głos mamrotał tuż przy uchu leżącego. – Duży jesteś. Za duży, cobym mogła cię na plecach z lochów wytargać. Sam musisz poradzić. Ej! Żyjesz?

Smok zamrugał, by odegnąć mgłę zasnuwającą świadomość. Bezskutecznie.

– Serce bije. – Jedwab włosów lekko połaskotał nagą pierś półprzytomnego, kiedy kobieta przyłożyła doń swoją głowę. – Ale już ledwo ledwo. Potrzyimaliby cię tu dzień i byłoby po sprawie. Cwany ten klecha, nie ma co. Zdaje się, że mi nie odpowiesz, smoczku, bo i powróż pewnie nie pozwala. Boli, co? Cholera, było między nogi strażniczki się nie pchać. Ech, głupie te chłopcy. Strasznie głupie. No nic, złotko. – Dziewczyna usiadła przy leżącym i delikatnie pogłaskała go po policzku, a potem łagodnie położyła dłoń na jego ustach. – Muszę cię z powrozu uwolnić, bo inaczej jak nic szybko ducha wyzioniesz. Tylko, wiesz, to nie będzie miłe. Oj, nie będzie, a jak wrzaśniesz, to pół gwardii na łeb nam ściągniesz. To i zapobiec muszę... Weź się tam w środku złap czego.

Położyła drugą rękę na jego piersi, dokładnie tam, gdzie artefakt powoli stapał się ze skórą, a potem wyszeptała zaklęcie. Yh zamrugał nerwowo, bo mimo mgły i bólu poznał czar i wiedział, co oznacza. Nie miał się czego chwycić ani jak przed uderzeniem uchylić. Poczul, jak drobna dłoń zamyka mu wargi, gdy te rozwarły się do krzyku.

A potem wrzasnął.

Gwałtowny i oślepiający płomień węzowym szlakiem przemknął przez ciało, spalając błyskawicznie smoczy powróż. Udręka, którą przyniósł, zawiodła smoka na skraj śmierci, a ulga, która nastąpiła zaraz po niej, pozbawiła go przytomności.

Światło zgasło, ale Beneria bardzo dobrze widziała w mroku. Odsunęła się nieco i ponownie pochyliła, by sprawdzić, czy czar Stroidara nie zabił przypadkiem więźnia. Serce smoka wciąż biło. Równomiernie i jakby nieco mocniej niż jeszcze przed chwilą.

– Strasznie słabe toto – wymamrotała krasnoludka, przyglądając się nieprzytomnemu – jak na królewskie smoczątko. Pół nocy antysmoczej magii i jedno zaklęcie Pierwotnego, a ten już zmysły traci... Słabiutki... No, dziewczyno, nie ma co narzekać. Pewnikiem drugie pół nocy siły między nogami panienki od bożnicy tracił. Nie dość, że słabe, to jeszcze rozumu za grosz. Widać po rodzinie tak mają z tą cholera wodnicą.

Pochyliła się nad smokiem i delikatnie poklepała go po policzku.

– Wstawaj, chłopie. Nie czas i miejsce, coby teraz odpoczywać. No, budź się!

Długie, niemal kobiece rzęsy, czarne i gęste, zadrżały lekko.

– Słabe i głupie, ale urodziwe, że aż miętko się robi. – Beneria uśmiechnęła się i ponowiła policzkowanie. Tym razem nieco mocniej. – Budź się, Yh! Nie ma co się pieścić!

– O pieśczeniu mowy być nie może, kiedy mnie po gębie trzepiesz – wyszeptał słabo męczyzna i otworzył oczy.

– Jak pieściłam, toś nawet nie drgnął. – Dziewczyna wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się nieco. – Znaczą będziesz żył. To i pięknie. Teraz spróbuj dupę ruszyć. Trza nam spieprzać z lochów. Dasz radę?

Smok pozbierał siły i powolutku usiadł. Zaraz jednak zachwiał się i byłby rymnął ponownie na zimne klepisko, gdyby dziewczyna go nie przytrzymała.

– Chyba nie – wyszeptał.

– Dyc widzę. Powróż całkiem z sił cię wytrzebił. Niedobrze, cholera. Całkiem niedobrze. Jak przyleżą sprawdzić, czy dychasz, może być źle. Nic to. Może i nie

przyleżą, a jeśli... Się pomyśli. – Poprawiła się i oparła o ścianę, a potem pociągnęła rannego ku sobie. – Wesprzyj się. Nie do końca wiem, jak artefakt działa...

– Daj mi chwilę – przerwał jej. – Ja wiem, jak działa, acz przyjemności dotychczas nie miałem. I wolałbym nie powtarzać. Bogowie, myślałem, że konam.

– No, daleko nie było – zachichotała dziewczyna. – Ale jak się pcha, gdzie tylko bogom wstęp, to i tak bywa...

– O czym ty...?

– Mało ci panien w zacnym Zadupiu było, żeś musiał jedyną, co to jej chędożyć nie wolno, ruszyć? Rozumu to ty masz mniej jeszcze niżli to twoje wodne kuzynostwo, a przecie tamto nie z pomysłunku słynie.

Yh zamrugnął, słysząc na głos wypowiedziane własne myśli.

– Znaczą trochę dziwne, że was tak szybko przydybali... No, ale ci rzeknę, że panna śpiewy takie urządzała, że może i nie dziw. Pewnie księżulo po głosiku uroczym swoją strażniczkę poznał. Się musiał chłopina zafrasować, kiedy ruszył szukać, co ją do owych oracji przywiodło. Oj, musiał. Weźże się nie wierć! Lekkiś nie jest.

Yh posłusznie zamarł w bezruchu, a potem ponownie spróbował usiąść bez pomocy. Tym razem siły go nie zawiodły. Usiadł więc, a potem spojrzał na swoją wybawicielkę.

– Kim ty jesteś, dziewczyno? – zapytał już nieco mocniejszym głosem.

– Zwą mnie Beneria – przedstawiła się krasnoludka. Wstała i otrzepała spódnice. – Rzekłabym, że mi miło, ale okoliczności jakieś takie nieciekawe.

– Beneria – powtórzył Yh, smakując jej imię. – Ładnie.

– Ano. Mnie też się podoba. Podziękowałabym matuli, że takie wybrała, jakbym wiedziała, gdzie ona polazła, kiedym jeszcze berbeciem była. Ale nic to. Wstajesz?

– Spróbować nie zawadzi. – Uśmiechnął się, a krasnoludka ponownie pomyślała, że nie dziw tym wszystkim babom, co łoże smoka ogrzewały. Oj, całkiem nie dziw.

Mężczyzna podniósł się powolutku. W pierwszej chwili zachwiał się, ale kiedy dziewczyna stanęła przy nim, wsparł się na jej ramieniu i utrzymał w pionie.

– I dobrze. – Dziewczyna pokiwała głową. – Nie żeby czas nas naglił, ale jak księżulo w szkatułach ma jakie inne artefakty, może mnie tej magii, co to ją pożyczylaś, nie starczyć.

– Pożyczyłaś?

– A widział kiedy czarownicę z krasnoludzkiego rodu?

– Nie – przyznał, stąpając uważnie, bo w ciemności nie widział nawet na wyciągnięcie ręki. Na szczęście Beneria wciąż pozwalała mu wspierać się na ramieniu. – Nie widziałem też ślicznej krasnoludki. Do dzisiaj.

Dziewczyna zachichotała.

– Taaa, pewnie. Gadane, ładniutki smoczku, to ty masz, ale jakem już wspomniała, rozumu za grosz. Ciemno jest jak w dupie, to i skąd wiesz, jakie u mnie lico? Smoki w mroku jak ludzie, nic nie widzą.

– Widziałem poprzednio. Jakes czar kryjący przywdziała. Dawno temu jeden Pierwotny uodpornił mnie na to zaklęcie.

Beneria zerknęła na mężczyznę. Uśmiechał się lekko, a złote oczy połyskiwały w mroku.

– Tak mnie się wydawało – skomentowała, z trudem odzyskując rezon. Zaprawdę musi szybko do Stroidara wrócić.

– Elfia krew? W twoich żyłach, Benerio?

– Jakem już wspomniała, nie wiem. Matula mnie odeszła, kiedym jeszcze smarkiem była. Ojca też nie pomnę. Słuchaj, smoczku, moja uroda, czy też jej niedostatek, nie jest teraz ważna. Zaraz wyjdziemy z korytarza, a tam przy drzwiach stoi dwóch gwardzistów. Na nas oboje czaru nie rzucę, żaden mag ze mnie. Trza będzie se z nimi jakoś poradzić. Miejsca za mało, cobyś mógł gadzią formę przybrać, a i chyba sił by ci nie stało. Jak tam z nimi? Nie żebym jakoś specjalnie narzekąca, kiedy takie cudne chłopię na mnie wisi, ale lekkiś nie jest.

Yh wyprostował się powoli i z niechęcią odsunął od dziewczyny. Uwolniony od przekleństwa artefaktu błyskawicznie odzyskiwał siły, ale całkiem przyjemnie było krasnoludzkie krągłości czuć przy ciele. Zdumiewająco przyjemnie. Przekręcił głowę, przeciągnął się, przykucnął lekko i zaraz wyprostował długie członki.

– Lepiej, co? – Beneria uśmiechnęła się, obserwując poczynania towarzysza. – Wielce mnie to raduje, gdyż z dwoma gwardzistami sama nie poradzę. – Wyciągnęła zza pazuchy krótki sztylecik i podała go smokowi. – Jak się uda, nie zarzynaj. Chłopaki bogom ducha winne, że ich akurat na straży postawili. Jakoś tak... No, nieładnie do przodków słać, jeśli nie trza.

Yh uniósł brwi zaskoczony.

– Mam ich do serducha przytulić i miłość wyznać?

– Nie. Dać po łbie, coby rabanu nie narobili. – Dziewczyna wzruszyła ramionami. – Co wy, chłopy, tak się wszystkie do mordowania palicie?

– Wiesz, jak smoczy powróż boli? – zapytał cicho, a było coś takiego w jego tonie, że musiała nań spojrzeć.

– Nie, nie wiem. Ale to nie tych dwóch wina, że ci go księżulo zarzucił. Jego karz, nie gwardzistów.

Mężczyzna zmełł przekleństwo i popatrzył zimno w ciemność.

– Nie martw się, Benerio – powiedział tak, że dziewczyna poczuła lodowaty dreszcz wzdłuż kręgosłupa – nie zapomnę ja i kapłanowi odpłacić.

Kiedy tak patrzyła na niego, na zaciętą piękną twarz i pociemniałe złote oczy, wiedziała, że chwile świątobliwego są już policzone. Potrząsnęła głową, ale zmilczała. Wspomniała bowiem, jak bardzo zmienione było smocze oblicze tam, w sali Rady Miasta, jak blisko Yh był śmierci, ona zaś utraty tego, co do niej należy, a syrenka przetrzymuje... Jak chce gad zeżreć księżula, niech zżera. Nic jej do tego.

– Dobra, smoku, to idziemy. – Złapała go za rękę, bo wokół wciąż panowała ciemność, i pociągnęła ku wyjściu.

* * *

Przez maleńkie okienko u wejścia do miejskich lochów wpadało słabiutkie światło nadchodzącego poranka, wciąż jeszcze szare, rozmyte, zapowiadało jednak niechybne nadejście dnia. Beneria cmoknęła niechętnie, a potem odwróciła się. Obaj gwardziści leżeli nieprzytomni, a Yh właśnie rozbierał większego z nich, żeby samemu się odziać. No, szkoda, zaprawdę szkoda takie dobro ukrywać, ale goły mężczyzna narobiłby niezłego zamieszania na budzącej się ulicy. Eeech, Beneria westchnęła cicho i roześmiała się w duchu. Szkoda.

– Przez kilka godzin nie zdołam wrócić do smoczej skóry – stwierdził Yh, nie patrząc na dziewczynę. – Jak uciekniemy z miasta?

– Przed lochami zostawiłam dwa konie. Jesteś mi winien za kasztanka cztery talary. Zdarli ze mnie, bo to nie najmłodsza już szkapina i góra dwa kowal wziąć powinien. No ale czasu nie było i targować się nijak nie mogłam.

– Konie mnie nie lubią. Czują smoka. Nie dosiędę tego twojego kasztanka.

– Takem słyszała. Dlatego też zaprzęgam go do wozu. Kolejne trzy talary. Drogie to twoje ratowanie, smoczku.

Przez chwilę przyglądał się dziewczynie.

– Jestem twoim dłużnikiem, Benerio – stwierdził bardzo poważnie. – Nikt nigdy nie zrobił dla mnie tego, co ty dzisiaj.

– Pewnikiem dotychczas nie wychędożyłeś świątynnej strażniczki. – Krasnoludka próbowała obrócić całą sytuację w żart, bo poważne spojrzenie pięknego mężczyzny jakoś dziwnie ją roztkliwiło.

– Ano nie. – Pokiwał głową. – I tym razem też nie miałem takiego zamiaru. Panna nie zechciała mnie poinformować.

– Aaa... to by tłumaczyło kilka rzeczy. Jak już siły odzyskasz, możesz dziewczuszkę zapytać, czymś jej aż tak zaszkodził, że cię katom oddać chciała.

– Nie omieszka – potaknął zimno, a Beneria pomyślała, że w sumie chyba żal jej burmistrzówny.

Wyszła z lochów pierwsza. Nikt nie stał przed bramą, a wciąż pogrążona w półmroku ulica również była pusta. Najwyraźniej uznano, że dwóch strażników w środku to wystarczające zabezpieczenie jedyne go więźnia. Krasnoludka rozejrzała się nerwowo, a skonstatowawszy, że nikt na nich nie dybie, przywołała smoka. Yh wskoczył na wóz, po czym dziewczyna przykryła go płótnami – kolejne dwa talary – i siadła na koźle. Ruszyła powoli, nieco niepewnie, bo od lat nie powoziła. Kasztanek parsknął lekko i pociągnął zaprzęg. Uśmiechnęła się i z dumą zerknęła do tyłu, gdzie przywiązała siwka. Mrugnęła do niego, ale zwierzak nie wyglądał na poruszonego jej powodzeniem.

Kopyta stukwały o bruk, a koła skrzypiały cicho. Schowany między tkaninami Yh przyglądał się plecom dziewczyny i rozmyślał. Zachowywali milczenie, na wypadek gdyby ktoś jednak przemierzał nad ranem miejskie uliczki. Krasnoludka siedziała wyprostowana jak struna, ewidentnie spięta, jakby oczekiwała ataku i szykowała się doń. Kontemplowała zdarzenia ostatnich dni, a że nie nawykła do owej kontemplacji w ciszy, męczyła się przy tym niesamowicie. Co rusz musiała przygryzać język i zaciskać palce na lejcach, żeby się nie odwrócić.

Tak dotarli do bram miasta. Strażnicy drzemali wsparci o mury. Rozklekotany wóz i powożąca nim krasnoludka nie zrobiły na nich poruszającego wrażenia. Otworzyli co prawda oczy, ale nie spieszyli się, by wstać. Dopiero kiedy dziewczyna zatrzymała wóz tuż przy nich, jeden ze strażników podniósł się niechętnie.

– Spać nie możecie? – zapytał. – Jeszcze nawet nie świta.

– Przede mną daleka droga. – Uśmiechnęła się promiennie, acz palce nerwowo przebierały na rzemieniach. – Wypuście mnie, ładnie proszę.

Żołnierz podrapał się po łepetynie. Rozbudzony myślał tylko o tym, by ponownie móc się ułożyć obok kolegi. Gdyby nie to, może zainteresowałby się zawartością skrzypiącego wozu, a i krasnoludce poświęciłby więcej uwagi. Jednak otaczająca ich szarość i cisza śpiącego miasta uspiła zwykłą ostrożność. Strażnik przetarł kułakiem oczy, ziewnął potężnie i nie zwlekając dłużej, otworzył bramę.

– Niech was prowadzą dobrzy bogowie, a źli omijają wasze drogi – pożegnał dziewczynę zwyczajowo, nawet na nią nie spojrzawszy.

– Niech tak będzie – potaknęła Beneria i lekko strzeliła lejcami. Bardzo się przy tym starała, żeby zrobić to delikatnie i nie pokazać, ile ją kosztuje udawany spokój. Kasztanek posłusznie szarpnął wóz i ruszył stępą. Koła skrzypnęły, a później zaturkotały na kostce brukowej. Wyjechali za mury. Żołnierzowi tak się spieszyło, że

prawie przytrzasnął ogon siwka, zamykając bramę. Wóz wytoczył się na trakt, a uderzenia kopyt zmieniły ton na bardziej głuchy, tłukąc o ubitą ziemię.

– Mogę wyjść? – zapytał cicho Yh. – Strasznie cuchną te twoje materie.

– Poczekaj jeszcze. Zaraz wjedziemy do lasu. A za materie kupiec słono policzył. Co to za miasto, cholera?! Co krok naciągają biedną krasnoludkę! Dwa talary za smrodliwe płótna! Dwa, cholera jasna!

– Oddam ci.

– Dyć, że oddasz! Ino nie o to chodzi. Nie lubię, kiedy mnie oszukuje jakiś chędożony pacholek. Spieszyło się mnie, to i nie sprawdziłam. Parchaty wałach i gnijące płótna. – Pokręciła głową, jakby nie rozumiejąc swojej naiwności. – Kiedyś tu wrócę... Oj, wrócę.

Yh przezornie milczał. Wspomniawszy Benerii o dwóch gwardzistów i uznał, że nie należy mówić, co sam zamierza z miastem zrobić.

Wjechali między drzewa, zostawiając rodzący się dzień za lasem. Wiatr szumiał wesoło wśród liści, ptaki śpiewały, nadchodził ciepły, przyjemny dzień. Yh wygrzebał się spośród tkanin i usiadł na kozle obok Benerii. Przez chwilę milczeli, wsłuchani w otaczające ich dźwięki. Mężczyzna, bo nagle uświadomił sobie, jak niewiele brakowało, by skonał w ciemnym lochu, a kobieta, bo trochę płoszyła ją uroda siedzącego przy jej boku smoka.

– Dziękuję, Benerio – powiedział wreszcie Yh.

– No – potaknęła elokwentnie. Podniosła wzrok i spojrzała na towarzysza. – Aleś, cholera, gładkolicy. Aż człek zapomina... O wszystkim zapomina.

Yh uśmiechnął się figlarnie, a potem pochwycił dziewczynę w pasie i przyciągnął do siebie. Szarpnęła się i zmarszczyła brwi.

– Nie – rzekła spokojnie. – Nie potrzeba ci wojny z Pierwotnym. Nie potom twoje dupsko ratowała, żeby Stroidar miał nim sypialne komnaty przystroić. Że nie wspomnę, że by mi to całkiem apetyt na pochedózkę zepsuło. Się głupio nie śmieję. Nie ma co udawać, żeś nie wiedział czyjam.

Potaknął w milczeniu, ale uścisku nie popuścił. Dziewczyna pokręciła głową.

– Ech, jakem już wspomniała: urodziwyś, ale głupi. Dopiero co przez chędożenie czego nie trza prawieś skonał, a już sięgasz po następne. I do czego to doszło, że to mnie mądrości przychodzi wygłaszać i od pochedózki się wzbraniać. Jak nic Stroidar nie uwierzy. No jak nic.

Yh zachichotał, wypuścił z ramion krasnoludkę i rozparł się wygodnie.

– Jestem twoim dłużnikiem, Benerio. Nigdy ci się nie wypłacę. Nie boję się Stroidara, ale ty najwyraźniej nie chcesz, więc nalegać nie będę. Ale uwierz mi, moja

słodka, szkoda.

Krasnoludka zerknęła na smoka.

– No tośmy się zrozumieli. – Uśmiechnęła się. – I coby między nami nie było jakowegoś nieporozumienia: mnie też ociupinkę szkoda.

Przez chwilę jechali w ciszy, zasłuchani w odgłosy lasu. Kołysanie wozu i jednostajny stukot końskich kopyt sprawił, że powieki smoka zaczęły powoli opadać. Jakiś czas walczył ze zmęczeniem, ale kiedy po raz kolejny szarpnął głową, by wyrwać się ze słodkiego odrętwienia, Beneria zlitowała się nad nim i nieco matczynym tonem nakazała:

– Noc za tobą, smoczku, nie najłatwiejsza. Weź no się prześpij. Obudzę cię, kiedy las będziemy opuszczać.

Chciał jej zadać kilka pytań, a na kilka odpowiedzi, ale obolałe ciało nie współpracowało z umysłem. Pomyślał więc, że przed nimi jeszcze sporo drogi, a pytania i odpowiedzi mogą poczekać. Pokiwał głową i osunął się w płótna. Tym razem zatęchły zapach mu nie przeszkadzał. Usnął, nim zdołał go poczuć.

Beneria przez jakiś czas patrzyła przed siebie, na ubity trakt pośród drzew i rozmyślała. Przyszło jej do głowy, że powinna wysłać jakiś podarek zajadłemu klesze. Zdjął jej z głowy spory problem. Nie żeby popierała wyrok rady miasta. Oj, nie. Jakoś jej się nie wydawało uczciwym zarzynać chłopca tylko dlatego, że panny pokosztował. Nawet strażniczki świątynnej. Jakby jednak nie skazali Yha na powolne konanie w zapomnianym przez bogów lochu, nadal zastanawiała się, jak przedmiocik dla wodnego puszczała zdobyć. A tak... złoty smok z Itru był jej dłużnikiem.

Uśmiechnęła się i spojrzała za siebie, na wnętrze wozu, gdzie pośród szarych płócien spał piękny mężczyzna. Kiedy tak leżał, z policzkiem przyciśniętym do beli materiału i lekko rozchyłonymi ustami, z których sączyła się ślina, Benerię ogarnęła owa słodka tkliwość, o której jej kiedyś jedna kobieta prawiała. Taka całkiem matczyna.

Potrząsnęła głową i zachichotała nieszczercze. Oj, zdziwiłby się Stroidar, jakby jej myśli usłyszeć mógł. Oj, zdziwił.

Odwróciła się ponownie, wciąż rozbawiona, i nagle szarpnęła lejce. Na trakcie stała grupka mężczyzn. Potężni i brodaci, nie wyglądali na przyjazne leśne duchy, a raczej na zbójców, o których słyszała w pobliskich wioskach. Stali w rozkroku, trzymając w dłoniach topory oraz łuki, i blokowali przejazd. Krasnoludka zawahała się. Gdyby tak pogonić kasztanka... Nie, stara szkapina nie pobiegnie, a ich jest sześciu, łuki mają... Nie.

– Czego tam? – wrzasnęła.

– Patrzcie, chłopy... Baba! – zaśmiał się jeden. – Się nam trafiło!

– Ano baba! – Podniosła się na koźle i chwyciła pod boki. – I to nie byle jaka baba! Stoicie na drodze Benerii Pierwotnego! – Powiodła triumfującym wzrokiem po osiłkach, chociaż złość ją wzięła straszna i na siebie, i na nich. Nie znosiła powoływać się na Stroidara, jak jakie słabe dzieciątko na mocarnego tatulka. Ale ich było wielu, a ona bez broni. Może by jakie zaklątko... Cholera, nic jej do głowy nie przychodziło, bo i Pierwotny uczył ją tylko takich całkiem na taką chwilę nieprzydatnych. Mogłaby co prawda użyć kryjącego, ale wtedy tylko ona zniknie, a Yh... No, jak cholera, do dupy. Trza było nadaremno imienia Stroidara użyć. – Złaźcie z traktu, to i może nic wam się złego nie przydarzy.

Przez chwilę mężczyźni patrzyli niepewnie, ale potem ten, który odezwał się pierwszy, trzepnął dłońmi w uda i zaśmiał się głośno.

– Pierwotnego?! A to niby czego sama dupę po lesie telepiecie? Jakoś tu nie widzę przeszanownego czarodzieja! Oj, coś mi tu bajdy prawicie. – Zerknął wielce z siebie zadowolony na kamratów. – Niebrzydka dziewoja, a i wygadana! Moja będzie.

– A niby czego? – warknął któryś. – Każdemu się należy! Wszystkie baby ty chędożysz...

– Ja wam, kurwa, dam chędożenie! – wrzasnęła Beneria, bardziej już zła niż wystraszona. – Do zamtuza se idźcie, jak was już wy tam wiecie co swędzi! – Machnęła batem, a ten strzelił złowrogo. Mężczyźni cofnęli się o krok. – Niech no który podejdzie! No! Już ja mu facjatę na dupsko przerobię! Z wielką przerwą pośrodku! – Trzasnęła batem jeszcze raz.

Skonfundowani zbójcy cofnęli się ponownie. Niby mogliby ją ustrzelić, ale jednak żał dobra marnować, a dziewczyna, nawet krasnoludka, z tymi rozwianymi rudymi lokami całkiem ładnie wyglądała, machając tak bykowcem.

– Wszystkim nie poradzicie! – krzyknął wreszcie herszt i zrobił krok w kierunku wozu.

– Ona może nie – odezwał się naraz spokojny głos za plecami Benerii – ale mnie aż nadto dla waszej gromadki.

Mężczyźni wrzasnęli, żaden nawet nie próbował atakować. Odwrócili się i rzucili w las. Daleko jednak nie ubiegli. Potężny cień przemknął nad Benerią i błyskawicznie zaatakował. Wrzaski cichły jeden po drugim, zakończone ostatecznym przeraźliwym kwiknięciem.

Dziewczyna zamrugnęła i opadła na kozła, krzywiąc się przy każdym dźwięku. Wreszcie zatkała uszy i opuściła powieki, bo nie mogła dłużej słuchać, a i patrzeć przykro było. Nie żeby zaraz miała powstrzymać magicznego gada, ale jakoś tak

miętko jej się porobiło, kiedy niedoszli chędożcy w smoczej paszczy kończyli. Pokręciła głową, westchnęła i otworzyła oczy.

Tuż nad wozem zawisł ogromny smok. Potężne skrzydła poruszały się łagodnie, niemal niewidocznie. Przemykające przez korony drzew słońce igrało w srebrnych łuskach, odbijając się w nich jak w tysiącach małych zwierciadeł. Zielone ślepia połyskiwały jak dwa najczystsze szmaragdy.

– O kurwa – jęknęła w zachwycie Beneria.

– Ano – potaknął Yh.

Dziewczyna wpatrywała się w cudne, magiczne stworzenie i pomyślała, że prawdę mówią: niewiele jest rzeczy piękniejszych od złotego smoka z Itru.

Zaraz...

– Nie powinieneś być złoty? – zapytała, marszcząc brwi.

* * *

Świątobliwy stał na środku głównego placu i intonował pieśń ku czci opiekuńczych bogów. Towarzysząca mu dziewczynka, najwyżej dwunastoletnia, z trudem nadążała za śpiewem kapłana. Wybrano ją za ledwie wczoraj, więc nie zdążyła opanować kolejności słów w skomplikowanej pieśni. Dlatego śpiewała drżącym z emocji głosem, przerażona myślą o czekającej ją karze.

Naraz czyste niebo przesłonił potężny cień.

– Mógłbym ci wybaczyć próbę zabójstwa – łagodny głos wlał się w dusze obecnych – ale tego, że artefakt zmienił mi barwy... Tego nie daruję.

Zgromadzeni nie zdążyli krzyknąć. Ledwie drgnienie powieki, a kapłan znikł. Niebo znów było czyste. I tylko mała dziewczynka wciąż śpiewała, myląc słowa.

* * *

Beneria odłożyła muszlę i czekała. Fale zakotłowały się mimo bezchmurnego nieba i braku najłżejszego choćby podmuchu wiatru. Uderzały o brzeg z wściekłością huraganu. Dziewczyna pokręciła głową.

– Dobra, dobra – powiedziała głośno. – Se możesz burzyć wody, a ja dupy stąd i tak nie ruszę. Wyłaż, panna. Magia wiążąca, mówiłaś. Ni ma co marudzić. Targu będziemy dobijać. Ruszaj no!

Fale uderzyły jeszcze raz i drugi, a potem ucichły.

Syrena wysunęła połowę ciała na powierzchnię kilkanaście kroków od krasnoludki, a połyskliwy ogon bił wodę tuż nad turkusową taflą. Piękną twarz wodnej księżniczki wykrzywił gniewny grymas, a oczy ciskały gromy.

– No, panna, ni ma się co miotać, jakby jaki niewyględny rybak złapał pannę w sieci i do łoża ciągnął. – Beneria uśmiechnęła się krzywo. – Coś tam po waszej myśli nie poszło, się zdarza. Kuzyn wasz śle pozdrowienia. No i pokornie o wybaczenie prosi, ale jakoś nie miał ochoty zeźreć tu obecnej. Rzekł też, że za namówienie świątynnej strażniczki i doniesienie księżulkowi jeszcze się wam wynagrodzi. – Z przyjemnością dostrzegła, jak Colinera blednie gwałtownie. – Znaczy utrafił, co? A nie był całkiem pewny. Ot, nie taki on durny, jakem myślała. Nic to. Nie mnie rodzinne niesnaski rozsądzać. Ja tu przyszłam po swoje. Ot, wasze smocze ziarno. – Pomachała sakiewką. – Oddawajcie co moje.

– Rzuć – warknęła Colinera.

Beneria uśmiechnęła się słodko i cisnęła trzosik w morze. W chwili, w której dotknął powierzchni, ta znów się wzburzyła. Gwałtowna wysoka fala pojawiła się znikąd i pędziła ku brzegowi. Tuż przed nim zwolniła nagle i opadła, wypluwając potężnego ciemnowłosego mężczyznę na piasek.

Krasnoludka podeszła powoli do kaszłającego Stroidara. Chwyciła się pod boki i powiedziała zrzędliwie:

– Jak ci, cholera, mówiłam, żebyś na Syrenią Wyspę się nie wybierał, bo tam twoja magia na nic, to nie mogłeś choć raz posłuchać? No, kurwa, choć raz???

Syndrom Kopciuszka

Książę był szpetny. Oj, Beneria widziała już niejedno w swoim życiu, ale jakby miała wybierać, czy za męża brać swojego konia, co to na starość parchami poczał się obsypywać, czy też owego paniczyka w stroju wielce barwnego ptaka przypominającym... No, jakby miała wybierać... nie byłoby łatwo.

Tak ją ta przednia myśl rozbawiła, że aż uśmiechnęła się nieco. Stojący za nią Doru, zupełnie jakby w myślach czytał, parsknął niechętnie i trącił swoją panią nosem.

– No już, już – wyszeptęła, klepiąc zwierzę z czułością. – Dyc wiesz, że nawet parchaty i z tym wyliniałym ogonem, to po moim Pierwotnym pierwszyś do serducha, co nie?

Koń parsknął ponownie, ale dziewczyna nie interesowała się już tym, czy to była gniewna reakcja na wyliniały ogon, czy też potaknięcie na wieść o miejscu w krasnoludzkim sercu. Książę bowiem właśnie wdrapał się na podest, a towarzyszący mu trębacze zadęli głośno, by uspokoić tłumy. Dźwięk był głośny, rozpaczliwy, a przy tym tak niezharmonizowany, że Beneria aż sapnęła. Osiągnął jednak zamierzony efekt. Zgromadzeni zamilkli.

Już się zdawało, że sam książę zechce do swoich poddanych usta otworzyć, gdy przed niego wysunął się niski, zażywny staruszek i potężnym głosem zawołał:

– Słuchajcie, słuchajcie! Z nakazu jaśnie wielmożnego pana naszego, dobrotliwego i najukochańszego, ogłaszamy co następuje: pan nasz, dwudziestą wiosnę osiągnąwszy, zapragnął wybrać małżonkę. W temże celu, miast szukać po obcych krajach, coby księżniczki jakieś obcymi językami mówiące, a i bogom innym służące, do kraju naszego sprowadzać, pan nasz pragnie pojąć jakąś tutejszą, szlachetnie urodzoną panienkę. W temże celu – podkreślił owo powtórzenie z taką atencją, że Benerii podejrzenie powieka drgnęła – pan nasz najmilejszy i najukochańszy panny wszelkie stanu wolnego – taaa, Beneria zacisnęła usta, by śmiechem nie wybuchnąć i jakiegos nieszczęścia na się nie sprowadzić – na tańce dzisiejszego wieczora sprasza. Każda panna mile będzie widziana. Ino nie wdowa! – krzyknął łamiącym się nieco głosem. – Każda panna, ino niech się odzieje przednio, coby wstydu na zamku nie zrobiła. Pan nasz najukochańszy i najmilejszy spośród panien przyszlą naszą panią wybierze, co być może i zaraz, jutrzejszego wieczora na tańcach oznajmić zechce.

Herold zamilkł i rozejrzał się po zebranych, by podziwiać efekt swoich słów. Beneria zrobiła to samo. I ze zdumieniem dojrzała ogólny zachwyty na wpatrzonych w księcia obliczach mieszczek. Fakt, większość z nich wiek młody... ba! nawet

średni, wspominać mogła z rozrzewnieniem. Mimo to jednak krasnoludka pojąć nie mogła, jak taki... ekhm... atrakcyjny inaczej mężczyzna mógł wzbudzać aż tak wielkie emocje.

Westchnęła i pokręciła głową. Ot, ludzie bywają dziwni. Nic jej do tego. Skoro jednak zabłądziła do tego królestwa, może i ona wybrałaby się na tańce? Wieki już się dobrze nie wytańcowała. Nawet z takim szpet... pięknym na duszy księciem by mogła. A co? Chłop to chłop. Przecie do łoża go brać nie zamierza, przez życie z nim też iść nie chce, coby musiała na niego dłużej niż przez jeden czy dwa tańce patrzeć. Jakby tak dobrze w sakwach poszukała, to odzienie bezwstydnego... tfu, tfu! takie, które wstydu na zamku nie przyniesie, by znalazła.

Eech, cholera, jakby to takie łatwe było, Stroidara na bale namówić, nie?

* * *

Burmistrz drapał się po gęstej czuprynie, przyglądając krasnoludce.

– Znaczy, bo wiecie...

– Jak to pojechał?! – powtórzyła Beneria, unosząc się na ławie, na której burmistrzowa służka się jej nakazała. Nie po to wlokła się na biednym, starym Doru przez pół Krainy... Dobra, niech będzie, że przez trzy księstwa, no ale zawsze, co nie? Dzień cały, no i część nocy w drodze na wezwanie swojego Pierwotnego, które jej magicznymi glejtami wysłał, stawiała? Stawiała. A ten... niech no ona go w łapki dorwie... wziął i pojechał.

– No przecie mówię – spokojnie tłumaczył burmistrz. – Rzec wam ino przykazał, byście na niego poczekali. Jutro winien wrócić. Książę sam go prosił, a jak książę prosi, się przecie odmówić nie da, nie?

Przez jedno czy dwa uderzenia serca Beneria zastanawiała się, czy powinna przytoczyć owe wszystkie przypadki, kiedy to Stroidar księżętom, a nawet królom odmawiał bez drgnienia powieki. Ostatecznie jednak zmilczała. Pokręciła nosem, westchnęła i w końcu zapytała:

– A rzekł też, gdzie to ja niby mam na niego poczekać?

– Ano rzekł – mężczyzna rozpromienił się – cobyście go u wdowy Enthe wyglądali. Chłopak was zaprowadzi. – Skinął na stojącego przy drzwiach chłopca, a ten błyskawicznie ustawił się przy boku krasnoludki. Dziewczyna zacisnęła usta, bo jej się nań cisnęły słowa, które nie przystawały kobiecie Pierwotnego. Wstała i ruszyła ku drzwiom. Już skobla dotykała, gdy burmistrz poderwał się zza stołu.

– Panna! – Kiedy krasnoludka spojrzała na niego, poczerwieniał gwałtownie i uciekł spojrzeniem. – Bo wiecie... Kazał wam jeszcze przypomnieć, cobyście...

Beneria uniosła brwi i uśmiechnęła się złośliwie. Czytać w myślach co prawda nie potrafiła, ale swojego Pierwotnego знаła jak nikt inny. Domyślała się więc, co jej chciał przekazać.

– Cobyście... – jękał się dalej mężczyzna.

– Weźcie się, cholera, wyplujcie, bo się jak nic zatchniecie, a przy tej barwie gęby zaraz wam posoka nosem pójdzie – sarknęła wesoło. – Co też mnie Pierwotny Mag pamiętać kazał?

– Żebyście na dupie siedzieli aż do jego powrotu i w żadne kabały się nie wpakowali – dokończył burmistrz i aż się cofnął z wrażenia. Co prawda on jeszcze nigdy o krasnoludzie czary rzucającym nie słyszał, wszak to jednak panna od Pierwotnego, więc kto ją tam wie...

Beneria uśmiechnęła się złośliwie. Tak złośliwie, że gdyby Stroidar to zobaczył, zapewne poczułby malusieńki dreszcz biegnący po krzyżu. I nie byłby to dreszcz podniecenia.

* * *

Kiedy stanęli pod olbrzymią kamienicą, chłopiec uderzył pięścią w drzwi trzy razy, a potem, nie czekając na efekt, dygnął przed Benerią, skrzywił się w namiastce uśmiechu i uciekł.

Dziewczyna zamrugnęła zaskoczona szybkim zniknięciem dzieciaka. Nic w tym domu, który zapewne kiedyś należał do kogoś zamożnego, a teraz podupadał, nie świadczyło o tym, by mieszkał w nim ktoś przerażający. Nie miała jednak czasu, by się nad tym dłużej zastanawiać, bo drzwi zaskrzypiały głośno. Mocne przedpołudniowe słońce oświetliło sylwetkę chudej niewysokiej dziewczynki. Stała w wejściu, zaciskając palce na framudze, jakby ta miała ją powstrzymać od upadku albo i może życie ocalić. Duże ciemne oczy patrzyły na gościa z takim przerażeniem, że Beneria odwróciła się odruchowo, by sprawdzić, czy jaki oprych nie stoi za jej plecami. Ale nie. Była sama. Nawet bez konia, bo Doru został w stajniach burmistrza.

– Dzień dobry – przywitała się grzecznie. Użyła przy tym miękkiego, jedwabistego tonu, żeby zahukanego dziewczątka bardziej nie wystraszyć. – Burmistrz mnie do was wysłali. Ponoć mój – zawahała się jak zawsze, kiedy miała wskazać, kim jest dla niej Stroidar – przyjaciel pokój u was opłacił.

Panienka wciąż w milczeniu wbijała wzrok w Benerię, a palce zacisnęła jeszcze mocniej, tak że skóra na jej kłykciach pobieliała. Krasnoludka patrzyła na nie przez moment, a potem podniosła wzrok na buzię chudziny.

– Weźcie się, panienko, nie turbujcie. Przecie ze mnie żadna straszna potwora.
– Ona tak do wszystkich. – Za plecami dziewczątka rozległ się głos i z mroku wnętrza domu wychynęła kolejna postać.

Rzec o młodej kobiecie, że była piękna, to tak jakby Stroidara określić kuglarzem. Krasnoludka stała w progu i gapiła się jak chyba nigdy w życiu.

– Kurwa – wyrwało się jej. Co prawda cichuteńko, ale wyrwało.

Dziewczyna zaśmiała się perliście, a jej oczy rozbłysły filuternie.

– Och, wasze szczęście, że żadna z matron was nie usłyszała, bo by was z miasta wygnały. – Zachichotała. – Tutejsze matrony bardzo czułe są na wszelkie niemoralne zachowania.

– To im się ze Stroidarem spodobamy jak nic. – Beneria uśmiechnęła się krzywo. – Wyście wdowa Enthe?

– Wyglądam na wdowę? – Dziewczyna zaśmiała się. – Nie, to moja macocha. A was pewnie zwą Beneria? Pan Stroidar kazał się was spodziewać. Wejdźcie. Ninu, rusz się. – Łagodnie pociągnęła chudą dziewczynę. – Pani chce przejść.

Dziewczynka powoli przeniosła wzrok na piękność, a potem posłusznie odsunęła się od drzwi.

– No, chodźcie, pani Benerio. Jestem Mada. Moja siostra, jakeście słyszeli, to Ninu. Matki nie ma, ale zaraz winna wrócić. Pewnie zdrożonaś bardzo? Izba czeka, ale najpierw coś byś pewnie zjadła? Polewkę uwarzyłam. Matka mówi, że drugiej takiej w mieście nie robią – mówiła szybko, a przy ostatnim zdaniu mrugnęła zalotnie. Beneria aż przystanęła i znów rozdziawiła usta.

– Słodka panno od tego zakonu, co w nim milczenie ślubują – sapnęła cichuteńko.
– A o mnie gadają, że mnie się gęba nie zamyka.

Mada ponownie parsknęła śmiechem. Przytuliła odruchowo siostrę, a chuda dziewczynka rozpromieniła się na moment. Wyraźnie przywykła do takiej czułości.

– Ano prawda, panno Benerio. Nie lubię ciszy. W ciszy słyhać, jak umiera radość.
– Zaśmiała się, prowadząc gościa wąskim i ciemnym korytarzem. – A ja lubię śmiech, wiecie? Papko lubił. – Posmutniała na mrugnięcie oka. – Pewnie i teraz śmieje się z przodkami. Prawda, Ninu? Kiedy papko się śmiał, nawet Ninu była weselsza. A i matka... Nic to. Siadajcie. Już daję polewkę.

Kuchnia była jasna i obszerna. W licznych meblach czy ławach obitych barwnymi materiałami wciąż pozostało wspomnienie dawnej zamożności. Materie jednak wyblakły, farba na drewnie odchodziła, a niektóre naczynia wyszczerbił czas. Dom podupadał, zapewne z braku talarów w sakiewce wdowy.

Na piecu w dużym garnku bulgotała jakaś potrawa. Pachniała znakomicie, acz może tylko Benerii tak się wydawało, bo ostatni posiłek zjadła poprzedniego wieczora, kiedy stanęła na nocleg w gospodzie. Zaciągnęła się więc głęboko upojnym aromatem, co nie uszło uwagi obu dziewcząt. Mada parsknęła śmiechem, a Ninu zmarszczyła brwi i wcisnęła się w kąt kuchni. Stała tam, jakby chciała się stopić ze ścianą.

– Oj, widzę, głodniście. – Ładniejsza z siostr błyskawicznie złapała misę, nalała polewki do pełna, a potem z rozmachem, rozlewając przy tym wokoło, postawiła naczynie przed gościem. – Jedzcie na zdrowie.

Cóż, krasnoludce nie trzeba było dwa razy powtarzać. Zupa rzeczywiście była przednia, gęsta i aromatyczna.

Dziewczęta tymczasem usiadły naprzeciwko gościa. Mada pierwsza, pociągając za sobą Ninu, której niespieszno było opuścić swój kącik. Zmuszona przez siostrę usiadła ze sztywno wyprostowanymi plecami i ciemnymi oczyma wbitymi w poruszające się nerwowo palce.

– Jak to jest, pani Benerio – zapytała Mada – być żoną Pierwotnego? To musi być strasznie cudowne. – Rozmarzyła się, a spojrzenie, chociaż wciąż skierowane na krasnoludkę, straciło naraz na ostrości. – Przygody, magia i... i to wszystko. Taka niesamowita moc. I zwiedzacie cały świat. To musi być niesamowite – powtórzyła. – I takie romantyczne... Spełnia pewnie każdą waszą zachciankę, prawda? Nie ma dla was nic niemożliwego?

Beneria niemal udławiła się przy spełnianiu zachcianek. Zakrztusiła się i rozkaszała, aż łzy stanęły jej w oczach. Mada przyskoczyła i trzasnęła kobietę w plecy.

– Bogowie! Pani Benerio, co wam? – zaniepokoiła się.

– Nie, nic – wycharczała krasnoludka. – Jeno to wasze pytanie... No, jakbym życie swoje u boku mojego Pierwotnego w tych kilku słowach zobaczyła.

Dziewczyna rozpromieniła się, a śliczna buzia znowu nabrała wyrazu rozmarzenia.

– Eeech – westchnęła. – To musi być wspaniałe. Tak zwiedzać świat, poznawać różne miejsca. I to u boku takiego mężczyzny.

Uśmiech Benerii naraz zbladł. No, nie żeby od razu żółć ją z zazdrości zalewała czy coby nie była pewna stałości Stroidara. Nie no, co to to nie. Kiedy jednak taka panna, że Beneria w całym swoim nie znowu tak krótkim życiu piękniejszej nie widziała... No więc kiedy takie cudo zachwyca się Pierwotnym, to i krasnoludka tak jakby grunt pod nogami stracić może, co nie?

– Bo to i przystojny – kontynuowała niezrażona Mada, kompletnie nieświadoma owej zółci, co to może nie od razu, ale z wolna napływać w myśli gościa zaczęła – i miły taki. No i takie niesamowite rzeczy potrafi, prawda? Musi być wspaniale być żoną Pierwotnego.

– Ano, pewnie musi. Jak ją spotkam, się dowiem – burknęła Beneria. – To gdzie ta wasza matula?

Nagła zmiana tematu wyrwała śliczną panienkę z rozmarzenia. Westchnęła, a potem spojrzała na siostrę.

– Wyszła, kiedy na plac zwoływali. Powinna wrócić lada chwila – odpowiedziała niechętnie.

Beneria pokiwała głową i też popatrzyła na Ninu.

– Wasza siostra to zawsze taka małowówna? – zapytała.

– Ninu nie mówi – potaknęła, smutniejąc. – Trzecia wiosna będzie. Przestała, kiedy papko umarł. Ja to tak myślę, że ona wtedy jakby serce straciła do ludzi. Przestała się śmiać, przestała mówić, z domu już wychodzić nie chce...

Miękkie serce krasnoludki drgnęło z żałości. Uśmiechnęła się współczująco do chudziny. Miała już nawet zamiar wstać, coby pannę przynajmniej po ramieniu poklepać, kiedy z hukiem trzasnęły drzwi wejściowe, a wykrzyczane imiona dziewcząt oznajmiły powrót gospodyni.

Rzeczywiście po chwili pani domu wpadła do kuchni. Była niewysoka, szczupła i dość ładna. Wyglądała zbyt młodo jak na matkę którejś z dziewcząt, ale niezwykle podobieństwo do niej Ninu przeczyło temu założeniu. Wbiegła do kuchni jak mała wichura, z rozwianym włosiem i krzykiem na ustach. W ramionach dzierżyła niczym największy skarb warstwy połyskującej błękitno-srebrnej tkaniny.

– Wreszcie! – krzyknęła, patrząc na pasierbicę. – Los się odmienił, Madeńko! Odmienił! Popatrz! – Rozwinęła triumfalnie materię, która okazała się suknią. Przepiękna, haftowana perłami i wykończona idealnie białą koronką kreacja, jeśli Beneria się nie myliła, a w tym temacie myliła się rzadko, musiała kosztować więcej niż wyposażenie całej kuchni. Nic więc dziwnego, że wszystkie obecne w izbie kobiety zagapiły się miłośnie na ów cud sztuki szwalniczej. Przez jakiś czas słychać było tylko bulgot polewki i przyspieszone bicie czterech serc, bo nawet chuda Ninu najwyraźniej się ożywiła.

W końcu Mada podniosła się powolutku i podeszła do macochy. Z wahaniem dotknęła sukni, lecz zaraz cofnęła palce.

– Nie stać nas – oceniła rezolutnie.

– Na to musi nas być stać! – podniecała się dalej wdowa Enthe. – To nasza przyszłość!

– To suknia, matko – z lękiem tłumaczyła dziewczyna. Najwyraźniej uznała, że z jakiegoś powodu macocha traci rozum.

– To suknia – przytaknęła kobieta. – Twoja suknia! Będiesz w niej najpiękniejszą panną na balu! Na nikogo księżę nie spojrzysz, tylko na ciebie! Wreszcie! Koniec z biedą! Koniec z zaciskaniem pasa! Koniec z goszczeniem przybłąd za grosze!

– Matko!

Beneria z trudem oderwała wzrok od sukni i podniosła go na gospodynię. Uśmiechnęła się przy tym szczerze, a potem powoli uniosła z ławy.

– Witajcie, wdowo Enthe. Jestem Beneria.

Kobieta, która dopiero w tym momencie dostrzegła gościa, pobladła lekko. A że imię krasnoludki nie było jej obce, po chwili bladeść się pogłębiła. To, że dziewczyna Pierwotnego mogłaby poczuć się obrażona, okrutnie wdowę przeraziło. Cofnęła się o krok i przycisnęła suknię do serca, jakby to odzienie miało ją uchronić przed gniewem wszechmocnego maga.

– Nie bójcie się – uspokoiła ją Beneria. – Nic mnie do tego, co se tam roicie o przyjezdnych. Wasze córki z sercem mnie ugościły, a polewki lepszej dawnom nie kosztowała. A przybłądą być żaden wstyd. – Wyszczерzyła się. – Gorzej mnie już zwali. No już, uspokójcie się. Nic Stroidarowi nie rzeknę.

Kobieta jeszcze przez chwilę przyciskała swoją przyszłość do piersi. Wreszcie odetchnęła, przesunęła pieszczotliwie palcami po błyszczącej materii, a potem podeszła do pasierbicy.

– Przymierz – nakazała. Kiedy dziewczyna nie zareagowała, macocha wcisnęła jej suknię i odwróciła się do gościa. – Wybaczcie, pani. Nie was miałam na myśli. Ani was, ani Pierwotnego. Czasami jednak musimy gościć takich, którzy nie powinni oglądać wnętrza porządnego domu. Dalej, dziewczyno! – warknęła, kiedy Mada nie ruszyła się z miejsca.

– Nie stać nas. A jeśli zniszczę? Kosztowała chyba więcej, niż zarobiliśmy przez cały poprzedni rok. – Mada wreszcie odzyskała głos. – Skąd w ogóle wzięłaś na to pieniądze? I po co?

– Księżę...! – krzyknęła wdowa, a potem zamilkła.

– Co księżę?

– Wasza matka chce powiedzieć, że księżę wydaje dzisiaj bal, na którym wybierze przyszłą żonę. Kupiła suknię, byś to ty została ową szczęśliwą wybranką – wyjaśniła

Beneria, widząc, jak bardzo wdowa się męczy, niepewna, ile może przy gościu powiedzieć.

– Co?!

– Ano, też mnie się wydaje, że mogłabyś, panna, lepiej trafić. – Krasnoludka wyszczerzyła się i ponownie opadła na ławę. Rozparła się na niej, a potem pokiwała głową. – Zabrał mnie kiedyś Stroidar w dalekie kraje, gdzie na drzewach mieszkają takie stwory żywo ludzi przypominające. Żem wtedy pomyślała, że niczego brzydszemu w życiu nie widziałam. No ale to było, zanim ten wasz pan na placu miejskim się objawił.

Wszystkie trzy kobiety aż krzyknęły zbulwersowane. Nawet ta, której jeszcze przed chwilą niespieszno było do książęcego małżeństwa. No, Ninu nie krzyknęła, chociaż na jej chudej buzi odmalowało się przerażenie.

– No co? – zapytała szczerze zdziwiona Beneria. – Oczu nie macie?

– To książe jest – wyszeptała wdowa.

– No książe. Nie pierwszy i nie ostatni, którego w życiu widziałam. Acz tego, rzeczywiście, chyba nie zapomnę. – Zachichotała złośliwie. Widząc szok gospodyni i jej córek, dodała łagodząco: – Książe czy król, żyć to, panna, będziesz z chłopem. A jak serce nie drgnie, życie łatwe nie będzie.

– Serce?! Serce?! – zaperzyła się wdowa. – Nie stać nas na taki cymes! Książe może i nie piękny, ale życie bez miłowania klejnoty osłodzi! I dach nad głową, którego żaden wierzyciel nie zabierze! I mięsiwo w piecu... – zakończyła cicho.

Mada objęła macochę i spojrzała z wyrzutem na gościa, Ninu zaś patrzyła spode łba, ale nie podeszła do matki.

Beneria podrapała się po głowie szczerze zawstydzona, że ona tu jakieś bajdy o miłowaniu, a biednym kobietom na mięsiwo talarków nie staje. Niewiele większych nieszczęść krasnoludce do głowy przychodziło od braku mięsiwa w codziennej diecie. Żałość ją ogarnęła, a i współczucie takie wielkie, że i nie wiedziała, co powiedzieć i jak bidulki pocieszać.

Dyć po Stroidarze i Doru to piecyste było jej największą miłością.

* * *

Izba była malutka. Tak malutka, że Beneria zaczęła podejrzewać, że Stroidar raczej w niej nie nocował. Jakby legł w łóżu, które dla niej zaścielono, nogi zwisłyby mu na podłogę, a i rękami smyrałby jej deski. Oj, chłop na schwał był z tego jej Pierwotnego. Na schwał.

Kiedy tak siedziała, roztkliwiając się nad rozmiarami swojego Pierwotnego, przyszło jej naraz do głowy, że przecież i ona mogłaby, jak panna Enthe, wybrać się na bal. Zaproszenie tyczyło wszystkich panien... stanu wolnego. Parsknęła śmiechem, a potem, wciąż rozbawiona, sięgnęła do sporego tobołka, który ze sobą przytargała.

Taaa, suknia może nie była tak elegancka i droga jak ta, którą wdowa kupiła dla pasierbicy, ale zdecydowanie wstydu na zamku nie narobi, czego tak obawiał się książęcy herold.

Strzepnęła ją, obejrzała, a stwierdziwszy, że zagniecení prawie nie widać, rozłożyła na łożu. Niestety nikt nie zadbał o to, by zostawić jej choćby miskę z wodą, w której mogłaby się umyć, a przecież nie założy eleganckiej sukni i nie pójdzie na bal, woniejąc końską perfumą. Cóż, trzeba pójść poszukać jakiej służki. Jeśli w tym domu w ogóle jest służba.

Otworzyła drzwi i prawie wpadła na Ninu niosącą miskę. Dziewczyna cofnęła się przestraszona, rozchlapując wodę.

– Weź no, panna – krasnoludka podtrzymała ją łagodnie – nie rób tak. Se jeszcze pomyślę, zem rzeczywiście straszna jest. A przeciwnie nie jest, co nie? Panna?

Dziewczyna nie odpowiedziała, ale kąci jej ust lekko drgnęły, jakby siłą powstrzymane przed uśmiechem.

– No dyc widzę, że panna myśli, co nie spotkasz w Krainie zacniejszej krasnoludki. Zacniejszej – mrugnęła zawadiacko i lekko klepnęła dziewczę w ramię – piękniejszej i skromniejszej, co oczywista. Daj, panna, tę wodę. – Wyciągnęła ręce po miskę, ale Ninu pokręciła gwałtownie głową i zacisnęła chude paluszki na naczyniu.

Krasnoludka westchnęła i odsunęła się, żeby przepuścić dziewczynę.

– No skoro musisz, to musisz – powiedziała.

Ninu przestąpiła próg ciasnej izdebki i zatrzymała się raptownie.

– Co jest? – zapytała zdziwiona Beneria. Wyminęła córkę wdowy, a potem na nią spojrzała.

Mała, chuda Ninu patrzyła z wyrazem absolutnego zachwyty na szmaragdową suknię leżącą na łożku. Ciemne oczy w drobnej buźce przypominały wielkie onyksy, usta rozchyliło pragnienie, całkiem jak przed pierwszym pocałunkiem. Twarzyczka pojaśniała i na chwilę dziewczyna przestała wyglądać jak zagłodzony dzieciak, a zaczęła przypominać własną siostrę. Stała się niemal piękna.

A później chwila minęła, światło w oczach Ninu zgasło, dziewczyna zgarbiła się, odłożyła miskę i wyszła.

Jeszcze jakiś czas Beneria stała w drzwiach, patrząc za córką wdowy. W końcu przygryzła wargę, pokręciła głową i zaczęła przeklinać swoje miękkie serce.

Nadchodził wieczór, kiedy Beneria zeszła szukać wdowy Enthe. Znalazła ją w największej izbie, wciąż pamiętającej czasy świetności domu. Ciężkie jasne kotary wiszące przy oknach nie zostały jeszcze zaciągnięte, by kobiety przygotowujące się do wyjścia nie musiały świecić kaganków. Ostatnie promienie słońca oświetlały stojącą na środku pokoju Madę i krzątającą się wokół niej macochę. Igrały w złotych lokach dziewczyny, światłocieniami malowały smukłą sylwetkę, odbijały się w jedwabiu sukni. Pasierbica wdowy Enthe wyglądała wprost nierzeczywiście.

Beneria przystanęła w drzwiach. W ostatnim momencie powstrzymała się od słowa, którego tak nie lubił w jej ustach Stroidar, a za które ponoć wygnano by ją z miasta. Od sapnięcia jednak powstrzymać się nie zdołała. Dźwięk ten oderwał wdowę od poprawek. Spojrzała na gościa i uśmiechnęła się z dumą.

– Piękną mam córeczkę, prawda? – zapytała. Przykucnęła i poprawiła koronkę. – Całe życie czekałam na taką okazję. Kiedy zobaczyłam moją Madeńkę pierwszy raz, jeszcze taką maluteńką, wiedziałam, że dobrzy bogowie mi ją zesłali. Tylko ją, taką cudną, doskonałą, idealną córeczkę – kontynuowała, nie zwracając uwagi na Ninu wciśniętą w kąt pokoju i łakomie wpatrującą się w siostrę i matkę. – Tamtego dnia, patrząc na moją maleńką ślicznotkę, zrozumiałam, że kiedyś siła jej piękna rzuci na kolana księstwo.

Beneria zamrugła gwałtownie. W przeciwieństwie do wdowy ona patrzyła na chudą panienkę i widziała jej smutną buzię.

– Tak, dokładnie tak. – Wdowa uśmiechnęła się z dumą, strzepnęła niewidzialny pyłek z sukni pasierbicy i wyprostowawszy się, powtórzyła: – Siła jej piękna.

Przez jedno, może dwa uderzenia serca Beneria tłumaczyła sobie, że przecież jest gościem, że nie wypada, że przecież może zachować swoje zdanie dla siebie... No ale właściwie skoro miała rację, to dlaczego miałaby milczeć, co nie?

– No już większej dyrdymały to żem w życiu nie słyszała! – podsumowała więc, przewracając oczami. – Siła jej, cholera, czego? Znaczy, że co? Że choćby durnowata była jak ten kryształowy pantofelek, co to go jej na stópkę wciskacie, to starczy jak lico będzie miała urodziwe? Ech, wdowo Enthe, głupio prawicie. – Pokręciła głową, a potem, zanim zaskoczona kobieta zdołała zareagować, dodała: – A gdzie przyodziewek dla Ninu? Przecie w tej sukieneczynie, co barwą żywo przypomina to, co mój parchaty wałach na drogach zostawia, pójść na bal nie może.

Trzy kobiety spojrzały jednocześnie na krasnoludkę, każda z innym wyrazem twarzy. Ninu z nadzieją, Mada ze zdziwieniem, a wdowa Enthe z niesmakiem. Ta

pierwsza oczywiście milczała, ale jej siostra zwróciła się do matki:

– Właśnie, mammo... – zaczęła.

– Oszalałyście?! Nie może! Jak będziesz... Jak ona...! – jąkała się, przerzucając wzrok z jednej córki na drugą i krzywiąc się lekko, kiedy padał na rodzoną.

– Mammo!

– Ninu zostanie w domu! – Kobieta podniosła głos. – Ktoś się musi gościem zająć! Nie ma w domu ładnej sukienki, która by jej pasowała, a w tej, jak pani Beneria słusznie prawi, pójść nie może. Ot, prawda! – I zanim ktoś zechciałby zaprotestować, dodała: – No już! Musimy się zbierać... Narzutka, Madeńko. Wyprostuj się. Tak! Pięknie! Już! – Wypchnęła córkę za drzwi, a potem sama wyszła.

Mała, chuda Ninu w zgrzebnej sukience stała w bezruchu i wyglądała jak definicja nieszczęścia.

– Dobra, panna – Beneria podeszła do dziewczyny i chwyciła ją za rękę – na nas też już pora. Chodź, nie wgapiaj tych ślepek we mnie jak ten mój parchaty staruszek, kiedy mu mówię, że trza jeszcze tę jedną wioskę przejechać, a on już myśli o obroku. No, dawaj, dziewczyno, nie będę cię ciągnęła jak bożątka na rzeź. Idziem. Trza cię oporządzić. Nie pójdziesz na bal do księcia w gównianym przyodziewku, co nie?

* * *

Pośród licznych, zaprawdę licznych zalet ukochanej Pierwotnego Maga jakoś dobrzy bogowie nie zechcieli umieścić umiejętności szycia. Kiedyś, kiedy jeszcze poszukiwała swego miejsca w życiu, Beneria zatrudniła się u jednej szwaczki. I naprawdę najszczerzej chciała ową, jakże w życiu kobiety przydatną, umiejętność nabyć. Niestety syn szwaczki miał w zwyczaju sprawdzać inne umiejętności zatrudnionych u matuli dziewcząt. Tak więc Benerii nie udało się nauczyć szycia, za to całkiem nieźle opanowała wtedy kopnięcie kastracyjne.

Z teje przyczyny ubiegłej wiosny, kiedy to Stroidar przywiózł dziewczynie z jakiejś podróży nadobną sukienkę, niestety tu i ówdzie za dużą, Beneria najpierw wściekła się, że owe tu i ówdzie do niej należące Stroidar przecenił. Wściekła się głośno, straszliwie i z używaniem słów, za które nie dość, że z tego miasta by ją wypędzono, to jeszcze i może w całej Krainie nie znalazłaby miejsca. Kiedy wreszcie gniew jej przeszedł, pojawiła się żałość, że nie będzie mogła owego cacka nosić aż do znalezienia znakomitej szwaczki. Najwyraźniej wściekłość wywarła odpowiednie wrażenie na Pierwotnym Magu, gdyż błyskawicznie uznał, że trzeba jakoś sprawę załagodzić, i nauczył Benerię zakłęcia działającego znacznie szybciej, a równie dokładnie jak owa potencjalna szwaczka.

Teraz właśnie, patrząc na szmaragdową suknię smętnie zwisającą na drobnej sylwetce Ninu, Beneria z satysfakcją wspomniała tamten dzień i nieco poczarowała. Potem obesła dziewczynę dookoła, pocmokała, pomacała tu i ówdzie i wreszcie z ukontentowaniem podsumowała:

– A ty wiesz, panna, że jak cię tak w kolory ubrać, to i taka przeraźliwie wychudzona być przestajesz? Tam gdzie trzeba jest cię trochę więcej.

Ninu milczała, ale chude paluszki z umiłowaniem przemykały po materii spódnicy.

– Trza ci jeszcze coś na głowie... – Beneria wyszarpnęła z tobołka szczotkę do włosów, przedmiot, który po Stroidarze, Doru i mięsiwie kochała najbardziej na świecie, bo był pierwszym prezentem od jej Pierwotnego. Nawet niektóre panny z bogatych domów nie miały takiego cymesu... Eech, piękna rzecz, nie ma co. – Dawaj, dziewczyno, rozplączemy ten warkocz. Taka koafiura to do kuchni się nadaje, a nie na bale. Coś ci tam wymyślimy... Nie żebym chwalić się chciała, ale włosy to ja umiem ułożyć jak mało kto. Z takimi jak moje to trzeba, nie? Jeszcze chwila... Już prawie... Ech, panna, bogowie ci włosów nie pożałowali. Pokaż no się. – Rozsypała włosy dziewczęcia na ramionach i odsunęła się, żeby zobaczyć efekt. – Eee no, dziewczyno... całkiem ładnaś. Całkiem, całkiem. – Cmoknęła z zachwytem, bo rzeczywiście, kiedy bujne loki okoliły buzię Ninu, zamiast podkreślić jej szczupłość, wydobyły z twarzy dziewczyny wszystko co najlepsze. Wciąż nie wyglądała jak siostra... ale niewiele było kobiet podobnych do Mady. – Nie trza ci niczego wymyślnego. Takie włosy żal upinać. I te oczyska masz takie wielkie... No jak ta łania, co to ją w lesie Stroidar chciał upolować, ale mu nie pozwoliłam. Znaczy potem żeśmy i tak dziczyznę na obiad jedli, więc cholera go wie... Taaa, ja tu o łani, a czas ucieka. Trza nam się zbierać na te tańce.

Podeszła do drzwi, ale zatrzymała się, widząc, że Ninu nawet nie drgnęła.

– Co jest, dziewczyno?

Odpowiedziało jej milczenie. Szczupłe palce pracowały nerwowo, Ninu przygryzła wargę, ale nawet nie podniosła wzroku na gościa.

– Taaa... Się mogę pytać, co nie? Czekaj, niech pomyślę... Trzewiki! No jasne, że trzewiki! Suknię masz, ale przecie nie da się tańcować w chodakach. O czym ja myślę, no! Głupia baba! Głupia jak nic. No ale tu będziemy miały problem, dziewczyno, bo to Stroidarowe zakłęcie, to ono ino na odzienie działa. No, a moje nożyska to trochę jakby od twoich większe. – Zachichotała, pokazując wielkie stopy odziane w wysokie buty. Zaraz jednak posmutniała, bo przecież rzeczywiście w ciężkich chodakach, jakie jej nowa podopieczna miała na drobnych stópkach, nijak tańczyć się nie dało. A że matkę panienki już nieco poznała, nie liczyła na to, że

wdowa ukrywa gdzieś w domu ozdobne trzewiki dla Ninu. W końcu westchnęła i stwierdziła: – Trudno, dziewczyno, kiedy już będziem w zamku, zdejmiesz chodaki i na bosaka potańczysz. Ino będziesz musiała uważać, bo jak ten... urodziwy inaczej książe na cię stąpnie, to już nic z palców nie zostanie. Idziemy!

Dziewczyna dalej stała na środku pokoju, sztywna i niepewna. Przez chwilę Beneria chciała wrzasnąć albo potrząsnąć bidulką, ale w końcu wybrała inny sposób. Podeszła do niej bez słowa, wzięła ją delikatnie za rękę i pociągnęła do drzwi. Ninu nie opierała się, ale szła trochę jak na skazanie. Dlatego też krasnoludka nie poprowadziła jej do wyjścia z domu, ale do sporego, chociaż już trochę matowego zwierciadła na korytarzu.

– Patrz, panna – poleciła łagodnym tonem Beneria. – No, patrz... – A kiedy dziewczyna wreszcie uniosła wzrok i spojrzała w odbicie, uśmiechnęła się i dodała: – Widzisz?

Onyksowe oczy Ninu rozwarły się szeroko, w kompletnym niedowierzaniu. Przekręciła głowę najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Cofnęła się o krok, przesunęła palcami po materiale, a potem szybko podeszła do lustra i dotknęła powierzchni.

– Jestem ładna – wyszeptała.

– Ano jesteś – przytaknęła odruchowo Beneria, by zaraz potem pojąć, czego właśnie była świadkiem. Z wrażenia zapomniała o całej tyradzie, którą miała dziewczynie wygłosić. Stała tylko i wpatrywała się z rozdziawioną buzią w swoją nową podopieczną. Ta zaś wciąż dotykała tafli zwierciadła. W końcu popatrzyła na krasnoludkę. Drobną twarzyczka pojaśniała, oczy rozświetlił blask...

– Ano jesteś, cholera, ładna – powtórzyła Beneria, kręcąc głową z niedowierzaniem.

* * *

Dawno zapadł już zmrok, kiedy wreszcie dotarły do książęcego zamku. Stanęły u stóp długich schodów rozświetlonych dziesiątkami pochodni, a milcząca Ninu zatrzymała się raptownie. Towarzysząca jej Beneria, która od dłuższego czasu też się nie odzywała, wstąpiła na pierwszy ze stopni. Całą drogę z domu wdowy Enthe do książęcej siedziby wykliniała w myślach to swoje miękkie serce, przez które straciła nie tylko całkiem niebrzydki przydziewek, ale i okazję do tańców, to wdowę, która tak zaniedbała własne dziecko, że przestało mówić. A przecie wystarczyło trochę dobroci, trochę zainteresowania i dziewczuszka zupełnie jak nie ta, co nie? Może i nie stawać jej w zawodach na wioskowego bajorza, ale już i gębulę otwiera, a i

uśmiechnie się... Jakby ino ta durnowata wdowa pomyślała, a nie Benerii cały ten bajzel sprzątać zostało. No!

Toteż szła Beneria i złościła się w milczeniu, co przecie każdy wie, szkodzi i na urodę, i na ducha. Nie ma to jak gdy człowiek się wykrzyczy i nawykliina... zaraz i na sercu lżej, i na gębuli ulga, co nie? Ale Beneria towarzyszyła zahukanej panience, to i krzyczeć nie mogła, boby dzieciaka jaki strach wziął i co? Szła więc w ciszy, a złość coraz bardziej szkodziła jej na urodę... Aż stanęła na pierwszym schodku, a Ninu za jej plecami zatrzymała się gwałtownie.

– Czego, panna, tak stoisz? – burknęła zezłoszczona krasnoludka. – Teraz nie ma co już stać! Tańce tam czekają! O! – Wskazała ręką na szczyt schodów. – I ten wasz książę, co to się panninej matuli marzy. Ja bym tam chyba jednak wołała za mąż za mojego parchatego konika pójsć, ale zdaje się, że wy wszystkie to jednak za księcia... No dalej, panna!

Dziewczyna spoglądała to na szczyt schodów, za którym w rozświetlonej sali balowej grała skoczna muzyka, to znów na swoje stopy wciąż odziane w bure chodaki. Wreszcie skierowała wzrok na Benerię.

– Mama – powiedziała tylko.

Oj, ta cała złość, co to biedną krasnoludkę od dłuższego już czasu dusiła, zaczynała pchać się do wyjścia. Przygryzła więc dziewczyna usta i odparła gniewnie:

– Matula wasza, niech ją... – Odetchnęła raz i drugi, a potem dokończyła zupełnie inaczej, niż zamierzała: – Dobrzy bogowie chronią, to się ino ucieszy, kiedy was zobaczy. Ruszcie no dupę, bo się bal skończy i ze zrobienia matuli przyjemności nici.

Ninu nie wyglądała na przekonaną, ale posłusznie ruszyła za Benerią.

Zrobiły ledwie kilka kroków, gdy na szczycie schodów stanęła postać w błękitnej sukni. Stanęła na uderzenie serca, a potem rzuciła się biegiem w dół po stopniach. Obcasiki kryształowych pantofelków stuknęły o kamienne stopnie.

– Hej, panna! – krzyknęła krasnoludka, gdy Mada się zbliżyła. – A wy to gdzie?!

– Nie chcę! – wydyszała dziewczyna, przystając na moment obok siostry i jej opiekunki.

– Czego zaś nie chcecie?

– Za księcia nie chcę! – gorączkowała się Mada. – On brzydki jest. Ja chcę jak wy: miłowania, serca, przygody i przystojnego czarodzieja. Nie chcę za księcia!

Krasnoludka pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Ano, panna, nie ma co łącać, szpetny jest. A Pierwotnych jeszcze sporo po Krainie łązi. Jakiś może i pannie się trafi.

Mada potaknęła ochoczo.

– Zdaje się, że mus wam uciekać, panna. – Beneria wskazała schody, po których zbiegali służący księcia, najwyraźniej w pogoni za niechętną narzeczoną.

Dziewczyna przygryzła wargę. Nawet nie zerknęła na siostrę, wbijając spojrzenie osaczonej łani w pościg.

– Nie zdążę! – rozpacziała. – Nie w tych trzewikach.

– Zzuj, dziewczyno, i na bosaka! – poradziła Beneria.

Mężczyznom brakło kilkunastu stopni, by złapać jasnowłosą piękność, gdy ta rzuciła śliczne pantofelki, podkasała suknię i pobiegła przed siebie. Krasnoludka uśmiechnęła się pod nosem i sięgnęła po kryształowe buciki.

Chwilę potem pierwszy ze służących dotarł do Benerii...

No i właśnie wtedy dziewczyna po raz kolejny pomyślała, że jak tak człowiek ten gniew w sobie dusi, to źle, a pomoc biednej owieczce, co to przed niechcianym zamążpójściem ucieka, dobrze. No i trzasnęła bogom ducha winnego chłopca przez plecy. A że służący zbiegał po schodach, potknął się, stracił równowagę i rymnął ze stopni. Za nim drugi, bo nie zdążył się zatrzymać, a później kolejny...

Krzyk mężczyzn i łomot turlających się ciał niósł się po okolicy.

– Patrz, panna, siostra ci buciki zostawiła. – Beneria uśmiechnęła się szeroko. – Będą jak znalazł na tańce. I o! Księżę nawet wyszedł, by nas powitać. – Wskazała na przysadzistą sylwetkę tutejszego władcy, który najprawdopodobniej wybiegł za jasnowłosą pięknością, ale teraz stał i wbijał wzrok w Ninu. – Zakładaj trzewiki, dziewczyno, i biegiem do góry! Nie wypada księciuniowi kazać czekać, co nie?

Mała, chuda Ninu, co to już ani na małą, ani na chudą nie wyglądała, wsunęła stópki w kryształowe trzewiki, wyprostowała się, uniosła głowę i ruszyła po schodach do wymarzonego księcia.

Beneria stała i patrzyła za dziewczyną, dumna jak matka z pierwszego kroku swojego dziecka. Ot, się wzruszyło krasnoludzkie serce. Tańców co prawda nie będzie, ale jaki dobry uczynek zrobiła. Aż lekko na duszy. Zwłaszcza że i złości dała upust, co nie? Za jej plecami księżęcy słudzy właśnie gramolili się ze schodów, jęcząc i wyklinając. Krasnoludka pomyślała, że chyba czas jej wracać do domu wdowy Enthe, zanim któryś z chłopów zechce się za siniaki odpłacić. Spojrzała więc ostatni raz na swoją szmaragdową sukienkę, westchnęła i odwróciła się...

Potężny ciemnowłosy mężczyzna nie wyglądał na zagniewanego. Spojrzył na Benerię, potem na jęczących mężczyzn i ponownie na Benerię.

– Czy nie kazałem ci – zapytał spokojnie – siedzieć na dupie i nie pakować się w żadne kabały?

Prawdziwa historia kryształowego pantofelka

– Książę uklęknął więc przed śliczną dziewczuszką. – Młody bazarz ściszył głos niemal do szeptu, a zgromadzeni przysunęli się bliżej, nadstawiając uszu. – Siostry aż pozieleniały z zazdrości, kiedy młody rycerz włożył kryształowy pantofelek na drobniuteńką stópkę dziewczęcia. I oto cud prawdziwy! Ledwie bucik znalazł się na nóżce... – zrobił pauzę dla większego napięcia – a łachmany, w które odziana była nasza bohaterka, magicznie zmieniły się w ową prześliczną sukienkę, która zdołała kibić panienki w noc balu.

Westchnienie oczarowanych słuchaczy, a przede wszystkim słuchaczek, zapatrzonych z uwielbieniem w przystojne oblicze opowiadającego, przemknęło przez karczmę. Bazarz uśmiechnął się lekko. Zerknął przy tym na towarzysza. Krasnolud przewrócił oczami zniesmaczony.

– I tak, przyjaciele moi – kontynuował młodzieniec – dziewczę z kuchni zostało królewską narzeczoną. Żyli potem, wraz z królewskim małżonkiem, długo i szczęśliwie. A ich potomstwo po dzień dzisiejszy włada królestwem Astirii.

Gromkie oklaski wstrząsnęły gospodą. Niewiasty płakały, mężczyźni zerkali z podziwem. Całe towarzystwo, zachwycone historią, nie odrywało wzroku od przystojnego bazarza, jakby oczekiwało na kolejną opowieść. On zaś wykonał ukłon i sięgnął po dzban z miodem. Przełknął solidny haust i ponownie, z uśmiechem, spojrzął na markotnego towarzysza.

– Cóż się tak marszczysz, mój drogi? – zapytał cicho.

– Ta twoja opowieść...

– Co z nią?

Krasnolud skrzywił się okrutnie, pochylił ku przyjacielowi i wyszeptał gniewnie:

– Jeszcze się ktoś domyśli...

Młodzian zachichotał.

– Taaak, bo to bardzo podobne do naszej historii – potaknął ironicznie, ale uśmiech zniknął.

* * *

Królowa wdowa majestatycznie sunęła pałacowymi korytarzami. Tak właśnie powinna poruszać się władczyni, myślała, zerkając ukradkiem w olbrzymie lustro w złoconych ramach. Dostojnie i powoli, z wrodzoną elegancją i głębokim smutkiem. W końcu minęło dopiero pięć tygodni od śmierci pana małżonka. Wypadało nosić

czerń – bogom niech będą dzięki, że akurat w niej, dzięki brzoskwiniowej cerze, Elis wyglądała pięknie – i snuć się po pałacowych komnatach niczym uosobienie żalości.

Westchnęła, zatrzymując się przed portretem podarowanym jej przez nieżyjącego męża z okazji koronacji dwadzieścia lat temu. Na obrazie śliczna młodziutka królowa wspierała się wdzięcznie na ramieniu zapatrzonemu w nią króla. Och, jakąż byli piękną parą. On wysoki, postawny i bardzo męski. Ona wiotka, eteryczna, ciemnowłosa... jak nimfa.

Zerknęła w zwierciadło. Cóż, niewiele się zmieniła. Mimo pięciu porodów i umykających lat wciąż była niedoścignioną pięknoscią z nienaganną figurą.

– Mamooo!

Krzyk córki wyrwał ją z zamyślenia. Odwróciła się niechętnie. Jej duma, miłość, jedyne dziecko, które dożyło wieku dorosłego.

Mała, tłusta krowa.

– Mamooo!

– Słyszę, Roleno. Księżniczkom nie wypada krzyżeć – upomniała dziewczynę.

– Ale mamoo! Ja nie chcę! Nie chcę! On jest stary i ma włosy w nosie! – Rolena tupnęła wściekle. – Strasznie stary! Prawie jak ty!

Elis policzyła w myślach do dziesięciu, powtarzając sobie, że królowej nie wypada policzkować córki.

– Uspokój się, Roleno. Więcej godności.

– I ciągle sapie! I kiedy na mnie patrzy, robi mi się niedobrze! Ja nie chcę!

– Roleno, dziecko, hrabia Nikito pochodzi z zamożnego rodu. Jest inteligentny i chociaż może nie najprzystojniejszy, nie całkiem pozbawiony uroku.

– To sama za niego wyjdź!

Królowa w milczeniu przyglądała się jedynaczce.

– Tatuś nigdy by nie pozwolił! – Panienska rozplakała się wreszcie.

– Twój tatuś umarł – przypomniała gniewnie Elis – bo zachciało mu się skakać konno przez żywopłot. Nie mów mi więc, na co by pozwolił, a na co nie. Nie był najbardziej odpowiedzialnym rodzicem pod słońcem. Masz czternaście lat, a on nawet nie zaczął szukać dla ciebie męża. Teraz, kiedy zginął, okoliczne hieny zechcą sięgnąć po nasze królestwo. Potrzebujemy nowego władcy. I to takiego, który pochodzeniem i koneksjami odstraszy ewentualnych najeźdźców. Nikito ma jedno i drugie. I co najważniejsze, chce cię za żonę.

Rolena zaniósł się histerycznym łkaniem, na co jej matka westchnęła.

– Dziecko, są gorsze rzeczy od nieudanego małżeństwa – próbowała pocieszyć jedynaczkę, ale ta, wciąż płacząc, odwróciła się i uciekła.

Królowa patrzyła za biegnącą córką. Jakaż szkoda, że dziedziczka Astirii wdała się w ojca. Od krzaczastych brwi nad kulfoniastym nosem, aż po duże stopy. Po drodze zaś było opasłe cielsko przekarmionego łakociami bachora.

Bogowie, gdybyż dzieciak choć trochę przypominał ją! Można byłoby go wydać za jakiegoś elegancika z najlepszego rodu i jeszcze pomnożyć majątek. Tak zaś trzeba się zadowolić trzecim synem księcia Gisy, słynącym głównie z tego, że lubi dziećmi ogrzewać łożo. Cóż, mimo wszystko był potomkiem księcia. Związek z hrabią, nawet zakończony rychłym zejściem pana młodego, przyniesie Rolenie, a co za tym idzie, Astirii, potężnego sprzymierzeńca. Trzeba tylko znaleźć sposób, by ojciec Nikito uwierzył w naturalną śmierć swego syna.

* * *

Kolacja nieznośnie się przedłużała. Goście rozmawiali, udając serdeczność. W najlepsze kwitły nowe przyjaźnie i sojusze, suto zakrapiane winem. Hrabia Nikito po raz kolejny oblizwał pulchne wargi, nawet nie próbując ukryć pożądania wyzierającego z wpatrzonych w młodziutką służkę oczu. Jego narzeczona hałaśliwie pociągała nosem, co rusz próbując przyciągnąć spojrzenie matki. Królowa jednak zdawała się nie widzieć ani żądz przyszłego zięcia, ani żalości córki. Uśmiechała się boleściwie do biesiadników, jadła niewiele i nawet nie umoczyła ust w winie. Idealna wdowa. Wciąż przeżywająca utratę męża.

Wreszcie, nadal ignorując rozpaczliwe próby Roleny, królowa wstała. Przeprosiła obecnych i wspierając się na ramieniu zaufanego sługi, starego Imgena, wyszła z komnaty.

Zaraz za drzwiami puściła ramię mężczyzny. Odetchnęła głęboko.

– Bogowie, jakie to – westchnęła z obrzydzeniem, zerkając za siebie – męczące.

– Pani?

Spojrzała na mężczyznę, który nie opuszczał jej od urodzenia i był bardziej ojcem niż ten, który ją spłodził.

– Potrzebuję wypoczynku, Imgenie.

– Jesteś pewna, pani? Może lepiej...?

Nie odpowiedziała, tylko zmrużyła powieki, a starzec cofnął się o krok.

– Oczywiście, jasnie pani. – Skłonił się nisko.

Uśmiechnęła się łaskawie. O tak, zdecydowanie potrzebowała wypoczynku.

* * *

Szczur przyglądał się więźniowi, gotów do ucieczki. Mały nosek poruszył się nerwowo, gdy Miko wyciągnął dłoń ku gryzoniowi.

– I czego sapiesz, ha? – zapytał śpiewnie młodzieniec. – Przecież chciałem się z tobą wczoraj podzielić. Nie moja wina, że nie chcesz żreć tego świństwa, co to mi je serwują.

Szczur przekręcił łeppek.

– Bo widzisz, mój czas się kończy. Ty sobie jeszcze pożyjesz, pewnie podgryziesz jakiegoś nieszczęśnika, który zagości w tej szlachetnej miejscówce. Mnie jutro z rana... Eeech, szkoda trochę, wiesz, przyjacielu? Tyle ciekawych rzeczy mogłoby mi się jeszcze przytrafić. Tyle przygód. Tyle niewiast...

Gryzoń nadal wpatrywał się w więźnia, zaczarowany – jak wielu przed nim – słodką melodią głosu mężczyzny. Słowa niczym pieśń płynęły w zimnym, wilgotnym lochu. Bez względu na treść miały moc uwodzenia. Tak, Miko został szczególnie obdarowany przez bogów. Wystarczyło, że otworzył usta, a niewielu potrafiło oprzeć się jego mowie.

Niestety kasztelan należał do tych niewielu.

Młody bajarz westchnął rozpaczliwie. Ach, gdybyż dali mu się wypowiedzieć. Zamiast tego wcisnęli w usta brudny łach, zwiążali i wtrącili do tej ciasnej, ciemnej celi, gdzie czekał na kaźń. Za wzięcie gwałtem kasztelańskiej żony miało go spotkać następnego dnia rozczłonkowanie. Tak, właśnie od tego członka się rozpoczynające.

Jęknął rozpaczliwie.

Nie no, nie będzie kłamał. Jutro się spotka z babunią w zaświatach, więc łąć mu nie wypada. Oczywiście, że wziął kasztelanową. Grzecznie prosiła, a on kobietom odmawiać nie zwykł. O żadnym gwałcie jednak mowy być nie mogło... Może tylko troszeczkę. Uśmiechnął się na wspomnienie młodej żonki kasztelana zdzierającej z niego odzienie.

– Nic to, drogi szcurku. Dziadunio zwykł mawiać, że jak już umierać, to za coś dobrego. A wierz mi, szcurku...

Nie dokończył. Zdało mu się naraz, że za kratami przemyka śmierć we własnej osobie. W półmroku płynął cień unoszący chybotliwy płomyk. Jakby Mroczna Dama zabierała czyjąś duszę w zaświaty. Zagapił się, nieco wystraszony. Zaraz jednak odetchnął, albowiem owa pani jakoś nie kojarzyła mu się z przysadzistym brodaczem w ciemnej pelerynie przemykającym podziemnymi korytarzami.

Gość nawet nie spojrział w kierunku więźnia i pobiegł dalej.

– Ciekawe... – skomentował młodzieniec.

Nie dane mu jednak było dłużej zastanawiać się nad owym wydarzeniem, gdyż właśnie w tej chwili zabrzączały klucze, zaskrzypiała krata, a do celi wszedł królewski sługa.

* * *

Dwie kompletnie nagie kąpielowe powoli namydlały leżącą w złotej wannie królową. Długie palce miękko pieściły skórę, nieskończenie wolno sunęły z ramion na piersi, by łagodnie skubiać, drażnić, ściągnąć sutki w dwa zbite guzki.

Elis oddychała płytko, przyglądając się dziewczętom spod opuszczonych lekko rzęs. Gładziły, naciskały, a chwilami drapały. Tak jak lubiła. Jedna z kąpielowych wciąż dotykała piersi, gdy druga niespiesznie muskała brzuch, kreśląc zmniejszające się okręgi wokół pępka.

W ciszy, przerywanej jedynie muzyką wody, jęklive oddechy śpiewały pieśń podniecenia. Palce na piersiach zastąpił język. Długie mokre włosy jedwabnym okryciem spoczęły na brzuchu leżącej. Muskające opuszki przeniosły się na nogi. Wolno, bardzo wolno podążyły ku stopom, gdy inne dłonie dotarły na dół brzucha. Gdy zaś wsunęły się pomiędzy uda władczyni, przyspieszyły motyli taniec. Szybko, szybciej. Płytko, głęboko. Szybko, szybko...

Spełnienie przyszło nagle, jak zwykle. Napięło mięśnie, rozpało płomień, zacisnęło usta w niewykrzyczanym jęku.

I nieodmiennie przyniosło pragnienie. Jeszcze. Więcej. Znowu.

– Odejdźcie – rozkazała stłumionym głosem.

Kiedy kąpielowe wykonały polecenie, sięgnęła po ręcznik i wyszła z wanny. W zwierciadle dojrzała swoje odbicie. Nienaganne proporcje, piękną twarz i głód płonący w pociemniałych spełnieniem oczach. Nigdy nie była tak doskonała jak w chwilach pomiędzy...

* * *

Hałas ciężkich kroków i skrzypiących zawiasów spłoszył krasnoluda. Błyskawicznie zgasił kaganek i wcisnął się w kąt. Mrok rozświetliła pochodnia niesiona przez samego przybocznego królowej. Towarzyszyli mu dwaj gwardziści. Otworzyli jedną z cel i weszli do środka.

– Panowie chyba trochę za wcz... – Głos więźnia, chociaż nieco wystraszony, zaśpiewał w duszy Idara de Gra Yudherthardere, drażniąc czułą na tajemną moc strunę. Yudherthardere zmarszczył brwi zaskoczony i wysunął się nieco, żeby dojrzeć owego władającego magią słów młodzieńca. Właśnie wtedy jeden z żołnierzy wcisnął

w usta związanego czarodzieja knebel, a drugi błyskawicznie uderzył go w skroń, pozbawiając czucia.

Zdumiony de Gra przyglądał się, jak gwardziści wiążą nieprzytomnego i wynoszą go z lochów, idąc w ślad za przyboczną królowej. Nigdy nie widział takiego przygotowania do kaźni. I jeszcze Imgen... Po co?

Nieważne, nie jego to rzecz. Ledwie ponownie w lochach zapadł mrok, Idar wysunął się z kryjówki i pobiegł wzdłuż korytarza w kierunku, z którego przyzywała go moc Krysztalu. Tym razem nie zapalił kaganka, choć – w przeciwieństwie do innych przedstawicieli swej rasy – w ciemności nie widział zbyt dobrze. Nie chciał ryzykować. Tym bardziej że był już blisko, wewnętrzny głos wskazywał drogę. Niezawodny, jak zwykle, gdy Idar zbliżał się do źródła magii. Nazywano go Tropicielem Mocy. Młody de Gra był pierwszym obdarzonym w swoim rodzie, pierwszym wśród braci.

Korytarz kończył się stromymi schodami w dół. Przed nimi na wąskiej ławie spał strażnik. Krasnolud rozejrzył się nerwowo. Tylko jeden? W półmroku, rozjaśnianym jedynie chybotliwym płomykiem kaganka leżącego u stóp żołnierza, korytarz wydawał się pusty. Yuderthardere postąpił krok. Obluzowana deska w podłodze jęknęła pod naciskiem ciężkiego buciora. Chrapanie gwardzisty przeszło na moment w sapnięcie, westchnienie, dwa cmoknięcia, by ponownie rozpocząć monotonną melodię pochrząkiwań i gwizdów. Idar odetchnął z ulgą. Nie żeby sobie nie poradził z zapijaczonym sierżantem, ale zajęłoby mu to cenne chwile. No i Idar de Gra Yuderthardere, najlepszy szpieg Krasnoludzkiej Rady, nie lubił zabijać.

Przemknął ciemnym korytarzem. Potrafił być niewidzialny, kiedy potrzebował. Pochylił się nad śpiącym strażnikiem i sięgnął do jego pasa. Delikatnie objął pęk kluczy, żeby nie zadzwoniły, gdy będzie je odpinał. Śpiący drgnął lekko. Harmonia chrząknięć i gwizdów ucichła raptownie. Powieki żołnierza zadrżały.

Idar puścił klucze. Wyciągnął sztylet. Gwardzista zamrugał. Próbował wstać, walczyć.

Nie zdołał.

Krasnolud wbił ostrze w klatkę piersiową przeciwnika aż po rękojeść. Jednocześnie drugą rękę zacisnął na otwierających się do krzyku ustach umierającego. Trzymał do chwili, gdy ciało przestało dygotać. Potem łagodnie złożył je na ławie, twarzą do ściany, żeby jak najdłużej nikt nie odkrył zabójstwa.

Pęk kluczy zadzwierał cicho w dłoni Idara, gdy ten zbiegał po schodach. U ich końca znajdowała się niska kuta brama. Mężczyzna odetchnął głęboko, uspokajając Tropiciele. Za tym wejściem czekał Księżycowy Krysztal. Skradziony Radzie przed

wiekami. Kamień bez znaczenia dla ludzi, elfów czy Gaalów. Świętość dla krasnoludów. Nie mogli uwierzyć, kiedy poselstwo Astirii zaproponowało zwrot artefaktu. Miesiącami uzgadniali z tutejszym królem warunki... Byli tak blisko, gdy ten idiota skręcił kark.

De Gra zawahał się. Istniała możliwość, że za tym wejściem czeka oddział zbrojnych, że wdowa po Hrydosie przygotowała pułapkę. Tym bardziej że schodów pilnował tylko jeden strażnik.

Kryształ wzywał. Drażnił Tropicieła, kąsał przedwieczną mocą, krzyczał.

– Jerdhu aranto – wyszeptał Idar. – Ucisz się.

Tropicieł posłusznie zamilkł. Wycofał się w głęboką podświadomość nosiciela. W jednej chwili tysiące głosów, jęk, szum, zaśpiew mocy... wszystko zagarnęła cisza.

Klucz w zamku zgrzytnął jękliwie. Nieoliwione zawiasy zatrzeszczały. Yudherthardere otworzył bramę i wszedł do środka.

* * *

Chociaż babunia groziła palcem, jej oczy skrzyły się radością. Nieodmiennie rumiana i jak zawsze w czerwonej zapasce. Najlepiej pamiętał zapaskę. Nie kolor oczu staruszki ani odcień włosów, bo te nigdy nie stały się całkiem białe, ale właśnie ten kawałek szmatki. I zapach. Słodki, maślany aromat pieczonych placuszków. Jego brak, kiedy babunia groziła palcem, przekonał Miko, że śni. Bo zapach był zawsze, jak czerwony fartuszek.

Babunia uśmiechała się z czułością. Czerwona zapaska gasła jak dopalająca się świeca. Rysy staruszki rozmywała ciemność, wszechobecna, pochłaniająca. Po niej nastąpiła szarość. Obrzydliwa, dusząca i gęsta niczym dym z płonących liści.

Niechciana świadomość wracała powoli i boleśnie. Najpierw poczuł knebel. W odruchu paniki zabrakło mu tchu. Język rozpaczliwie, acz bezskutecznie walczył z krępującym go materiałem. Miko szarpnął się i otworzył oczy.

W kominku płonął ogień. Skry trzaskały radośnie, złotem i czerwienią zdobiąc palenisko. Światło miękko rysowało cienie na purpurowych ścianach komnaty i połyskiwało w rozwieszonych na nich narzędziach. Srebrne obcęgi, sztylety, noże, nożyczki i inne, których przydatności młody bajarz nie znał, wisiały wypolerowane i błyszczące. Między nimi zainstalowano dziwny mechanizm, do którego przywiązano gruby sznur. Miko powiódł wzrokiem za naciągniętą liną. Szła od ściany, przez podobny mechanizm w powale...

Uniesione ręce mężczyzny związane drugim końcem sznura zadrgały gwałtownie. Lina naprężyła się, podrywając go z ławy, na której siedział.

Nie był sam.

* * *

Idar rozglądał się, marszcząc brwi. Kompletna ciemność zdecydowanie mu to utrudniała. Krasnolud słabo widzący po ciemku... noż wybryk natury. Westchnął smutno. Nie lubił używać zaklęć. Samo to, że posiadał moc, choć ani jego matka Beneria, ani szlachetnie urodzony ojciec nie byli obdarzeni, przyprawiał go o zażenowanie. Kiedy jednak trzeba...

– Ferghe – szepnął. – Płoń.

Małeńki płomyk zachybotał tuż przy policzku Yudherthardere. Mężczyzna szybko cofnął głowę. Ogień zadrżał, syknął, podskoczył... i rozdzielił się na dwa już nieco większe płomyki. A potem kolejne dwa i kolejne. Błyskawicznie kilkanaście skrzących się źródeł światła rozjaśniło mrok.

– O cholera! – jęknął Idar.

Tak, zdecydowanie wystarczył jeden strażnik.

Kryształ leżał na poduszce. Poduszka zaś na postumencie stojącym pośrodku rzeki bulgoczącego błota, z którego co jakiś czas wysuwała się paskudna morda szczerząca garnitur olbrzymich pożółkłych zębisk.

– A mówiła mamusia, że lepiej zostać i ohajtać się z jakąś krasnoludzką szlachcianką – skłamał bezczelnie, rozglądając się wokoło. – Dobra, może jednak nie mamusia, ale ojciec na pewno coś wspominał. Kto to, cholera, widział, żeby pierworodny księcia de Gra w tajnych służbach się udzielał... Tak, na pewno coś wspominał. – Idar zmarszczył brwi, czując naraz, że z niewiadomych przyczyn powąta zaczyna oddalać się od jego głowy. Spojrzał pod nogi... – Kurwa! – Spróbował się cofnąć, ale nie zdołał. Buty nie tylko przykleiły się do błotnistego podłoża, lecz także z wolna zaczęły się w nie zapadać.

Mężczyzna odwrócił się błyskawicznie i złapał brzeg wciąż otwartej bramy. Palce ślizgały się po metalu, aż napotkały potężną antabę. Idar zacisnął palce na wystającym uchwycie. Podskoczył, wrywając stopy z butów, i jak małpka zawisł na furcie. Odetchnął ciężko i spojrział przed siebie.

– Jak, słodcy przodkowie, mam po ciebie iść? Czas ucieka, zaraz ktoś tu zlezie i co? Znajdzie mnie dyndającego jak to dziwne stworzenie, co na dworze wuja widziałem. A Kryształu jak nie miałem, tak mieć nie będę. I jeszcze, cholera, takie buty... Dwa talary za nie dałem. Dwa talary – westchnął z żalem. Przeniósł ciężar ciała, trzymając się bramy, a potem zeskoczył z powrotem na twarde deski przed wejściem. – Cóż, skoro racjonalne sposoby zawiodły... – Sięgnął za pazuchę, wyjął medalion

Głównego Krasnoludzkiej Rady i zawiesił go na szyi. – Jeśli Syrio się dowie, że mu go dmuchnałem, to na mnie ród Yudherthardere się skończy. – Odetchnął głęboko i zamknął oczy. – No to sprawdźmy, ile prawdy jest w klechdach. – Zacisnął palce na srebrnym wisiorze w kształcie dwóch toporków wbitych w sporej wielkości brylant. – Święty Krysztale pierwszych krasnoludów, stwórcy mocy, dawco potęgi, przyzywam cię. Wróć do tych, którzy cię czczą. Wróć do swoich dzieci. Przyzywam cię, ojcze. Przybądź.

Zaklęcia rozgrzały metal pod palcami krasnoluda. Brylant parzył, ale mężczyzna nie puszczał. Powtarzał wyuczone w dzieciństwie słowa, przez zamknięte powieki widząc rosnący blask. Żar pod palcami potężniał, a ból stawał się nie do zniesienia.

– Wróć do swoich dzieci. Przyzywam cię, ojcze. Przybądź – powtarzał Idar.

Naraz ból znikł, a jasność zgasła.

Yudherthardere puścił medalion i powoli otworzył oczy.

– No kto by pomyślał... – wyszeptał.

Księżycowy Krysztal leżał u jego stóp.

* * *

Skóra tuniki nałożona na rozgrzane ciało podnieciła chłodem. Sutki ściągnęły się w jednej chwili w dwa sterczące guziczki. Elis westchnęła i skinęła pomagającej jej służce. Dziewczyna odsunęła się.

– Nie czekaj na mnie – powiedziała królowa, wpatrując się głodnym wzrokiem w plecy zawieszzonego przed nią mężczyzny.

– Tak, pani. – Służka dygnęła i posłusznie wyszła.

Zostali sami. Elis i jej nowa zabawka. Przyglądała mu się spragniona. Tak tęskniła... Tak bardzo tęskniła. Podniecenie narastało. Odetchnęła głęboko. Nie tak szybko. Przyjemność trzeba smakować powoli, wtedy jest doskonalsza. To pierwsza rzecz, jakiej nauczył ją Hrydos.

Podeszła powoli do ściany. Z miłością sięgnęła ku narzędziom. Od czego zacząć?

Potrzebowała mężczyzny. Wkrótce. Mocnego, szybkiego chędożenia. Od samego myślenia o tym stawała się wilgotna, a mięśnie podbrzusza kurczyły się z napięcia.

Prawdziwy ból zada mu później. Wtedy wystarczy jej patrzeć.

Teraz więc jedwab i skóra. Przyjemność i ból. Zamknęła palce na skórzanym uchwycie pejcza, a potem podeszła do mechanizmu, który zaprojektował jej zmarły mąż, i opuściła więzienia tak, by jego stopy oparły się o podłogę.

Odwrócił się i popatrzył na nią. Był przystojny. To bez znaczenia, ale stanowiło miły dodatek. Miał regularne, męskie rysy, szerokie ramiona, silny kark i szeroką,

umięśnioną klatkę piersiową nad płaskim brzuchem.

– Naprawdę szkoda, że nie mogę ci tego wyjąć – powiedziała miękko Elis, dotykając knebla. – Lubię jęki. Są podniecające. – Przesunęła jedwabiem po odsłoniętej skórze mężczyzny. – I błaganie. Chciałabym usłyszeć, jak zebrzesz, żebym przestała... a potem nie przestawała. – Opuszki kobiety poszły śladem jedwabiu. Mięśnie brzucha więźnia napięły się pod dotykiem. – Nauczę cię bólu i rozkoszy. Teraz należysz do mnie. – Przysunęła się, ocierając piersiami o męski tors. Młodzieniec wciągnął gwałtownie powietrze. Uśmiechnęła się chłodno.

A potem go uderzyła.

* * *

– Mama nie uwierzy, kiedy jej opowiem. – Krasnolud z namaszczeniem wsunął Kryształ do jedwabnej sakiewki, którą ukrył pod koszulą na piersi. – Zawsze mówiła, że ojciec szaleju się nażarł z tymi starymi zaklęciami. A tu taka niespodzianka... Szkoda, że nie pomyślałem wcześniej. Nie musiałbym teraz zasuwać na bosaka.

Odruchowo zamknął za sobą bramę. Wbiegając po lodowatych kamiennych schodach, wyklinał na własną głupotę. Przebiegł obok zabitego strażnika. Naraz się zatrzymał. Zawrócił i podszedł do trupa. Przyjrzał się z zastanowieniem przetartym buciorem martwego żołnierza.

– Się, cholera, nie godzi – wymamrotał, ale i tak zzuł obuwie gwardzisty i wsunął na bosc stopy. – I jeszcze za duże. Tylu żołnierzy w zamku, a mnie się trafił ten z największymi girami.

Wyjście z podziemi, tak jak i wejście, nie nastęczyło mu problemów. Strażnik spał, podobnie jak ten, który miał trzymać straż przed schodami. W przeciwieństwie jednak do zabitego gwardzisty pilnujący wejścia do podziemi spał dzięki potędze ziół dosypanych do miodu. Zabity, niestety, nie był smakoszem krasnoludzkich trunków.

Idar wyminął śpiącego. Jeszcze kilkanaście schodów, a potem wyjście dla służby i koń czekający w stajni. Najtrudniejsze za nim. Wspinał się po stopniach, co nie było łatwe, gdyż buty zabitego zsuwały się przy każdym kroku.

Był już bardzo blisko, kiedy to usłyszał.

– Ostawcie, panie, ostawcie proszę – cichutko błagała dziewczyna.

– Nie becz, głupia. Dam ci talara.

– Ale ostawcie, panie.

– No już, nie rycz. Dam dwa. Dam nawet trzy, ale muszę go tam włożyć.

Krasnolud zatrzymał się. W półmroku dojrzał parę szamoczącą się tuż nad schodami. Bez trudu rozpoznał najmłodszego syna księcia Gisy. Dzieciak, z którym

się szarpał, wyglądał na jakieś dwanaście, może trzynaście lat.

– Ostawcie...

– Jesteś taka chuda... Pewnie jeszcze tego nie robiłaś, co? Nie wytrzymam, matko, no nie...

Idar powinien ich ominąć. Potrafił być niewidzialny, kiedy potrzebował. Miał swoją misję, a dzieciak pewnie wcześniej czy później da komuś dupy.

– Ostawcie, panie, boję się...!

Tak, Idar powinien iść. Kiedy jednak zrobił jeszcze dwa kroki, uznał, że pozwoli dziewczynce wybrać pierwszego kochanka. Złapał księcia za koszulę na plecach i pociągnął. Mężczyzna właśnie opuścił spodnie, więc szarpnięty stracił równowagę. Wrzasnął, zamachał rękami i stoczył się po schodach.

Najpierw zapadła cisza. Potem niedoszła ofiara gwałtu spojrzała na obrońcę, następnie na wykręconą pod dziwnym kątem głowę adoratora, później znowu na krasnoluda... i zaczęła wyć niczym zarzynany prosiak.

– Ot, wdzięczność, jasna cholera – wymamrotał Idar.

Od strony służbówki nadbiegali ludzie, więc musiał zmienić plany.

Czekała go długa droga pałacowymi korytarzami do głównego wyjścia.

* * *

Rolena przez ukryte okienko w ścianie przyglądała się matce odzianej w kusą skórzaną tunikę i młodemu mężczyźnie powieszonemu za ręce niczym upolowany zwierz. Wiedziała, co się za chwilę stanie, i nie to ją fascynowało, lecz uroda jej rodzicielki, sposób, w jaki się poruszała, ton głosu, którego używała. Jakby tam, w komnacie zła, jak nazywała ten pokój Rolena, matka zmieniała się w straszliwego, a jednocześnie doskonałego demona. Piękno i zepsucie w jednym.

Nie, dziewczyna nie potępiała matki. Zazdrościła jej. Królowa była taka piękna, zmysłowa, uwodzicielska... i władcza. Ona nigdy taka nie będzie.

Sięgnęła po łakocie i wepchnęła w usta całą garść. Potem powoli odsunęła się od przeziernika i pobiegła ciemnym korytarzykiem z powrotem do swojej sypialni. Zmrużyła oczy, wchodząc do jasnego pomieszczenia. Kiedy je otworzyła, zobaczyła własne odbicie. Atakowało ją ze wszystkich stron. Matka kazała powiesić olbrzymie zwierciadła na wszystkich ścianach, licząc na to, że królowa bardziej zadba o swój wizerunek. Skutek był odwrotny. Dziewczynka znienawidziła swoje odbicie i opychała się w dwójnasób.

Była brzydka, była gruba, a pierwszym mężczyzną, który jej dotknie, będzie obleśny Nikito.

Rzuciła się na łóżko, łkając rozpaczliwie.

* * *

Mógł odepchnąć się i kopnąć kobietę. Niby mógł. Tylko po co? Pachniała cudownie, wyglądała... jak sam grzech. I zdaje się, chciała go niecień wykorzystać. Cóż, jeśli królowa – tak, oczywiście, że ja poznał – chce się z nim... a może nim... zabawić, kimże on jest, żeby się sprzeciwiać? Pochędóżka z boginią perwersji lub towarzystwo szczura w śmierdzącym lochu. Trudny wybór, prawda?

Pierwsze uderzenie. Zabolało. Trochę. Kobieta oblizała wargi, oddychając płytko. Położyła dłoń na jego piersi i pieszczotliwie przesunęła ją w dół. A potem uderzyła jeszcze raz. Mocniej.

– Podnieca cię to, prawda? – Jej głos wibrował. Wyczulony na poziom dźwięków Miko doskonale wiedział, jak blisko spełnienia jest bijąca go kobieta. – Mnie podnieca. Ból jest taki satysfakcjonujący. Nauczę cię go. Później. Teraz potrzebuję jego. – Wsunęła palce w spodnie mężczyzny, a potem zamknęła je na sztywniejącym członku. – Postaraj się, chłopcze. – Pieściła go chwilę, ciężko oddychając. Kiedy i oddech Miko przyspieszył, odsunęła się. Podeszła do ściany z narzędziami, z której zdjęła długi zagięty nóż.

I uśmiechnęła się.

* * *

Gwardziści doganiali krasnoluda. Przez chwilę zastanawiał się nad użyciem magii, ale nie wiedział, jak zareaguje na nią Kryształ. Pergaminy podawały sprzeczne informacje. Równie dobrze mógł wzmocnić czar, jak zamienić w kamień rzucającego zaklęcie.

Ciężkie kroki za plecami Idara przyspieszyły jego ruchy. Skręcił w lewo. Zły wybór. Korytarz kończył się drzwiami do komnaty. Tak, powinien pamiętać! Uczył się rozkładu pomieszczeń. Cholera! Stukot obcasów zbliżał się. Czyj to pokój? Nieważne...

Popchnął drzwi. Na szczęście było otwarte. Wsunął się do środka, błyskawicznie zamykając je za sobą.

Komnata tonęła w świetle, a z każdej ściany spoglądał na Idara potężny rudobrody krasnolud.

– O cholera! – syknął mężczyzna.

– Kim tyyy jestees? – Z łóżka dobiegł go ciężki od łez głos.

Miał właśnie złośliwie odpowiedzieć, że elfią dzierlatką, bo przecież bardziej krasnoludzki być już nie mógł, ale powstrzymał się, widząc czerwone oczy królowny.

– Nie bój się – odpowiedział więc błyskotliwie.

– Nie boję. – Pociągnęła nosem i usiadła. – Matka chce mnie wydać za tego obleśnego starucha. Nic gorszego mnie spotkać nie może.

– Za którego starucha? – Pożałował pytania, kiedy tylko je wypowiedział. Powinien zmykać, a nie wdawać się w pogaduszki z następczynią tronu.

– Nie wiesz? Wszyscy wiedzą. Tego kurdupła, co się ślini, kiedy widzi małe dziewczynki. Hrabiego Nikito. Jest straszny. Służki się go boją. Ja też. Dlatego ciebie się nie boję. Też jesteś nieduży, no i brodę masz – przyglądała się gościowi z zastanowieniem – ale nie wyglądasz na starego. Masz takie dobre oczy. I ładny nos. Ładniejszy niż mój.

– Nos mam po matce. Przekażę jej twój zachwył. Twój nos też nie jest brzydki.

– Jest straszny. Jak wielki, czerwony kartofel. – Westchnęła rozpaczliwie. – W ogóle jestem brzydka. Dlatego nikt inny mnie nie chciał. I zmuszą mnie do poślubienia Nikito. On też mnie nie chce, a ja się go boję. Bardzo.

Idar zmarszczył brwi.

– Nie jesteś brzydka.

Pokiwała głową, nie słuchając mężczyzny. Naraz jakby coś jej przyszło do głowy. Poderwała się z łóżka, co przy jej tuszy łatwe nie było, i podbiegła do Idara.

– Wiem. Już wiem! Zrobisz coś dla mnie?

– Eeee...

– Wiem, że jestem gruba i nieładna, a mężczyźni lubią ładne dziewczęta, ale wiesz, ja nie chcę pierwszy raz z tym oblechem. Zrobisz to? Proszę?

– Słucham? – Zaskoczony de Gra cofnął się o krok.

– No wiesz – oczy dziewczynki błyszczały, a palce już wzięły się do rozpinania sukni – zrobisz mi to, co mężczyźni robią kobietom. Masz dobre oczy i jesteś młody... Może nie najpiękniejszy, ale i ze mnie żadna różyczka... Chcę tego. Proszę. Proszę.

– Kurwa, czy w tym zamku wszyscy myślą dupą? – zapytał mocno zniesmaczony Idar. Złapał Rolinę za rękę, powstrzymując ją od dalszego rozbierania się. – Nie zamierzam się z tobą pokładać, dziewczyno.

W jednej chwili do oczu królowny napłynęły łzy.

– Jestem brzydkaaaa!!! – załkała rozpaczliwie.

Yuderthardere przewrócił oczami, przeklął w myślach... tak z pięć razy, i to w sposób, za który matka wytargałaby go za uszy, a przecież język Benerii też świętością

nie grzeszył. Dziewczynka nie przestawała płakać, więc Idar westchnął i lekko nią potrząsnął.

– Uspokój się, królewno! – nakazał, a było coś takiego w jego głosie, że panna w jednej chwili zamknęła buzię i spojrzała na krasnoluda. – Nie jesteś brzydka. Nie! Nie zaczynaj ryczeć! Nie jesteś brzydka, jeno masz wyrazistą urodę. Jakbyś tak ze trzy, cztery lata starsza była, tobym zaproszeniem nie pogardził. Nawet w tych okolicznościach. – Widząc, że dziewczynka się rozpromienia, kontynuował: – Teraz nie dość, żeś za młoda, to jeszcze powody twej... eee... chęci są niewłaściwe. Takie mam zasady, że lubię pannę wziąć, bo oważ mnie chce, a nie dlatego, że taż panna nie ma innego obiektu pod ręką. Ty zaś powinnaś bardziej się szanować, Roleno – powiedział twardo. – Będiesz kiedyś królową. Królowe nie oddają się pierwszemu lepszemu. Nawet tak przystojnemu jak ja.

– A Nikito? – wyszeptwała królewna, zapominając na chwilę, iż jej mamusia, wskaże królowa, chętnie oddaje się pierwszemu lepszemu. – To on będzie królem, nie ja.

– Nie wydadzą cię za hrabiego. Nie martw się.

– Skąd wiesz? Mama mówiła, że muszę za niego wyjść.

– Już nie. Hrabia nikogo już nie poślubi.

Rolena, kiedy nie rozpaczała nad swoim wyglądem ani nad przyszłością u boku Nikito, była dość bystrą dziewczynką, więc bez trudu domyśliła się, co krasnolud miał na myśli. Położyła dłoń na ustach, nie bardzo wiedząc, czy może się cieszyć, czy raczej powinna żałować. Po szybkim zastanowieniu uznała, że jednak się cieszy. Pojaśniała rozradowana, piękniejąc na chwilę.

– To dlatego uciekałeś przed gwardzistami?

Uniósł brwi zaskoczony.

– Słyszałam strażę, kiedy wszedłeś – wyjaśniła. – To dlatego?

Nie odpowiedział. Puścił królewnę i rozejrzał się po komnacie.

– Jest stąd inne wyjście?

* * *

W ostrzu noża odbił się płomień kominka. Elis przesunęła kciukiem po głowni i spojrzała na więźnia. W oczach mężczyzny pojawił się cień strachu. Tak, o tak. Podeszła, zastanawiając się, czy będzie walczył. Później tak, później chciała, żeby walczył. Nie teraz.

Oddychał szybko. Ciekawe, czy to strach, czy podniecenie. Skóra tuniki napięła się na sterczących sutkach. Poczekaj, poczekaj...

– Nie, nie uwolnię cię – szeptała, przesuając płazem po napiętych mięśniach wiszącego. – Jesteś mój. Mogę zrobić, co zechcę. Sprawię, że będziesz krzyczał. – Dwoma ruchami rozcięła spodnie mężczyzny. Stał teraz nagi, wciąż podniecony jej pieścizotami. Sięgnęła do dźwigni i poluzowała sznur. – Siadaj! – rozkazała. Nie wypuściła noża z dłoni. Gdyby teraz więzień zapragnął się uwolnić, zabiłaby go. On jednak nie walczył i wykonał polecenie. Dosiadła go i objęła nogami. Zajrzała w ciemniejące pożądaniami oczy.

Spełnienie było blisko, tak blisko.

Wolno, bardzo wolno uniosła się, a później opadła. I jeszcze raz. Szybciej. Coraz szybciej. Krzyk wiązał w gardle. Więcej. Mocniej. Nadchodziło...

Przeciągnęła nożem po piersi mężczyzny. Szarpnął się. Zlizwała krew.

Jeszcze. Dalej. Szybciej. Mocniej. Głębiej.

Krzyczała, gdy fale orgazmu szarpały jej ciałem. Połamała paznokcie, drapiąc ramiona kochanka. Wreszcie wgrzyła się w jego ramię, a krew mężczyzny zaniósła ją w inną rzeczywistość. Niewyartykułowany ból więźnia zmieszany z podnieceniem przyniósł królowej rozkosz, jakiej nie zaznała nigdy wcześniej.

I znowu pragnienie.

Jeszcze. Od nowa. Jeszcze.

Dyszała ciężko, wciąż zaciśnięta w kolejnych falach uniesienia. Było dobrze, cholernie dobrze, ale...

– Drażni mnie cisza. Chcę usłyszeć, jak krzyczysz. Chcę usłyszeć... – szepnęła. Drżącymi palcami dotknęła policzka kochanka. – Będziesz mnie błagał? Będziesz jęczał i zebrał o jeszcze. Chcę cię słyszeć. Chcę czuć. Potrzebuję twojego języka.

I wbrew ostrzeżeniom zdjęła knebel.

* * *

– Tam jest przejście. – Rolena wskazała ścianę. – Ale prowadzi do komnaty zła, a tam jest teraz mama... z niewolnikiem.

– To inne skrzydło zamku?

– Inne, ale tam jest mama...

– Poradzę sobie. – Idar spojrział na dziewczynkę. Przez chwilę przyglądał się jej z zastanowieniem. – Otwórz to przejście, Roleno, proszę.

Pokiwała głową. Nacisnęła zapadkę, a ściana drgnęła, by zaraz cofnąć się, odsłaniając ciemny korytarz.

– Dziękuję, królewno. Przykro mi – powiedział, przysuwając się do dziewczyny.

– Dłaczę... – Nie zdołała dokończyć. Szybki cios krasnoluda błyskawicznie pozbawił ją przytomności.

– Dlatego, słoneczko, że zaufanie to luksus w moim zawodzie. A nie chcę się na tobie zawieść. – Położył ją delikatnie na podłodze i ruszył do tajemnego przejścia

* * *

Miko wypluł szmatę.

– Auuu – jęknął chrapliwie. Pochędóżka była niesamowita, ale uniesione ramiona dokuczały mu już niemiłosiernie, rozcięcie na piersi piekło, ugryzienia bolały. Chyba właśnie znalazł granice własnej pożądlivosti.

Dosiadająca go kobieta, czując opadające podniecenie kochanka, wstała. Uruchomiła dźwignię i Miko znowu zawisł nad podłogą.

– Miłosierna pani – zaczął uniżenie. Głos, chociaż lekko zgrzytliwy, przez wyschnięte usta zaśpiewał w ciszy komnaty. Dłoń królowej, dotykająca już jednego z batogów, zamarła. Władczyni odwróciła się, przywołana słodczą melodią. – Wybacz twemu słudze śmiałość. Zechciej uwolnić moje ciało, by mogło lepiej ci służyć. Zechciej dać wolność moim ramionom, a wyniosą cię na najdoskonalsze wyżyny rozkoszy. Sprawię, że twa dusza sięgnie progów nieba, ukochana, aż po granice świadomości...

Elis słuchała, zaklęta magią młodzieńca, niezdolna do podejmowania decyzji. Muzyka słów poruszała ciało królowej bez udziału jej woli. Zrobiła krok...

Coś trzasnęło, coś zazgrzytało, ściana poruszyła się i, z przekleństwem na ustach, do komnaty wtoczył się Idar de Gra Yudherhardere.

Uwolniona od zaklęcia władczyni sięgnęła po sztylet. Idar złapał uzbrojoną rękę kobiety, pociągnął i przekręcił. Kość trzasnęła, rozrywając mięśnie oraz skórę. Elis zawyła z bólu i osunęła się bezwładnie. Krasnolud bezceremonialnie rzucił kobietę na podłogę. Rozejrzał się, a potem szybko związał nieprzytomną.

– Przepraszam...

Magia zaklęta w głosie młodzieńca targnęła Tropicielem. Idar skrzywił się. Spojrzał na wiszącego i unosząc brew, powoli przesunął wzrokiem po nagiej sylwetce..

– Widzę, że dobrze się bawiłeś z jaśnie panią.

– Mógłby mnie pan uwolnić? – Miko zignorował żart.

– Jeśli zamkniesz buźkę. Głowa mi pęknie od tej twojej magii. Nie! Nic nie mów. Jestem zmęczony, Tropiciele szarpie, nie mam siły z nim walczyć. Czekaj.

Przeciął sznur, chłopak ciężko opadł na podłogę, a wtedy Idar rozciął więzy na jego nadgarstkach.

– Będzie bolało. Dasz radę poruszać dłońmi?

Miko z bólem rozprostował palce i skinął głową.

– Na tyle, żeby walczyć? – dopytywał się krasnolud. – Za drzwiami na pewno ktoś czeka. Trzymaj. – Podał młodzieńcowi nóż, ale ten wypadł ze zdrętwiałych palców. – Cóż mnie tak dzisiaj karzecie, bogowie? Najpierw strażnik z lekkim snem, potem gwałcieł dzieciaków, później napalona panienska, a teraz jeszcze melodyjny dupodajec, co palcami potrafi tylko w kobiecie pogmerać – mamrotał rozeźlony krasnolud. – Dobra, wiem, nic nie mów. Ja będę tym od ratowania i podrzynania gardła. Choć może wystarczy, że chłopaki twój interes obaczą, a tak im szczęki poopadają, że i walczyć nie będą chcieli – dodał, widząc, że młodzieniec idzie do wyjścia z gołym tyłkiem. – Weźże coś załóż na dupę, chłopie. Choćby i to – rzucił w chłopaka kolorowymi damskimi szarawarami. – I widzisz, jak pięknie? Dobra, idziemy.

Strażnik stojący pod komnatą zginął w kompletnej ciszy, nie poczuwszy nawet zagrożenia. Idar otarł nóż z krwi i spojrzał na towarzysza.

– Tylko mi tu nie rzygaj – warknął cicho.

* * *

Zegar na zamkowej wieży wybijał północ, gdy krasnolud z półnagim młodzieńcem zbiegali po zewnętrznych schodach gonieni przez gwardzistów. Naraz Yudherthardere potknął się. Kiedy spadał po stopniach, jeden z za dużych butów zsunął się i został na kamiennym schodku.

Krasnolud runął u stóp towarzysza. Gwardziści już ich doganiali...

– Każ im odejść – rozkazał Idar.

– Co?

– Nie dyskutuj! Gadaj! Już!

Młodzieniec rozejrzał się. Żołnierze stali półkolem wokół zbiegów. W sumie co mu szkodzi?

– Szanowni panowie...

Idar przymknął oczy. Kryształ na piersi zapłonął ogniem. Cóż, jak nie ma wyjścia, to nie ma wyjścia... De Gra odetchnął głęboko, a jako że wciąż leżał, złapał towarzysza za kostkę i uwolnił czar.

Miko poczuł moc krasnoluda. Szarpnęła nim, wyrwała duszę z ciała, rozbłysła tysiącem światła, aby wreszcie wypłynąć wraz z melodią słów.

– Wracajcie, przyjaciele – śpiewała wzmocniona magia bajarza. – Wracajcie do domu. Zapomnijcie o nas. Idźcie, przyjaciele, idźcie. Niech przyśnią się wam dobre

sny.

Pieśń płynęła, potężna, oczyszczająca. Gwardziści zawrócili jednocześnie i nie odwracając się, odeszli.

* * *

Idar odstawił dzban, otarł usta, a potem spojrzał na Miko. Mężczyzna oderwał się od wspomnień i ponownie uśmiechnął do przyjaciela.

– Ile to już? Z pięć lat będzie, prawda, szlachetny de Gra? Za rzadko się widzimy, przyjacielu, za rzadko.

– Wiesz, ile muszę się namęczyć, żeby Tropiciel nie zarzygał mi podświadomości, kiedy ty wyśpiewujesz te swoje trele? – wymamrotał Idar, również się uśmiechając. – Dziw, że w ogóle chcę cię widywać.

– Przyznaj, tęsknisz, co?

– Taaa... Zwłaszcza że co twoją widzę gębę, to mi się insza część twoja wspomina.

– Zazdrość, przyjacielu? Słyszałem, że i tobie nie brakuje... Połowa cichodajek z syrellskich zamtuzów rzewnie za tobą wzdycha. A i ponoć, tak słyszałem, jedna królewna, co to z wiekiem całkiem wyładniała, a i ciała nieco zgubiła...

– Miko! – warknął ostrzegawczo Idar.

Mężczyzna pojednawczo poklepał przyjaciela po ramieniu, a spojrzenie de Gra złagodniało.

Siedzieli w milczeniu, sącząc przedni miód i wspominając owych pięć lat wspólnych działań dla Krasnoludzkiej Rady, niebezpiecznych przygód i przyjaźni, której nigdy by nie było, gdyby nie historia pewnego buciora.

Syreni śpiew

Mimo wczesnego poranka słońce prażyło niemiłosiernie. Idar otarł pot ciekący z czoła, zakasał rękawy i po raz kolejny zastanowił się, czy ojciec obdarłby ze skóry swego pierworodnego, gdyby ten ogolił gęstą rudą brodę. Nie, zapewne nie. Matka jednak mogła to zrobić. Nie było bowiem dla Benerii świętszej rzeczy niż duma z własnego pochodzenia. A co jak co, ale krasnolud musiał mieć brodę. Najlepiej długą i gęstą...

– I grzejącą jak najgłębsze piekielne czeluście – wymamrotał pod nosem pierworodny syn księcia de Gra Yudherthardere. Kolejny raz otarł pot z czoła, wściekle spoglądając na czyste błękitne niebo rozciągnięte nad spokojną taflą morza i zamarłym w bezruchu statkiem. Żagle potężnej łodzi zwisały bezwładnie, bo wiatr, zapewne zmęczony upałem, uciekł gdzieś, pozostawiając podróżujących samych sobie. Marynarze pochowali się pod pokładem. Tylko sternik, niemal wisząc na wysłużonym kole sterowym, został na posterunku. Idar patrzył na niego przez chwilę z odrobiną zazdrości, oglądając ogoloną brodę i niemal łysą łepetynę mężczyzny.

– Nad czym tak rozmyślasz, przyjacielu? – wyszeptał Miko do ucha krasnoluda.

Idar przesunął ponurym spojrzeniem po półnagiej, smukłej sylwetce Miko, a dotarłszy do wiecznie uśmiechniętego oblicza towarzysza, skrzywił się gwałtownie.

– A tobie co tak wesoło? Gorąco jak w czeluściach Ryghede, wiatru na lekarstwo, drugi dzień tkwimy w bezruchu. Za chwilę zapasy szlag trafi... Z czego tu się, cholera, śmiać?

Młodzieniec wzruszył ramionami.

– Mamusia mi mówiła, że jak nic nie możesz na coś poradzić...

– Ty mi przestań z tą twoją mamusią – przerwał mu rozeźlony Idar. – Nie mam nastroju do wysłuchiwania tych jej mądrości, kiedy mi się nabiał, cholera, gotuje!

– Bo i ściągnąłbyś te skórzane gatki i koszulę. Ubranyś jak na wizytę na książęcym dworze, a nie pływanie łajbą w samym środku lata.

– Nie pamiętasz, że to ofi... Co ty robisz?! – Krasnolud szarpnął gwałtownie głową, ale niezrażony Miko dalej splatał jego brodę.

– Nie wrywaj się. O, już. Będzie ci chłodniej.

– Taaa, i będę wyglądał jak jeden z ulubieńców króla Ynko! – złościł się Idar, daremnie próbując rozplątać misterny warkocz.

– Akurat ciebie nikt o namiętność do chłopców podejrzewać nie będzie. – Młodzieniec przewrócił oczyma, trzepnąwszy krasnoluda po łapach. – Nie po tym,

coś w lupanarze U Jędrnej Myrteł wyprawiał.

– Ty mi tu uszu nie słódź wspominkami. – Idar uśmiechnął się mimowolnie. – I koafiury sobie daruj!

– Upartyś jak ten osieł, co się do nas w porcie przyczepił...

Byliby dalej tak dyskutowali, gdyby gwałtowny ruch okrętu nie rzucił ich na burtę. Uderzyli w twarde deski. Zaraz jednak, chociaż mocno zaskoczeni, wstali, na próżno próbując złapać równowagę na szarpanym wiatrem statku.

– Co się dzieje? – zapytał Miko, podnosząc głos.

Pogoda zmieniła się raptownie. Żagle wypełniła nawałnica. Ciężkie chmury, mroczne, niemal czarne, napłynęły znikąd i zasłoniły niebo. Wichura przetaczała się z wyciem, rzucając żaglowcem. Potężne fale, wysokie i spienione, przelewały się przez burty. Przerazona załoga wybiegła spod pokładu, ale jej krzyki zagłuszała wichura.

Idar skoczył do lin, by przywiązać się do burty. Miko ledwie zdążył pójść w ślady przyjaciela, gdy kolejne uderzenie morskiego szafu przetoczyło się przez pokład, zmywając kilku marynarzy, którzy zapomnieli o ostrożności.

Krasnolud rozejrzał się bezsilnie. Tropicieł był tuż pod jego skórą, podrażniony potężną magią. De Gra zaciskał paluchy na grubym sznurze, ocierając je do krwi, ale nie zdołał zagłuszyć bólu, który sprawiało mu magiczne alter ego. Wreszcie, z trudem łapiąc oddech, wrzasnął:

– Śpiewaj, Miko!

– Co?!

– Śpiewaj, do jasnej cholery!!! To czar morskiego pana. Zaśpiewaj mu!

Młody bajarz skinął głową. Przez chwilę próbował się wyprostować. Bez skutku. Wreszcie dał za wygraną. Wsparł dłonie o burtę, uniósł głowę, przymknął oczy, bo zacinający deszcz oślepił, odetchnął głęboko i zaśpiewał:

*Witaj, o mój przepotężny panie
Nie spieniaj wód na nasze spotkanie
Uspokój tonie, o władco boski
Pozwól ukoić potworne troski
Ucisz wichury straszliwe pienia
Co dzień tak cudny w ciemność zamienia*

Miękki, magiczny głos wibrował w powietrzu. Zdołał przebić się przez wycie wiatru i uderzenia fal. Z każdym kolejnym słowem Miko, z każdą nutą sztorm tracił na sile. Młodzieniec wstał, uniósł ramiona i śpiewał dalej. Podmuchy szarpały

długimi włosami bazarza, deszcz spływał po barkach i nieosłoniętej piersi, ale magiczna pieśń trwała.

Jeden z przebiegających majtków zatrzymał się gwałtownie, urzeczony czarem melodii. Pchnięta uderzeniem wiatru lina obaliła marynarza, ale ten nawet nie jęknął. Podniósł tylko głowę, rozwarł usta i gapił się w absolutnym zachwycie na śpiewającego młodzieńca.

Przyniesź więc ulgę swym morskim sługom

Drogę do ciebie przebyli długą

By po kres wielbić siłę twą, panie

Więc błagam, usłysz nasze wołanie

Rozegnaj chmury, ucisz wiatru siłę

I światło niebu oddaj przemile

A ślubuję dzisiaj, głębi morskich królu

Jeśli tylko mogę, ulżę tobie w bólu

Z ostatnim słowem Miko nastąpiła cisza. I to nie tylko dlatego, że młodzieniec przestał śpiewać. Wiatr ucichł, morze się uspokoiło, chmury odpłynęły. I gdyby nie zdemolowany pokład oraz zerwane żagle, można by pomyśleć, że wichury nigdy nie było.

Idar wyplątał się z lin. Nie wstał jednak, lecz oparł plecy o burtę i rozcierając skronie, zastanawiał się, dlaczego bynajmniej nie poczuł ulgi.

– Dobrze się czujesz? – zatroskał się bazarz, pochylając nad towarzyszem.

– Nie.

– Ale wiesz, przynajmniej już nie jest tak gorąco.

Idar skrzywił się, bez słów dając do zrozumienia przyjacielowi, co sądzi o jego wiecznym optymizmie.

– Mam takie dziwne wrażenie, że to jeszcze nie koniec – wyszeptał po chwili. Wstał z trudem. Dziwne wrażenie nasilało się błyskawicznie. Coś nie dawało mu spokoju, ale ból głowy po ataku Tropiciela nie pozwalał spokojnie myśleć.

– Bo ty zawsze wszędzie wieszczysz nieszczęście. – Młodzieniec wzruszył ramionami.

– I zwykle mam rację.

Miko westchnął, ale zamiast dyskutować, rozdziawił usta i zagapił się w punkt za plecami krasnoluda.

– Na co...? – zaczął Idar, odwracając się.

Potężny jasnowłosy tryton właśnie przerzucił płetwę przez burtę. Z ostatnią kroplą spadającą z ogona znikła też ostatnia łuska. Olbrzym stanął na pokładzie. Przeczesał

palcami włosy. Zmarszczył brwi i rozejrzał się wokoło. Wystraszeni marynarze czmychali w popłochu. Niepotrzebnie. Nie był nimi zainteresowany. Szukał kogoś innego...

– Obiecałeś mi pomoc, chłopcze – powiedział, podchodząc do Miko. – Mam nadzieję, że nie rzucasz słów na wiatr.

* * *

Łańcuchy zabręczały głośno, a szorstkie bransolety kajdan otarły ciało, kiedy dziewczyna podniosła się na prycy. Szarpnęła, z masochistyczną wręcz przyjemnością czując ból naprzężonych mięśni i rozrywającej się skóry. Tak, to przypominało jej, że żyje, że nie śni strasznego koszmaru, ale przeżywa go na jawie.

Stała na palcach, rozpaczliwie wyciągając ciało. Jeszcze troszkę, troszeczkę... O tak, teraz mogła zobaczyć. Patrzyła więc przez maleńkie okno w ciasnej celi u szczytu wieży. Patrzyła w daleki horyzont, gdzie niebo spotykało się z morzem, a słońce właśnie kładło się spać. Patrzyła w złociste płomyki muskające fale w nieustannym tańcu światła i wody. Patrzyła, sycąc stęsknione spojrzenie najpiękniejszym z widoków. Krople krwi spływały z rozcięć na nadgarstkach, napięte ciało drżało umęczone, a dziewczyna wciąż przyglądała się zachodzącemu nad morzem słońcu.

Kiedy wreszcie nadszedł mrok, opadła na brudną prycę. Nie płakała. Ostatnie łzy wyschły przed wieloma dniami. Zabrały ze sobą miłość, żal, a nawet gniew. Została tylko pustka. I tęsknota. Rozdzierająca serce żalność wciąż od nowa otwierała zablizniającą się ranę. Nie pozwalała zapomnieć. O zdradzie, o bólu, o rozpacz. Ale również o utraconym domu. O wietrze rozwiewającym mokre włosy, o falach unoszących ku niebu, o mroku toni i błękitach powierzchni.

Objąwszy poranionym ramionami kolana, Erio zamknęła oczy i pozwoliła wspomnieniom zawładnąć umysłem. Nie miała już siły walczyć.

* * *

– No – Miko, nie odrywając wzroku od tafli, pod którą zniknął władca mórz, kłapnął ciężko na jedną z beczek – i to się nazywa konflikt interesów.

Idar stanął obok niego.

– Było, cholera, nie obiecywać pomocy.

– Kazałeś śpiewać – zauważył z niejakim wyrzutem chłopak.

– Śpiewać, a nie obiecywać bogowie wiedzą co.

Bajarz wzruszył ramionami.

– Co się stało, się nie odstanie. To co teraz robimy?

– Jak to co? Płyniemy do Barto, jak planowaliśmy.

– Ale z nim? – Wskazał morze.

– Obiecałeś, cholera, musisz dotrzymać słowa. Magia pieśni, gówniarzu. – Idar uśmiechnął się krzywo. Uniósł głowę, posłyszawszy krzyki z bocianiego gniazda. – Zdaje się, że wypatrzyli już łąd. I chwała bogom, bo jakoś woda mi zbrzydła.

Rzeczywiście na horyzoncie majaczył cień linii brzegowej. Bosman wyrzaskiwał polecenia, a marynarze uwijali się jak w ukropie. Wiatr dał w żagle, a statek przecinał fale, sunąc ku brzegowi. Miko oparł się o nadburcie i zapatrzył przed siebie. Podobała mu się ta chwila. Moment ciszy zaraz po i tuż przed. Słońce już nie paliło, a tylko łaskotało odsłoniętą skórę. Podmuchy igrały we włosach. Coś nadchodziło, ale wciąż było wystarczająco daleko, żeby nie musiał się martwić, żeby nadal mógł chłonać przyjemność chwili. Za jego plecami marynarze zaczęli śpiewać. Wiatr niósł rytmiczne szanty. Wciskały się w uszy bajaran, płynęły wraz z krwią. Unosiły duszę młodzieńca, żądały, by się przyłączył, by śpiewał...

Idar patrzył na przyjaciela. Tropiciel pod skórą krasnoluda zaczął drapać, czując magię Miko. De Gra skrzywił się. Ot, ryzyko podróży w towarzystwie czarodzieja, jakkolwiek młodzieńca nie lubił tego określenia.

– Nie bój się, nie będę śpiewał. – Miko odwrócił się i mrugnął do krasnoluda. – Chociaż, cholera, serce się rwie.

– A pośpiewaj. Co sobie będziesz żałował? Obiecuj przy tym pomoc wszystkim okolicznym stworom. Jeśli dobrze pójdzie, to może nawet trolle z nadbrzeżnych lasów cię usłyszą. Ci dopiero się ucieszą z takiej obietnicy. Ponoć tutejszy trolliński wódz męża dla najbrzydszej z córek to już od wieku szuka. Ty weź mu daj słowo, że pannę za żonę weźmiesz. Wdzięczny ci będzie, że ho, ho!

Chłopak uśmiechnął się krzywo.

– *Obiecuję trollom i wszelkiej gadzinie, że oddam serce, ledwie noc przeminie* – zanucił cichuteńko.

– Doigrasz się, zobaczysz – fuknął krasnolud, wielką łapą zasłaniając usta śpiewakowi. Miko zaśmiał się i odsunął.

– Idę się odziać. Zaraz dopływamy. A ty przestań się martwić. Żaden troll mnie nie słyszał.

– Ech, gówniarzu, doigrasz się jak nic – wymamrotał Idar, patrząc za odchodzącym przyjacielem.

Bajarz nucił, idąc, a magia pieśni wyrywała się na wolność wraz ze szmerem szeptanych szant. Marynarze już nie śpiewali, a wykrzykiwali melodię i słowa. Żaglowiec przyspieszył niesiony falami. Nawet wiatr, jakby posłuszny mocy Miko,

dął w żagle ze zdwojoną siłą. A pólnagi chłopak szedł wyprostowany, pewny siebie, niczym władca pośród swoich poddanych. Idar pokręcił głową z niechętnym podziwem. Magia bazarza rosła z każdym dniem.

* * *

Przyjaciele z trudem przedzierali się przez tłumy w porcie. Idar co rusz przeklinał, potrącony przez kolejnego przechodnia. Rozglądał się przy tym z niepokojem, bo nieustannie mu się wydawało, że zgubił towarzysza. Och, zapewne chłopak bez trudu znalazłby siedzibę tutejszego rządcy, ale de Gra chciał zachować oficjalny protokół. Ostatecznie przybyli na polecenie Krasnoludzkiej Rady jako jej przedstawiciele i lepiej... zdecydowanie lepiej będzie wyglądało, jeśli stawią się jednocześnie. Przez ten tłum może się to jednak nie udać. Krzyżące przekupki próbowały wcisnąć krasnoludowi różne przedmioty, skąpo odziane panny lekkich obyczajów ciągnęły to jego, to młodego bazarza w zaułki ulic. Wyrywali się obaj, chociaż młodzieniec z dużo mniejszym zaangażowaniem. Śmiał się, odrywając się od dziewcząt, a te, wpatrzone w ładną buźkę młodziana, chętnie obiecywały każdy możliwy upust od zwyczajowej ceny. Być może gdyby nie połajania Idara, skusiłby się na którąś z ofert. Ostatecznie podróż była długa, a panny nie takie znowu brzydkie. Ledwie jednak owa myśl powstała w umyśle Miko, już krasnolud ciągnął go byle dalej od portowej dzielnicy.

Dom rządcy – wysoka kamienica o olbrzymich oknach – rzucił się w oczy. Masywny budynek z szarego kamienia górował nad pozostałymi domami na głównym placu Barto. Bogato zdobiona elewacja i złocona brama zamiast drzwi miały zapewne podkreślać status właściciela, kontrastując z raczej skromną zabudową centrum portowego miasta.

Stukot kołatki ginął w hałasie miasta. Mimo to brama uchyliła się niemal natychmiast.

– Czego? – Tłusty jegomość w ociekającej złotem liberii obejrzał gości, zauważył jakość ich odzienia i uśmiechnął się szeroko. – Znaczy: czego sobie wielmożni panowie życzą?

– Idar de Gra Yudherthardere i Mikolette Vernatius – przedstawił się bazarz, kłaniając dwornie. – Z polecenia Najwyższej Rady Krasnoludów do wielmożnego rządcy.

– Rad będzie pan nasz takie towarzystwo gościć.

Odźwierny odsunął się o krok, tak że szczypty Miko wszedł z trudem, a słusznych wymiarów Idar musiał się przepychać. Nie spodobało mu się to. Nie żeby Idar de

Gra Yudherthardere był próżnym krasnoludem czy też lubił się wywyższać. Co to to nie. Uważał jednak, że kiedy postuje w imieniu Rady, brak szacunku dla jego osoby oznacza brak szacunku dla owego szacownego gremium. A na to pozwalać nie zamierzał. Spojrzał więc lodowato w pucołowate oblicze służącego, a choć sięgał mu ledwie do ramienia, popatrzył z góry, z wysokości swego książęcego urodzenia. I zdaje się, że grubasek pojął, o co krasnoludowi chodzić może, bo naraz przygarbił się, a i skrzydło bramy odsunął, robiąc szerokie przejście dla zacnego gościa.

– Prowadź, człowieku – ponaglił tenże nieco niegrzecznie.

Odźwierny zawiódł ich do obszernej komnaty i tam zostawił.

– Zdaje się, że nasz rządca głodem nie przymiera. – Miko uśmiechnął się kpiąco, patrząc na bogate zdobienia i zaorańskie aksamity wyściełające meble.

Idar skrzywił się, ale nie komentował, bo właśnie w tej chwili wysokie drzwi komnaty otworzyły się, wpuszczając królewskiego urzędnika.

Rządca był zażywnym niskim mężczyzną, w którego łysej czaszce odbijało się światło wpadające przez okno. Poruszał się nerwowo i uśmiechał nieszczerze.

– Witajcie, szlachetni panowie – rzucił w prog. Usiadł na wyściełanym purpurą krześle, a następnie zaprosił, by poszli w jego ślady, wskazując miejsce na równie eleganckiej ławie. – Wielki to zaszczyt. Ano wielki. Ino całkiem zbędny. – Zobaczył, że Miko otwiera usta, więc kontynuował: – Żeby aż tak zacnych panów tarabanić w takiej popierdółce. Toż żeśmy dziewczuchę na gorącym złapali. Noża jeszcze w łapie miała, a i odzienie całe w posoce. Przecie żem Radzie umyślnego wysłał i w listach pisał. Nie było po co przyjeżdżać. Toż sami poradzimy. Też by było, jakbyśmy jednej panny, co drugą zarznąęła, powiesić nie zmogli. Taaa – Machnął ręką, bo bajarz, zerknąwszy na przyjaciela, znów próbował się odezwać. – Dyc wiem, że to panna była dobrze urodzona. By przecie naszego hrabiątka z byle golcówną nie swatali, i to jeszcze z kurdu... krasnoludką, znaczy się. To i żem się domyślił, że pewnie ojce panny na Radę jakie naciski robili i stąd wasza w naszym pięknym grodzie wizyta. Ale, jakem już rzekł, kompletnie zbędna. Panna w wieży siedzi. Po Święcie Zrównania zorganizujem elegancką kaźń. I po sprawie.

Krasnolud spojrział krzywo na przyjaciela.

– No to rzeczywiście niepotrzebnie żeśmy przybyli, chłopcze – zauważył z przekąsem.

– Tam niepotrzebnie. – Rządca rozpromienił się, nie dosłyszawszy ironii. – Miasto, panowie, poznać, delicyj tutejszych zakosztujecie... Gród zacny, ludziska przyjazne... Kazalim przygotować dla was najlepsze pokoje.

Miko już otwierał usta, ale złapał spojrzenie przyjaciela i dostrzegłszy minimalny ruch jego głowy, zmilczał.

– Zatem ustalone. – Rządca uniósł się szybko i zaklaskał w dłonie. – Hejże tam! Prowadźcie wielmożnych gości na pokoje! – krzyknął do wchodzącego służącego. – Wybaczcie, panowie, że więcej wam teraz czasu poświęcić nie mogę, ale rozumiecie, obowiązki... Jutro, jeśli zostać u nas zechcecie, jutro na ucztę z okazji święta zapraszam.

Krasnolud podniósł się powoli. Skinął głową, łagodnie pociągnął za rękaw przyjaciela i obaj bez słowa ruszyli za służącym. Chłopak wyprowadził ich z ratusza i powiódł w wąskie uliczki miasta. Ponownie otoczył ich hałas i napierający ze wszystkich stron wielobarwny tłum.

Miko przyglądał się przyjacielowi, marszcząc brwi. Milczał, nie chcąc, by człowiek rządcy podsłuchał i zapewne doniósł, o czym rozmawiają goście jego pana. Czasami żałował, że nie potrafią porozumiewać się w myślach.

Naraz poczuł czyjś dotyk na nadgarstku. Szorstki, lodowaty, a jednocześnie lepki. Szarpnął się, dostrzegając właścicielkę ściskających go palców. Stara kobieta utkwiała w nim spojrzenie niebieskich oczu. Dziwnie młodych w starej pomarszczonej twarzy.

Idar zrobił jeszcze krok, nim podrażniony gwałtownie Tropicielel zawył, niemal wyrrywając się spod jego skóry. Krasnolud rozejrzał się błyskawicznie, ledwie panując nad szarpiącą go mocą.

– Zostaw! – krzyknął, dostrzegając starowinkę. Rzucił się ku przyjacielowi.

Kobieta uśmiechnęła się krzywo, po czym wbiła ostre jak sztylety pazury w skórę bajarza. Mężczyzna krzyknął i wyrwał rękę.

– Zostaw! – Idar odepchnął czarownicę, ale ta tylko się roześmiała. Okręciła się i wcisnęła w napierający tłum, znikając wśród przechodniów.

– Cholera! Nie można cię na moment z oczu... – zaczął krasnolud, ale zobaczywszy przyjaciela osuwającego się na kolana, zamilkł. Złapał chłopaka, nim ten grzotnął na bruk. Tropicielel wciąż warczał, wyczuwając aktywny czar płynący pod skórą półprzytomnego bajarza. Idar przymknął oczy, zacisnął zęby i odetchnął głęboko. – Zaśpiewaj, chłopcze – wyszeptał. – No dalej, zaśpiewaj.

Miko z trudem uniósł powieki. Magiczna trucizna wypalała mu wewnątrz. Nie miał siły, by śpiewać.

– Śpiewaj, Miko – rozkazał krasnolud. Położył palce na odsłoniętym karku przyjaciela. Tropicielel zawył, kąsany z obu stron: czarem wiedzy i mocą Idara. Młodzieniec zaczął nucić szeptem:

Odejdź, uciekaj, straszna niemocy

*Poddaj się sile pierwotnej mocy
Nic nie pokona Idara daru
Straszniejszy jest od tego czaru
Już wigor wraca, już złó wycieka
Wiele lat zdrowia mnie jeszcze czeka.*

Ostatnie słowa wyśpiewał głośno, pełną piersią. Uśmiechnął się figlarnie do zapatrzanej w niego młodej mieszczeni i szybko wstał. Ukłonił się przechodniom, których zatrzymała magia głosu, uwalniając ich tym samym spod jej wpływu. Ktoś z tłumu zaklaskał, ktoś inny przeklął głośno i ludzie ruszyli dalej.

– Jasna cholera. – Miko westchnął cicho. – Było blisko.

Idar skrzywił się, bo Tropiciel wciąż powarkiwał.

– Co to za babsztyl? Czego chciała? I czego milczysz, ha? – dopytywał bajarz. – Cholera, prawie przeszedł na drugą stronę. A coś mam wrażenie, że by mi się tam nie podobało... Idar?

Krasnolud milczał. Spojrzał tylko na młodego służącego, który wciąż stał nieopodal. Miko westchnął.

– Ja się od tego pochoruję. No, cholera, jak nic się pochoruję. Żebyś wiedział, że jak tylko znajdźmi się w komnatach, wyśpiewam sobie jakąś chętną dziewczuszkę. Potrzebuję myśli skierować w jaką inną przestrzeń.

Idar przewrócił oczyma, nie mówiąc jednak, co o owych śpiewach przyjaciela sądzi, choć dało się to w jego obliczu wyczytać.

* * *

Mrok już zapadł i ciemność w wąskim korytarzu miejskiej wieży zdawała się nieprzenikniona. Nie płonął żaden kaganek, żadna żagiew się nie tliła. Jedynym źródłem światła była pochodnia wisząca u wejścia. Ta sama, pod którą zasnęli nagłym snem dwaj strażnicy. Ledwie przebrzmiał pierwszy wers Mikowej piosenki, a już dwaj potężni gwardziści osunęli się na klepisko pod budowlą.

Młodzieniec ominął ich i wszedł do środka. Otoczył go głęboki mrok. Chłopak skrzywił się. Mógł użyć magii, ale Idar, który został na zewnątrz, już i tak fuczał przy sennym zaklęciu. Przekleństwo z tym nadmiernie wrażliwym stworem, co to pod skórą krasnoluda siedzi i byle magiczny pryszcz do furii go prowadzi. Miko westchnął i zawrócił, by zabrać na spacer po wieży pochodnię.

– Mogą zauważyć, że zgasła – szepnął Idar.

– Się, cholera, zabiję na tych schodach. Ciemno tam jak w dupie. Czym se mam poświecić? Nawet jak gatki z tyłka zdejmę, to moja sempiterna aż taka jasna nie jest.

Nie mogliśmy zajrzeć do panny, co to patroszyć krasnoludki lubi, normalnie, po jasności, ha? Przecie by nam nie przeszkadzali, co nie? Glejty Rady mamy...

Idar rozglądał się w milczeniu. Nie widział potrzeby drugi raz tłumaczyć, że go rządcy niechęć do współpracy w oczy uderzyła ani że wiedźma z ulicy owo uderzenie podwoiła. Wreszcie znalazł to, czego szukał. Odpalił znalezione pochodnię od tej nad bramą i podał ją mamroczącemu bazarzowi.

– Idź już, chłopcze.

– Idę, cholera, idę. Nie możesz ty iść, a ja zostać?

– Z tobą dziewczyna rozmowniejsza będzie. A poza tym nie chcę, żebyś swoim gadaniem pół ulicy obudził.

– Taaa, bo ty to ten, co gęby w ogóle nie rozwiera, co nie? – obraził się młodzieniec i odwróciwszy się ostentacyjnie, wszedł do wieży. – I niby to mnie się gęba nie zamyka, co? Jakoś to nie mnie jedna smoczyca prawie nie połknęła, bo mi się z nią na pogaduszki zebrało – mamrotał, pokonując kolejne stopnie. – I nie mnie królowka z Erghutre chciała na pal wbijać, bom ją zanudził historyjką o baranie i wilku. Aaa, i też nie ja jedną kurewkę ze stołecznego zamtuza do snu zamiast zmęczeniem miłosnym, gadaniem doprowadził. No, że nie pomnę... – przerwał naraz, bo schody właśnie się skończyły i stanął przed potężną kratą. Potężną i zamkniętą kratą. – No i tak, znów se będę pośpiewać musiał.

Uśmiechnął się krzywo, wiedząc, że Tropiciel, choć oddzielony dziesiątkami schodów i grubym murem, i tak dokuczy krasnoludowi, kiedy magia otworzy bramę. Niestety w tej samej chwili płomień pochodni odbił się w pęku kluczy wiszącym na ścianie.

– Ma szczęście, cholera, no. – Rozczarowany Miko z westchnieniem sięgnął po nie.

Zamek ustąpił niechętnie, a pchnięta przez bazarza kraty zaskrzypiała głośno. Młodzieniec wszedł do środka, oświetlając wnętrze słabym płomieniem pochodni. Zrobił ledwie dwa kroki i zatrzymał się gwałtownie.

Dziewczyna przyglądała się gościowi zupełnie obojętnym, wypalonym spojrzeniem. W pociemniałych oczach odbijał się blask pochodni i niknął, pochłonięty przez rozszerzone źrenice. Syrena siedziała na prycy. Brudne, skołtunione włosy opadały na szczupłe ramiona osłonięte resztkami podartej sukni będącymi słabą osłoną poobijanego, podrapanego ciała. Ten obraz jednak nie był powodem, dla którego Miko nagle się zatrzymał. Nie przyczyniła się do tego również niezwykła uroda uwięzionej...

Stojący u bram wieży Idar sapnął z bólu. Tropiciel szarpnął krasnoludem. Zawył gwałtownie, próbując wyrwać się na wolność. Idar jęknął i zgiął się wpół, szepcząc

jednocześnie pierwotne zaklęcia, by zapanować nad magicznym alter ego. Stwór rwał i gryzł podświadomość, najpierw warcząc, by wreszcie, popiskując cicho, wycofać się. Krasnolud odetchnął głęboko. Spojrzał w górę, na szczyt wieży i ponownie westchnął. A później pobiegł za przyjacielem.

– Kurwa! – jęknął, stając na najwyższym stopniu. Zaraz też mimo trudności w oddychaniu zacisnął usta. Szlachetnie urodzeni nie powinni przeklinać. Tylko jak tu nie przeklinać, kiedy schodów nie budowano pod krasnoludzkie nogi, a każdy krok zbliżał Tropiciela do źródła potężnej magii, przed którą Idar ledwie mógł się osłonić.

Ściany mrocznego korytarza drżały. Melodia unosiła się, potężniała, piękna, słodka i magiczna. Drażniła i uwodziła jednocześnie. Krasnolud poruszył się z trudem. Każdy krok w kierunku celi sprawiał mu ból, jakby szedł przez gęstą, palącą maź. Kiedy zaś stanął w wejściu, zaklął ponownie.

Miko klęczał przy pryczy, trzymając dłonie syrenki. Dziewczyna siedziała z zamkniętymi oczami, odchyliwszy głowę. Skołtunione włosy, długie i brudne, muskały równie brudny koc okrywający legowisko. Wyglądała, jakby spała, jakby była kompletnie nieobecna.

– Miko! – wrzasnął krasnolud. Magia pieśni stłumiła krzyk. Bajarz nawet nie drgnął. Wciąż śpiewał słodką, poddańczą pieśń. Idar zrobił kolejny bolesny krok i walcząc z czarem, położył dłoń na ramieniu przyjaciela. – Miko... – powtórzył.

Tropiciel rwał się na wolność. Moc płynęła, szarpiąc i dręcząc. Idar przymknął powieki. Skrzyżował palce i sięgnął po zaklęcie.

– Kurwa, będzie bolało – szepnął. A potem uderzył: – Urghete!

Miko zakrztusił się nagle. Pieśń zamilkła. Chłopak zatrzepotał rzęsami. Na chwilę jego spojrzenie odzyskało ostrość. Dojrzał skrzywionego z bólu krasnoluda, a potem dziewczynę i jej połączone z nim w uścisku szczupłe dłonie. Zmarszczył brwi, szarpnął się. Właśnie wtedy syrenka uniosła powieki i zacisnęła palce wokół nadgarstków młodzieńca. Spojrzenie Miko ponownie zaszło mgłą. Otworzył usta...

Idar nie czekał. Zamachnął się i uderzył pięścią w twarz bajarza. Młodzieniec zwałił się ciężko na podłogę, wyrywając się z uścisku dziewczyny.

– Nie tym razem, panienko. – Krasnolud uśmiechnął się krzywo.

Syrenka patrzyła na niego w milczeniu. Kajdany na rękach zabrzęczały cicho, gdy cofnęła się ku ścianie. Pozbawione wyrazu spojrzenie przemknęło po leżącym, a potem wróciło do Idara.

– Nic nie powiesz? Nie odśpiewasz mi jakiejś ckliwej melodyjki? – zapytał krasnolud, przyglądając się dziewczynie. – Ze mną nie będziesz próbowała, co?

Dzieciak był łatwiejszy. Cóż, kochanieńka, chciałbym rzec, że miło było... ale bym skłamał. – Zarzucił sobie nieprzytomnego młodzieńca na plecy i wyszedł z celi.

* * *

Ciemność nie chciała odejść. Rozjaśniała się powoli... bardzo powoli. A kiedy już wydawało się, że nigdy nie odejdzie – znikła. Miko otworzył oczy i zaraz je zamknął. Bolało. Próbował usiąść, ale nie mógł. Coś krępowało mu ruchy. Szarpnął się. Bezskutecznie.

– Musiałem cię związać. – Głos krasnoluda brzmiał jak dzwon w głębi czaszki. – Żebyś nie poleciał do tej wodnej pannicy. Tamta stara, na ulicy, związała was czarem. Kiedy się spotkacie, jeśli twoja nowa przyjaciółka wystarczająco długo cię potrzyma, wyssie z ciebie moc. Coś albo ktoś pozbawił ją głosu. Gdyby go miała, nikt nie zdołałby jej uwięzić. To syrenia królewska krew. Wszyscy w jej rodzinie mają moc podobną do twojej.

– Nie pamiętam... – wyszeptał bazarz, ledwie poznając swój głos.

– Ano, nie pamiętasz. Nie dość, że czary, toś jeszcze guza zarobił.

– Kto?

– Nieważne. Grunt, że cię, kochanieńki, król morski wycyckał. Musiał wysłać swoją czarownicę za tobą, żeby dopilnowała, byś jego córeczkę z dyb wyciągnął. I przesrane, synku. Tak czy inaczej, złożyłeś obietnicę, musisz królową uwolnić. Tyle że jak wodnicę pomacasz, nie pośpiewasz więcej.

Miko ponownie spróbował otworzyć oczy. W komnacie było jasno. Idar stał przy łóżku i przyglądał się przyjacielowi z niepokojem.

– I co teraz? – zapytał chłopak.

– A, cholera, nie wiem – burknął krasnolud i usiadł obok Miko. – Muszę pomyśleć, jak pannę uwolnić, bez twojego udziału i wbrew wyraźnym nakazom moich zwierzchników.

– Nie możesz...

– Tiaaa, jak wodnicę powieszą, to albo magia niespełnionej obietnicy, albo jej pokrętny tatuś flaki ci wypruje. Wolę już przed starym Syrio się tłumaczyć. Nic mi nie zrobi. Za bardzo matki mojej się boi.

– Wszyscy się boją twojej matki – zauważył bazarz, krzywiąc się z bólu.

Idar uśmiechnął się szeroko, a potem wstał.

– Nic to, odpocznij, drzemnij się. We łbie ci pewnie huczy aż miło. – Poklepał leżącego po ramieniu. – Pójdę po jakieś jadło.

– Chyba nie przełknę niczego.

– A kto powiedział, że dla ciebie? – Znów się uśmiechnął i wyszedł.

Zbliżał się wieczór. Idar nigdy by się do tego nie przyznał, ale kamień spadł mu z serca, kiedy bazarz otworzył oczy. Bał się, że to już nie nastąpi, bo Miko bardzo długo był nieprzytomny. Uderzenie nie było aż tak mocne, najwyraźniej więc syrenka wysysała nie tylko magię, ale i siły vitalne chłopaka. Pół nocy i cały poranek Idar przemierzał nerwowo izbę, niemal nie odrywając wzroku od nieprzytomnego. Dopiero teraz, gdy największy strach minął, krasnolud poczuł głód. Udał się zatem prosto do karczmy.

W wejściu uderzył go intensywny aromat pieczystego. Zachwycony Idar usiadł w jednym z ciemniejszych kątów izby i po złożeniu zamówienia rozejrzał się wokoło. W opustoszałym pomieszczeniu oprócz niego siedziało jeszcze czterech gości. Stojące przed nimi spore kufle zapewne napełniano już wielokrotnie, bo panowie toczyli głośną dyskusję, przekrzykując się wzajemnie.

– No dyć, że z kozikiem. Przecie zem słyszol!

– Gównu tam, z kozikiem! Cała голуśka siedziała przy truchle!

– Goluśka?! Ty żeś w życiu голуśkiej kobitki nie widziol! Strażnik, co to truchło znalazł, mówił, że panna w sukni była i kozik dzierżyła. Długi taki i cały w posoce.

– Obaj pierdoły ciśnienie. – Trzeci gość podniósł się z ławy. – W koszuli była dziewczucha, krótkiej takiej, co ledwie dupę zasłaniała. A nogi, aż po kolana, umazane miała krwią. A że na rękach śladu nie było, musiała klęczeć przy truchle i farbą przeszła.

– Boś ty niby tam był, co?

– A dyć!

– I o co się tu żreć? – zapytał czwarty filozoficznie, acz niezbyt składnie, bo piwo powoli plątało mu język. – Przeca i tak pannę powieszają na święta. Zarznęła czy nie brodatą konuskę, wisieć i tak będzie... Ciekawe, czy w ubraniu? Ponoć dupa taka, że żal. Popatrzyłby człek. Ech...

– Cichaj! – Chudy brzydał rozejrzał się nerwowo.

– Niby czego? Że nie ta panna bogom konuskę wysłała? – Filozof czknął głośno, podniósł się niepewnie i prezentując w uśmiechu niepełne uzębienie, dodał: – Przecie wszyscy wiedzą, że młody się z konuską hajtać nie chcioł, że go tatulo przymusił, bo im skarbiec opustoszoł. Nikt panny za rękę nie złapoł, a hrabiątko posag zgarnoł i zamiast w żałobie, w lupanarze żonkę opłakuje.

– Janciu!

– Zamknij mordę, głupi capie! – Niewysoki, ale gruby mieszczanin trzepnął lekko rozmówcę, sadzając go ponownie na ławie. – Pannę powieszają, bo winna jest. I ni ma

co gadać. Napijmy się jeszcze. Bywaj!

Zażywny karczmarz przybiegł z kuchni, niosąc kolejny dzban piwa dla diskutantów i misę mięsiwa dla Idara. Krasnolud uśmiechnął się uprzejmie i zagaił szeptem:

– Powiedzcie, dobry człowieku, gdzie tu u was najzacniejszy zamtuz?

* * *

Bezczynność nie leżała w naturze Miko. Dopóki jeszcze czuł się słabo, a głowa go bolała, leżał wpatrzony w sufit, rozmyślając nad swoją sytuacją. Dumął i dumął, ale nie dość, że nic nie wymyślił, to jeszcze zwiększył ból. Poirytowany bezradnością, odetchnął i zanucił cicho:

*Stuku, stuku, stuk i stuk
Pędzi tabun bosych stóp
To nie stopy, to kopyta
Jeśli ktoś już o to pyta
Rozsadzają moją głowę
Te podkowy, te stalowe
Zaraz ściągnę koniom lejce
I zatrzymam je w piosence*

Magia pieśni błyskawicznie uśmierzyła ból głowy. Bajarz uśmiechnął się. Chciał wstać, ale więzy krasnoluda były mocne i chociaż chłopak szarpał, nawet nie drgnęły. Już miał ponownie zaśpiewać, gdy ktoś otworzył drzwi izby.

Młoda i ładniutka posługaczka stanęła w wejściu, niepewnie wpatrując się w leżącego.

– Słonko – zaczął śpiewnie młodzieniec – nie bój się. Wejdz, ślicznotko, porozmawiamy. Wejdz, ślicznotko, wejdz.

Dziewczyna usłuchała i cichutko zamknęła za sobą drzwi. Miko uśmiechnął się krzywo. Ot, znalazł zajęcie, nim krasnolud wróci.

* * *

Najzacniejszy zamtuz w mieście mieścił się w eleganckim, wysokim budynku z pobieloną elewacją. Kamienica tak bardzo przypominała miejski ratusz, że wywołała nieznaczny uśmieszek na ustach Idara. Mężczyzna bez problemu dostał się do środka. Bogate odzienie, zasobny mieszek, a przede wszystkim nazwisko krasnoluda otwierały mu każde drzwi. Zaraz też znakomitego gościa otoczył wianuszek urodziwych, niekompletnie odzianych panien. Każda proponowała swoje usługi, ocierając się, dotykając pieszczotliwie, nie zawsze w miejscach, w których Idar

chciałby być dotykany. Zwłaszcza przez panny takiego autoramentu. Znosił owe umizgi z niejaką trudnością, rozglądając się wokoło. Kobiety wiodły go wąskim korytarzem aż do przestronnej komnaty rozświetlonej tysiącem płonących świec, pełnej bogatych ozdób, barwnych kotar i zapachu ciężkich perfum. Na poduszkach leżeli rozneglizowani mężczyźni wtuleni we wdzięki równie skąpo ubranych kobiet.

– Witaj, panie. – Kobięcy głos wyrwał Idara z zadumy. Krasnolud uśmiechnął się odruchowo do atrakcyjnej i, dla odmiany, w pełni odzianej kobiety. Ona zaś klasnęła lekko i otaczające go kurtyzany oddaliły się bez słowa. – Nie spodziewaliśmy się gościć tak znakomitego nazwiska. Czym możemy służyć?

Mężczyzna uniósł brew, a kurtyzana roześmiała się.

– A tak, wiem czym. Ogólnie. Może jednak masz, panie, jakieś szczególne... pragnienia?

– Liczyłem spotkać u was syna mego przyjaciela, hrabiego Uriathe – spokojnie odpowiedział krasnolud.

– Och, hrabiątko. – Usta kobiety zwały się w grymasie. – Tak, jest tutaj... gdzieś. Od wielu dni nie opuszcza nas, niest... na szczęście.

Idar przyjrzał się uważnie rozmówczyni. Sposób, w jaki mówiła, wyraźnie sugerował niechęć do dobrze urodzonego klienta. Jednak to, że nie kryła owego uczucia, było zdumiewające. Nawet jeśli była właścicielką lupanaru, a wszystko na to wskazywało, nie powinna tak jawnie okazywać braku sympatii. Albo była tak odważna, albo tak głupia. Dlatego też przez chwilę w milczeniu obserwował piękną kobietę. Nie, zdecydowanie nie była głupia. Coś w jej spojrzeniu...

– Panie. – Wzięła go pod rękę. – Chyba wiem, czego pragniesz.

Wprowadziła Idara do przytulnej komnaty, minęła go i usiadła na szerokim łożu.

– Podejź – zaprosiła miękko.

Nawet nie drgnął.

– Och, panie de Gra Yuderthardere. – Zaśmiała się cicho. – Nie zrobię ci krzywdy. Możesz podejść. Opowiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć o tym małym, wrednym gnojku, którego ojciec straszy zamknięciem mojego interesu, jeśli gówniarza wyrzucę.

– Skąd wiesz? – zapytał, podchodząc.

– Mój drogi, żaden krasnolud, nawet ten, który oddał swoją biedną córkę temu wypierdkowi, nie nazwałby hrabiego przyjacielem... No i czytam w myślach. Więc przestań udawać, że nie chcesz... – Uniosła brew z lekkim uśmieszkiem, a potem zaczęła się rozbierać.

* * *

Dziewczyna, posłuszna melodii słów, rozwiązała Miko. Chłopak usiadł, rozcierając nadgarstki. Przez chwilę przyglądał się posługaczce. Zaprawdę była całkiem niebrzydka, a szara sukienka, dość ciasno opinająca ciało, podkreślała krągłości, których nie powstydzilyby się najładniejsze panny ze stołecznego lupanaru. Skoro więc krasnolud zabronił Miko wychodzić...

– Odpowiedz mi, maleńka – wyśpiewał bazarz, dotykając policzka dziewczyny – ale powiedz szczerze: chcesz mnie? Nie tknę cię, jeśli nie chcesz.

Dziewczyna uśmiechnęła się i wyciągnęła dłoń ku młodzieńcowi. Łagodnie wsunęła palce pomiędzy palce Miko... a potem zacisnęła je, niemal łamiąc. Ostre sztylety paznokci przecięły skórę chłopaka. Kropla krwi spłynęła ku nadgarstkowi.

– Oj, chłopcze – wyszeptła wiedźma. – Nie tkniesz mnie. Pójdiesz zaraz do małej syrenki. Słyszysz? Przyzywa cię. Śpiewa ci. Posłuchaj, bazarzu.

I Miko słuchał.

* * *

Słońce znów zaszło. Ile jeszcze zostało jej zachodów słońca? Niewiele. Na pewno niewiele. Tam, daleko, bracia i siostry wypływali, by igrać z falami. Kochankowie płynęli na spotkanie spełnienia. Załkała histerycznie. Kochankowie. Żałosne istoty opętane mirażem. Oddające duszę i ciało, by otrzymać... kłamstwo. Spętani magią słów, magią obietnic, magią dotyków, wydani na pastwę nadziei i emocji, których odwzajemnić nikt nie chce.

Łańcuchy Erio zabrzęczały, a dziewczyna opadła na pryczę. Płakała cicho, rozpaczliwie i bez łez, z głową wsuniętą w ramiona na tyle, na ile pozwalały więzy.

Naraz zaskrzypiały zawiasy starej bramy. Syrenka podniosła głowę i westchnęła. Chłopiec wrócił. Miała nadzieję, że tego nie zrobi. Nie chciała go tu. Otworzyła więc usta, by ostrzec bazarza, choć przecież wiedziała, że to daremne. Opuściła wzrok, licząc, że jeśli na niego nie spojrzy, on jej nie dotknie.

Niestety, chociaż na siebie nie patrzyli, oboje to poczuli. Nie pragnienie, ale gwałtowną potrzebę. Jak oddech i bicie serca. Miko podszedł i położył dłoń na ręce syrenki. Kiedy na niego popatrzyła, zobaczyła pociemniałe, puste oczy. Magia. Jeszcze przed chwilą Erio chciała się uwolnić, ale teraz i dotyk młodzieńca, i spojrzenie były jej obojętne. Została tylko potrzeba. Przymus zjednoczenia.

W splełanych palcach zatańczyła magia i wyrwała się wraz z pieśnią przez usta młodzieńca.

Tak zastał ich krasnolud. Wezwany przez uruchomioną magię, prowadzony przez wrzeszczącego Tropicielea, dotarł do wieży ledwie chwilę po zjednoczeniu, a i tak

ponownie musiał przedzierać się przez gęstą mgłę czaru. Tym razem nie próbował krzyknąć czy oderwać Miko od syrenki. Zrzucił z ramion nieprzytomnego chłopaka, którego przytargał z lupanaru, a potem usiadł obok pryczy, zacisnął zęby, uchwycił ramię leżącego, wyszeptał: „Wyrthe erythe agthem”, i dotknął Miko.

Tropiciel zawył wściekle, raniony przez łączące się dwa zaklęcia. Wodny czar splótł się z pierwotnym. Erio wyprostowała się. Zacisnęła gwałtownie palce, wbijając połamane paznokcie w skórę Miko. Moc gorącą lawą wpłynęła w żyły syrenki i podążając nimi ku sercu, rozpałała każdą cząstkę ciała. Ból stawał się nie do zniesienia. Strumienie ognia dotarły do serca, a potem szarpnęły w górę.

Wysoki i piękny zaśpiew wyrwał się z ust więźniarki. Przez chwilę drżał w ciemnej celi, rozjaśniając mrok blaskiem syreniej melodii. Wreszcie dziewczyna zamilkła. Łagodnie uwolniła dłonie i cofnęła się pod ścianę. Niebieskie oczy, dotychczas zgaszone, nabrały wyrazu.

Idar potrząsnął głową. Powoli rozluźnił szczęki, odetchnął głęboko i wstał. Nie spuszczać wzroku z syrenki, poklepał przyjaciela po ramieniu.

– Obudź się, dzieciaku.

Miko zamrugał półprzytomnie. Wracił z dalekiej podróży pełnej mrocznych, straszliwych obrazów przeplatanych pastelowymi, słodkimi wizjami. Słabość ustępowała, a rzeczywistość odzyskiwała kontury.

– Co się stało? – zapytał w końcu.

– Ano nic, bo żem zdążył. – Krasnolud wzruszył ramionami. – Skocz no, chłopcze, po klucze od kajdan do tego strażnika, co to z twojej winy leży za bramą z głupim uśmiechem. Trza nam się zbierać, nim żołdaki przyjdą na zmianę.

– Gdzie chcesz się zbierać? I co to, jasna...? – przeklął bazarz, potykając się o wciąż nieprzytomnego syna hrabiego.

– Do portu. A to, mój chłopcze, hrabiątko jest. Ukochany twojej syrenki.

– Jak to? Portu? Żyje?

– Odpowiem ci po drodze, młody.

Miko zmarszczył brwi, ale nie kontynuował rozmowy.

Chwilę później krasnolud rozpinał kajdany Erio. Popatrzył na poranione nadgarstki dziewczyny i skrzywił się nieco.

– Oj, nieładnie to, panna, wygląda. No ale tym już ojce twoje się zajmą. A teraz bądź tak miła, coby poczarować nad tym tu – kopnął nieprzytomnego szlachetkę – bo nie zamierzam dalej targać go na własnym grzbiecie.

Syrenka skinęła głową. Pochyliła się nad leżącym i zanuciła. Piosenka była słodka, melodyjna i cichuteńka, ale Tropiciel i tak warczał pod krasnoludzką skórą. Idar

uciszył go dużo łatwiej, niż by podejrzewał. Uśmiechnął się zimno, kiedy hrabiątko, odzyskawszy przytomność, poderwało się na nogi. Przez moment chłopak miał ten sam wyraz twarzy, który tak zirytował krasnoluda, że zamiast poczarować albo próbować namówić szlachciątko do wizyty w wieży, przyłożył mu z ogromnej pięści, posyłając na deski podłogi w zamtuzie. Teraz też aż zaswędziało krasnoluda, na szczęście syrenia magia szybko zapanowała nad synem hrabiego.

– No, znaczy mozem iść. – Idar pokiwał głową, wskazując dziewczynie bramę.

Erio zrobiła dwa kroki. Niepewne i bolesne. W oczach syrenki zalśniły łzy, ale dzielnie próbowała iść dalej. Kiedy zachwiała się kolejny raz, Miko podszedł do dziewczyny i wziął ją na ręce. Przechodzący obok Idar spojrział na jej bose stopy i aż jęknął. Skórę syrenki znaczyły blizny oraz otwarte rany.

Zeszli z wieży i wtedy zobaczyli tę samą wiedźmę, która niemal zabiła Miko. Uśmiechała się, stojąc u wyjścia.

– Psujecie mi zabawę, chłopcy – wymruczała. – Wszystko miałam poukładane. Wszystko. Syrenka wyssałaby moc bazarza, a potem oddała ją mnie, w zamian za wolność. Takich czarów jeszcze nie mam, a nie lubię, kiedy coś magicznego do mnie nie należy. Wieki całe czekałam, żeby mi się taka głupia wodnica trafiła. Zakochana w śmiertelniku. Głupie dziewczuchy! Oddała mi głos za obietnicę miłości, za połączenie z tym... – urwała, zobaczywszy idącego na końcu młodego szlachetkę. Skrzywiła się i wyciągnęła ręce.

– Ohe wizz... – zaintonowała. Wieża zadrżała. – Ohe...

Erio zacisnęła palce na ramionach niosącego ją Miko. Chłopak zmrużył oczy.

Pieśń zagłuszyła słowa czarownicy. Gwałtowna jak uderzenie pioruna i twarda jak skała. Melodia bez słów, na dwa głosy. Silna magią śpiewających wcisnęła niedokończony zaklęcie w usta wiedźmy. Kobieta zakrzuszyła się gwałtownie. Zawrócona moc targnęła jej ciałem. Szarpnęła we wszystkie strony. Wyrwała z gardła nieludzki wrzask. I wreszcie pękła, rozrywając wiedźmę.

W tej samej chwili śpiewacy ucichli.

Idar bez słowa minął szczątki wiedźmy. Pozostali ruszyli za nim.

* * *

Czarna woda uderzała o ciemny brzeg. W nocy wszystko wydawało się równie mroczne, jednobarwne. Miko powoli wszedł do morza, trzymając w ramionach syrenkę. Kiedy woda sięgała mu pasa, stanął. Uśmiechnął się do dziewczyny i złożył ją w nieprzeniknione objęcia toni. Erio przez chwilę poruszała rękami, utrzymując się na powierzchni, a potem zanurkowała. Morze przyjęło syrenę niczym ukochaną

córkę wracającą po długiej nieobecności. Fale otuliły ją z czułością, uleczyły rany, przyniosły spokój, poczucie bezpieczeństwa.

Bajarz patrzył jakiś czas w niknące fale w miejscu, w którym zanurzyła się wodna panna. Już zamierzał się odwrócić, lecz wtedy mrok morza rozjaśnił blask, a gładką tafłę przecięła wyskakująca z toni sylwetka syreny. Zatańczyła ponad mrocznym lustrem, jaśniejąca piękność ze srebrnym ogonem, by po chwili powrócić w otchłanie.

– Chodź, dzieciaku, bo se jajca zmroziysz, a wielka to będzie dla Krainy strata – krzyknął do przyjaciela siedzący na brzegu Idar.

Miko pokiwał smutno głową i zawrócił do przyjaciela.

– A z tym co? – Wskazał na wciąż pograżonego w syrenim zaklęciu syna hrabiego, który, jak bajarz uprzednio, wgapiał się w morze.

– Pojedźcie z nami. Rada wyraźnie życzyła sobie, żeby zabójca córki Gertyna poniósł zasłużoną karę.

– Powiedz, jak ci się udało przerwać tym razem magię czarownicy. Bez walenia mnie po łbie.

– Trochę mi pomogła jedna przemiła pani, co w myślach czytała, a trochę Tropiciel, kiedy zaklęcie czarownicy w tym gówniarzu poczuł. Słyszałeś wiedźmę, twoja mała syrenka oddała głos w zamian za połączenie z tym tu. Resztę chyba rozumiesz, prawda?

Młodzieniec pokiwał głową.

– Miła pani, mówisz? – Uśmiechnął się filuternie. – Pół dnia cię nie było, a już panny jakoweś serce dla ciebie traciły?

Idar wzruszył ramionami. Wstał i otrzepał spodnie.

– Chodź, chłopcze, bo jak się nasz przeuroczy rządca dowie, że chcemy hrabiątko wywieźć, to nam dupy pourywa. Ty, mały, ruszaj się! – polecił, odwracając się do młodego szlachcica. – Mały?

Przyzywała go. Śpiewała. Tam, w głębinach, czekała na niego miłość. Prawdziwa, jedyna. Śpiewała dla niego. Szedł więc na wezwanie. Szedł...

Żaden z mężczyzn nie zatrzymał hrabiowskiego potomka, kiedy ten powoli wchodził w głąb morza.

Ziarno

Mrok za oknem z wolna przechodził w szarość. Deidghe uniosła powoli powieki i przez chwilę zastanawiała się, czy wstać, czy też zostać. Słodkie zmęczenie już dawno ukoił sen. Zupełnie jakby tamte czułe zmagania w ogóle nie miały miejsca. Dziewczyna westchnęła. Czegóż oczekiwała? Chłopiec jest co prawda młody i dzielnie stawał w szranki, ale nie był Yasą. Żaden z nich nie był Yasą. Uśmiechnęła się smutno do swoich myśli. Oż, przekleństwo Pierwotnego. Od dziesięcioleci próbuje zapomnieć jego dotyk, smak ust, twardość ciała, a im bardziej się stara, tym częściej wraca myślą do tych kilku szalonych dni. Przekleństwo, jak nic.

Wspomnienie niegdysiejszego kochanka rozbudziło uśpione pożądanie. Deidghe odwróciła się i spojrzała na śpiącego obok mężczyznę. Rozchylone wargi poruszyły się lekko i młodzieniec otworzył oczy. Gdy dojrzał utkwiony w siebie wzrok, uśmiechnął się zachęcająco. Kobieta wyciągnęła rękę i musnęła odsłonięty tors. Mięśnie pod jej dotykiem napięły się, a mężczyzna odetchnął głęboko.

– Jeszcze – powiedziała leniwie. Uniosła się na łokciu i pochyliwszy nad leżącym, powoli liznęła jego skórę. Wciąż smakowała potem, słono i słodko jednocześnie. – Jeszcze, mój książę. – Schwyciła w zęby sutek młodzieńca i ugryzła delikatnie, pieszcząc jednocześnie twardniejący czubek językiem. Kiedy włożył palce w jej złociste loki, wyrwała się łagodnie i usiadła okrakiem na kochanku. Położyła jego mocne palce na swoich piersiach, a potem nieskończenie powoli przesunęła się. O tak! Pragnienie narastało z każdym momentem. Młodzieniec, szkolony przez Deidghe od wielu dni, wprawnie pieścił ciało kobiety, doprowadzając ją na skraj rozkoszy. Jeszcze nie... jeszcze nie...

Wzięła go w siebie. Bardzo, bardzo wolno uniosła się i równie powoli opuściła. O tak. Tak. I od nowa. I jeszcze raz.

O tak...

* * *

Książę wpatrywał się w Deidghe, kiedy czesała włosy. Długie loki, miękkie niczym najdroższe jedwabie z Zaorii, opadały na nagie pełne piersi, by falą czystego złota spłynąć aż na uda siedzącej dziewczyny. Bogowie, była tak piękna, tak zmysłowa, że mimo wielogodzinnego chędożenia znów stwardniał. Odetchnął głęboko, a Deidghe uśmiechnęła się i popatrzyła na niego. Złocista brew uniosła się z uznaniem.

– Znowu, mój panie?

– Słodka Eosi – jęknął młodzian, wzywając boginię. – Nie znałem dotąd takiej kobiety. Mógłbym cię brać całą noc, cały dzień, potem znów całą noc, a wciąż nie miałbym dość.

– Obietnice, obietnice... – Zaśmiała się perliście.

Odłożyła kościaną szczotkę i sięgnęła po szmaragdową suknię. Wsunęła ją szybkim ruchem, jakby bała się, że może ulec niewypowiedzianej prośbie kochanka. Kiedy związała troczki, młodzieniec wstał z łoża. Wsunął palce między tasiemki. Westchnęła z przyjemności, bo jego dotyk nie był delikatny, ale mocny, zaborczy. Tak jak lubiła. Zacisnął lekko dłonie na jej piersiach, a sutki błyskawicznie stwardniały. Przestała sznurować i poddała się pieszczocie. Książę podniósł dziewczynę, wsparł o ścianę i zadartszy suknię, wszedł w Deidghe. Wbił się w nią prawie brutalnie, a ona krzyknęła z przyjemności i zacisnęła uda wokół kochanka. Ledwie kilka uderzeń serca później oboje krzyczeli z rozkoszy. Raz za razem.

– Nie chcę, żebyś odchodziła – wyszeptał po jakimś czasie książę, wciąż w objęciach kochanki. – Zostań moją żoną. Będziemy to robić nieustannie, a cała Kraina będzie nam zazdrościć.

Deidghe roześmiała się cicho i wyplątała z ramion mężczyzny.

– Jestem dla ciebie za stara, mój panie – powiedziała miękko.

– Nieprawda! – zaprzeczył gwałtownie. – Jesteś idealna. Wszystko w tobie jest doskonałe! Prawdziwa księżniczka! Najprawdziwsza! Moja matka cię pokocha, zobaczysz! Bo ja... ja... Ja cię chyba kocham – zakończył bardzo cicho.

Nie przestała się uśmiechać. Poprawiła suknię i ponownie zaczęła wiązać tasiemki.

– Nie kochasz mnie, panie. – Pokręciła głową. – A już na pewno nie pokochałaby mnie twoja matka. To miłe, że chcesz mnie za żonę, ale kompletnie niepotrzebne. Wpadnę do ciebie raz na jakiś czas, żebyś znów mógł sprawdzić, czy możesz nieustannie brać mnie dzień i noc.

– Matka szuka mi żony... – westchnął młodzian.

– I cóż z tego? Każdy władca ma żonę i garść nałożnic. Ty będziesz miał jeszcze mnie. Czasami. – Mrugnęła figlarnie.

Książę pokręcił głową.

– Wyjdź za mnie – powtórzył z uporem.

Deidghe przyjrzała się młodzieńcowi. Był uroczy. Naprawdę uroczy. Nie był Yasa, ale żaden z nich nie był. Ten za to szybko się uczył. Już teraz, po kilku dniach, potrafił jej dogodzić. Bogowie obdarzyli go siłą i niebrzydką fizjonomią. Może to nie był taki głupi pomysł? Przydałoby jej się kilka... może kilkanaście lat spokoju,

dopieszczania, służby i niesamowitego chędożenia każdego dnia. Taaak, może to nie taki głupi pomysł.

Książę, widząc wahanie na twarzy kochanki, usiadł i łagodnie pociągnął ją na swoje kolana.

– Wyjdź za mnie, a sprawię, że każdy dzień i każda noc przyniosą ci rozkosz – wyszeptał do ucha kobiety.

– Twoja matka... – zaczęła Deidghe.

– Moja matka wierzy w przepowiednie. – Przytulił mocniej dziewczynę i potarł policzkiem jej skroń. – I szuka prawdziwej księżniczki. Damy jej więc taką.

– Jak?

– Opowiem ci...

Mówił cicho, głaszcząc plecy dziewczyny, a ona słuchała. Uśmiechała się długo, aż do chwili, gdy usłyszała coś, czego się nie spodziewała. Drgnęła, ale książę nie zauważył tego, zbyt skupiony na opowieści.

* * *

Ciężkie chmury zasnuły wieczorne niebo, wróżąc nawałnicę, jakiej miasto nie widziało od lat. Wiatr szarpał drzewami, zrywał dachówki, a nawet kilka okiennic, których jacyś mieszkańcy, nienawykli do nieokiełznanej pogody, nie zdążyli zamknąć. Po wicherze nadszedł deszcz. Grube krople uderzyły w bruk z niewiarygodną siłą i wraz z wyjącą wichurą przyniosły miastu szaloną melodię nadchodzącego końca świata.

Perdu de Gra Yudherthardere przyglądał się temu widowisku, stojąc w pałacowym oknie jednego z dziesiątek korytarzy. Coś nadchodziło, coś dziwnego. Czuł to przez skórę, chociaż, w przeciwieństwie do starszego brata, nie został obdarzony Tropicielem. Z niewiadomych przyczyn bogowie wybrali Idara, błogosławiąc go posturą, urodą i jeszcze magicznym alter ego. Młodszemu bratu poskapili każdej z tych rzeczy, nie żałując jedynie sprytu i inteligencji. Cóż, dobre i to. Perdu nie zazdrościł bratu. No, może czasami. Zwłaszcza gdy Idar opowiadał o przygodach przeżywanych z tym przeklętym zaczarowanym grajkiem w służbie Krasnoludzkiej Rady. O dalekich krajach, magicznych stworach, syrenach, czarownicach i smokach. Tak, wtedy Perdu trochę żałował, że jego życie jest takie zwyczajne. I nawet powtarzanie przez Idara, że nie ma czego zazdrościć, a Tropiciel to cholerny wrzód na dupie, nie pomagało. Skoro jednak Perdu nie mógł w żaden sposób zdobyć magicznego alter ego ani urosnąć o długość łokcia, która dzieliła go od brata, postanowił przynajmniej w jednym mu dorównać: w zasługach dla Rady. Ojciec nie

był szczęśliwy, a matka głośno wyklinała, ale żadne z nich nie zabroniło młodszemu latorośli wybrać kariery szpiega.

Niestety Rada nie ceniła usług młodszego Yudherhardere równie wysoko jak jego brata. Zamiast wysłać Perdu w dziwne, egzotyczne kraje, kazała mu szpiegować królową tego nieszczęsnego Wypierdkowa.

Krasnolud westchnął i odsunął się od okna. Deszcz uderzał w szyby z zajadłością, a czarne niebo co jakiś czas rozjaśniały błyskawice. Kolejny parszywy dzień w parszywym miasteczku. Pierwszy tak dokładnie oddający uczucia Perdu: mroczne i ponure. Gdyby ojciec nie nauczył go, że zawsze trzeba kończyć to, czego się podjęło, dawno już rzuciłby służbę i wrócił do domu. Tam byłby młodszym synem księcia. Tu jest tylko trefnisiem pani zamku. Niestety obaj młodzi Yudherhardere od zawsze wiedzieli, że cokolwiek się robi, należy to robić dobrze. I do końca.

Perdu zaklął, a potem poprawił bajecznie kolorową koszulę. Zdobiące ją dzwoneczki zagrały cichuteńko i dysharmonijnie. Bogowie, nienawidził tego dźwięku. Równie mocno nie znosił tylko tego idiotycznego odzienia i wielobarwnych wstążek w brodzie oraz włosach. Wyglądał jak tresowane zwierzątko pokazywane ku uciesze gawiedzi na wiejskim jarmarku. Kiedy wybierał przebranie, zdało mu się akuratne. Nadal tak sądził, co nie zmieniało jego odczuć względem odzienia trefnisia.

Szarpnął rękaw, a dzwoneczki ponownie zadźwięczały, jak dziwaczny pogłos grzmotu pioruna. Krasnolud ruszył ku długim marmurowym schodom, a każdemu krokowi towarzyszyło dzwonięcie. Był już przy pierwszym ze stopni i właśnie kładł dłoń na pięknej, rzeźbionej balustradzie, gdy za jego plecami otworzyły się gwałtownie ogromne drzwi. Do pogrążonego w ciszy pałacu wdarła się nie tylko nawałnica, lecz także liczna gromada mieszczan. Przekrzykująca się ciżba towarzyszyła dwóm strażnikom, którzy wnosili nieprzytomną kobietę.

Perdu przypatrywał się scenie, wciąż trzymając dłoń na balustradzie. Już samo to, że strażnicy odważyli się, niewzywani, przekroczyć próg pałacu, było zdumiewające. Towarzyszący im tłum powinien wprowadzić krasnoluda w osłupienie. I pewnie tak by się stało, gdyby nie owo dziwne, niepokojące uczucie, które już wcześniej szarpało mu trzewia, a które teraz ozwało się w dwójnasób. Coś nadchodziło. Coś dziwnego. Czy miało to coś wspólnego z zemdloną panną czy z szalejącym żywiołem? Potrząsnął głową i ruszył ku zgromadzeniu.

- Smok! Straszny smok! Ogniem zionął! – krzyknęła jakaś kobieta.
- Ogniem? Ogniem? Lawą całą! Ponoć jednym dmuchnięciem całą karawanę spopielił! – wrzasnęła inna. – Ino dziewczuszka przetrwała. Sama żem słyszała. Sama!
- Ano! Też słyszałam. Rzekła, że smok, i padła jak ścięta!

– No! Że cudna, to fakt – dodał któryś z mieszczan, nie odrywając wzroku od nieprzytomnej. – Takiej żem jeszcze nie widział. A i odziana jak jaka królowa. Toż same materie od mufki warte będą z pięć złotych. Pięć!

Perdu przecisnął się przez tłumek i przyjrzał wciąż trzymanej przez strażników kobiecie. Była co prawda kompletnie przemoczona, ale nawet to nie ujmowało jej urody. Yudherthardere zaś, jako iż czuł był na kobiecie wdzięki, aż sapnął z zachwytu. Zwłaszcza gdy długie, gęste rzęsy dziewczęcia zadrżały i uniosły się, a spojrzenie spoczęło na stojącym obok Perdu. W szmaragdowych oczach rozbłyły drobiny złota i znikły ponownie przysłonięte powiekami.

– Umarła? – jęknęła jakaś mieszcza. – Umarła, co? Bidulka!

– Nie umarła, nie prawcie dyrdymałów! Jen omdlała! Toż widać, że prawdziwa księżniczka, to i delikates z panny.

– Ano! – przytaknęły naraz inne mieszczy. – Prawdziwa księżniczka! Prawdziwa, jak nic!

– Co tu się dzieje? – Spokojny, władczy głos dobiegł ze szczytu schodów.

Tłumek błyskawicznie się rozstał. Rozgadana ciżba umilkła w jednej chwili i tylko huk nawałnicy wciąż dobiegał przez otwarte drzwi.

Perdu odetchnął głęboko, zanim popatrzył na królową. Zawsze tak robił, to było niezależne od niego. Musiał nabrać tchu, odczekać uderzenie serca, a potem drugie... dopiero wtedy mógł bez gwałtownego rumieńca podziwiać panią tego kraju.

A bo i było co podziwiać. Posągowa królowa w szafirowej sukni, z długimi jasnymi włosami rozpuszczonymi wbrew modzie i zwyczajom każącym kobietom zamężnym ukrywać fryzurę pod czepkiem, górowała nad zgromadzonymi nie tylko dlatego, że stała na najwyższym stopniu schodów. Również dlatego, że urodziła się, by rządzić. Akcentowała to każdym ruchem, każdym gestem. Nawet gdy tylko stała, onieśmiała samą obecnością. Zapewne z tego powodu, chociaż młody książę osiągnął już wiek, w jakim powinien przejąć władzę, kraj wciąż miał panią.

Żeby jednak nie podważać Tradycji, królowa oznajmiła, że odda mu tron, kiedy książę się ożeni. Zgodnie z literą boskiego prawa. Oczywiście nie mógł znaleźć sobie byle kobiety. Musiał pojąć prawdziwą księżniczkę. Taką, która przejdzie *próbę*.

Próby dotychczas nie zdefiniowano, bo i prawdziwych księżniczek, gotowych zasiąść na tronie obok władcy Wypierdkowa, jakoś nie było. Albo nie chciały zamieszkać na rubieżach Krainy, w kraiku, którego liczbę mieszkańców zdecydowanie przewyższała liczba rogatego bydła, albo bały się konkurowania z przyszłą teściową. Podziwiając królową, której przyszło mu być trefnisiem, Perdu

doszedł do wniosku, że zapewne to drugie. Jakaż bowiem kobieta mogłaby pokonać taką doskonałość?

– Zadałam wam pytanie. – Królowa nigdy nie powtarzała. Teraz również nie zamierzała. Zrobiła tylko jeden krok i wbiła wzrok w jednego z gwardzistów. Mężczyzna pobił ją gwałtownie.

– Panna przy bramie leżała – wytłumaczył łamiącym się głosem. Musiał odkaszlnąć, a potem dodał już głośniejszym: – O smoku prawiała, że karawanę, którą podróżowała, zniszczył. Wszystkich wybił, jeno ona się ostała, bo ją sługi własnym ciałem chroniły. Księżniczka, znaczy się. Prawdziwa.

Królowa skrzywiła się i powoli zeszła po schodach. Minęła Perdu, jakby go nie widziała, podeszła do gwardzistów, a potem pochyliła się nad nieprzytomną panną. Patrzyła na nią długo, w milczeniu, na trefione mokre loki, czerwoną aksamitną suknię podróżną, zdobiące ją złote hafty... Na końcu sięgnęła ku gorsowi sukni i spośród wymiętych, przemoczonych falban wysupłała rubin zawieszony na złotym łańcuchu. Dopiero wtedy zacisnęła usta. Przez chwilę ważyła klejnot w dłoni, zaciskając palce, aż kłykcie pobieleły.

– Zanieście pannę do gościnnych pokoi. – Gestem wezwała służkę, a ta kiwnęła na gwardzistów i poprowadziła ich wzdłuż korytarza.

Królowa zaś odwróciła się i nie patrząc na milczący tłum, ruszyła ku schodom. Zgromadzeni śledzili wzrokiem każdy jej ruch w kompletnej ciszy. Kiedy władczyni weszła na ostatni stopień, odwróciła się lekko, by rzucić wymowne spojrzenie krasnoludowi. Perdu skinął głową i szybciotko ruszył za swoją panią.

* * *

Po wejściu do komnaty Ameralia bez słowa wskazała trefnisiowi drzwi, a on posłusznie je zamknął. Dziwny mały człowieczek, chudy i kudłaty, o ruchliwej brzydkiej twarzy i ciemnych oczach, które zdawały się przewiercać człowieka na wylot. Nie pamiętała, dlaczego go najęła, bo zapewne nie dla umiejętności w profesji, którą miał wykonywać. Tyle było w nim krotochwili, co w owym ślepym żebraku, który u świątynnych bram siedział. Był za to bystrzejszy niż którykolwiek z królewskich doradców. Wiedziała o tym od pierwszego spojrzenia w krasnoludzkie oczy.

– Wierzysz w to, Perdu? – zapytała łagodnie. Nie dodała w co, bo przecież nie musiała.

– Nie jest ważne, pani, czy w to wierzymy, jeno czy ludzie uwierzą – odpowiedział bez śladu unізoności.

Zaprawdę dziwny człowiek. Ameralia usiadła na wyściełanej poduszkami ławie i spojrzała w okno. Szalejąca jeszcze przed chwilą nawałnica ucichła raptownie. Deszcz przestał bić w szyby, a pomiędzy chmurami błysnął nawet kawałek księżyca. Królowa wbrew zwyczajom nakazała gestem, by usiadł naprzeciwko niej, a on bez wahania skorzystał z zaproszenia.

Ameralia odetchnęła głęboko i nie patrząc na trefnisią, wyznała:

– Obawiam się, że masz rację. Ludzie już obwołali ją prawdziwą księżniczką. Zapewne szykują zrękowiny, chociaż Roden jeszcze jej nie widział. – Zerknęła na krasnoluda. – A ona może wcale nie zechce mojego syna...

Perdu milczał zaskoczony. Niespodziewana otwartość królowej kompletnie go sparaliżowała. Tak jak i bliskość tej doskonałej kobiety. Patrzył więc tylko, długo i nieco żałośnie, aż wreszcie dotarło do niego, że może i słusznie Rada nie ufa mu tak jak Idarowi. Skoro kilka słów pięknej kobiety sprawiało, że nie myślał swobodnie... Jakoś nie wyobrażał sobie, by starszego braciszka coś takiego zwiodło z wyznaczonej przez przełożonych drogi. Krasnolud zacisnął usta, dumając nad własną słabością.

– Może wcale nie chce zostać nową królową. Ja nie chciałam – kontynuowała Ameralia, ponownie patrząc w okno. – Cóż to za zaszczyt mieszkać na końcu świata, w najmniejszym królestwie Krainy? W państwie, z którym nikt się nie liczy, którego nikt nie poważa?

Światła dziesiątek świec odbijały się w oczach królowej i krasnolud pomyślał, że nie widział jeszcze tak cudnej kobiety. Mimo to jednak, a może właśnie dlatego, naraz otrząsnął się z zauroczenia. Przecież na to czekał, prawda? Jeśli dobrze to rozegra, wróci do domu, wykonawszy zadanie powierzone mu przez Radę.

– Nie wydaje mi się, pani – zaczął grzecznie, nie odrywając wzroku od królowej – by najważniejszym było, czy panna chce naszego księcia.

Zadumana Ameralia spojrzała na trefnisią, marszcząc brwi.

– A co według ciebie jest ważne? – zapytała miękko. Tak miękko, że Perdu się zawahał. Oto bowiem królowa naprawdę wydawała się zainteresowana jego zdaniem. Ba! Może nawet nim. – Co, mój drogi?

Krasnolud musiał zamrugać raz i drugi, bo naraz jego wzrok jakby się zamglił, a myśli zaczęła toczyć dziwna słabość. Odetchnął głęboko i dopiero wtedy odpowiedział:

– Najważniejsze, pani, by to była prawdziwa księżniczka.

Ameralia zmrużyła oczy i badawczo przyjrzała się słudze. Nie było dla niej tajemnicą, że ludzie pokpiwali z przywiązania władczyni do starych legend, ale

stojący przed nią krasnolud, patrzący bez odrobiny choćby pokory, nie wyglądał na kpiarza.

– Tak sądzisz? – powtórzyła więc tym samym, słodkim tonem, który przed laty dał jej za męża króla i który przez cały ten czas sprawiał, że nikt nie potrafił jej odmówić. Tonem, w którym pobrzmiwały magiczne nuty syrenich przodków Ameralii. Najwyraźniej magia w głosie królowej wciąż działała, bo Perdu zagapił się w absolutnym zachwycie. Bystre jeszcze przed chwilą spojrzenie czarnych oczu zmatowiało jak przesmarowana tłuszczem powierzchnia zwierciadła. Królowa westchnęła. Wstała i podeszła do trefnisa. Delikatnym klepinięciem w ramię wyciągnęła go z mocy czaru.

– Pewnie i racja, że pochodzenie dziewczyny jest najważniejsze – przyznała spokojnie. – Jeśli jest właściwe, znaczy, że bogowie ją zesłali i trzeba oddać tron w ręce następcy. Nie będziemy zawczasu rozważać, co się może zdarzyć, ale pozwolimy zdecydować sile wyższej. – Uśmiechnęła się łagodnie, bardziej do swoich myśli niż do krasnoluda, ale ten i tak zamrugał raptownie. – Zwołaj, mój drogi, służki. Nadeszła właściwa pora, by sprawdzić moc przepowiedni. Trzeba przygotować sypialnię i łożo. Zwłaszcza łożo... Dokładnie według wskazań – szeptała, zapatrzona w nieistniejący punkt na ścianie komnaty. – No, biegnij już! – dodała, bo zauroczony trefniś nawet nie drgnął.

Perdu wstał z ociąganiem i powoli ruszył ku drzwiom. Stojąc w wejściu, spojrzał ostatni raz na swoją panią. Jeśli się nie mylił, tej nocy zdobędzie przedmiot, którego pragnęła Rada, zatem rzeczywiście patrzył ostatni raz. Trwał tak przez kilka uderzeń serca, z dziwną mieszanką uczuć; od zauroczenia, po świadomość bycia żałosnym. W końcu westchnął i wyszedł.

* * *

Pałac kładł się do snu, z wolna cichły wszystkie dźwięki. Służba gasiła dogorywające świece w kandelabrach, zostawiając tylko kilka, by korytarz nie pogrzyżył się w kompletnym mroku. Cowieczorna celebra dobiegała końca. Za chwilę ucichną ostatnie szmery i ludzie zejdą do służbówek. Pozostaną tylko gwardziści, a i oni będą drzemać wsparci o ściany. Perdu nie musiał opuszczać kryjówki za grubą kotarą, by wiedzieć, co dzieje się poza sypialnią przygotowaną dla gościa. Kuczał w kącie, między ścianą a potężną skrzynią, i nerwowo przenosił ciężar ciała z nogi na nogę. Cierpliwość nie była jedną z tych cech, które stawiałyby go w gronie najlepszych szpiegów Rady Krasnoludzkiej. Miał jej tylko odrobinę więcej niż jego matka, a przecież nie z cierpliwości zasłynęła Beneria de Gra Yudherthardere.

Nogi mu ścierpły, więc zmienił pozycję; siadł, podciągając kolana po brodę, żeby zajmować jak najmniej miejsca. Cholera, mogłyby już przyjść. Ileż może trwać kolacja? Na myśl o posiłku kiszki krasnoluda ścisnęły się gwałtownie. Ot, jeszcze jeden powód wzbierającej irytacji. Jakby mało miał ciasnoty i czekania... jasna by to cholera. No i rozmyślania, czy królowa zauważyła, czy nie zauważyła braku trefnisia.

Wspomnienie Ameralii roztkliwiło naraz Perdu. Ech, w innym świecie, w innych czasach... A bo to pierwszy krasnoludzki księżę wziąłby za żonę ludzką kobietę? Mógłby i on. Co prawda znaczniejsza część dziedzictwa po ojcu przynależy do starszego Idara, ale przecie i Perdu coś tam skapnie. I to nie małe coś. Starczy, coby byt i jemu, i żonce zabezpieczyć. Przecie widział, że Ameralia łaskawie na niego dzisiaj spojrziała. A widział! I rozmawiała z nim jak z równym, co nie? Mógłby starania poczynić. W innym niż trefnisiowe odzieniu pokłon złożyć. Przecie niewiele jest znakomitszych rodów od de Gra Yudherthardere. Toż nawet Król Królów uklony matce Perdu śle przy każdym większym święcie, a ojca chętnie na dworze gości. Jakby tak Perdu z orszakiem w konkury przybył...

Potrząsnął głową niechętnie. Marzenia marzeniami, ale w sumie niegłupi był z niego krasnolud. Nie wiedział co prawda, dlaczego królowa obdarzyła go dziś łaską rozmowy, ale z całą pewnością nie kierowały nią jakieś skrywane uczucia. A i, tego był pewien, najznakomitsze nawet szaty nie sprawią, że Ameralia zapomni o tym nieszczęsnym barwnym stroju z dziesiątkami dzwoneczków. Westchnął smutno, świadomy, że kiedy opuści ten mały kraik, już nigdy nie wróci, a więc i nie zobaczy wymarzonej kobiety.

Gdy tak rozpaczliwie dumiał nad straconym i niespełnionym uczuciem, drzwi do komnaty wreszcie skrzypnęły. Do wnętrza wpadło światło kaganka niesionego przez młodzieńką służkę, drżące i migotliwe, a wraz z nim trzy cienie. Krasnolud zmarszczył brwi, poznając młodego księcia, który grzecznie prowadził ewentualną narzeczoną. Cóż, to nie był zwykły widok, królewski syn nigdy nie bywał wieczorami w pałacu. Nie było tajemnicą, przynajmniej nie dla Perdu, że chłopak zwiedzał wtedy okoliczne lupanary. Chociaż ostatnio burdelmamy narzekały, że młodzieniec zaniedbuje ich przybytki. Perdu poszedł któregoś wieczoru za nim, ale księżę skutecznie kluczył wąskimi uliczkami i udało mu się zgubić krasnoluda. Zupełnie jakby wiedział, że ktoś go śledzi...

Uświadomiwszy to sobie, ukryty za skrzynią szpieg Krasnoludzkiej Rady aż przygryzł wargę. Nie miał jednak czasu, by nad tym deliberować, bo księżę odesłał służkę i...

I wszedł za gościem do komnaty, a potem cichutko zamknął drzwi.

– Deidghe – wyszeptał, sięgając po złotowłosą.

Zatrzymała go delikatnym ruchem dłoni.

– Wasza matka czeka, panie – powiedziała łagodnie.

Mężczyzna cofnął się zaskoczony, żeby po chwili zastanowienia i długim, żalonym westchnięciu skinąć głową.

– Macie rację, panno Deidghe. – Skłonił się nisko, a później dodał głośniejszym głosem: – Królowa zapewne czeka. Rad jestem z naszego poznania, ale rzeczywiście, czas na mnie.

Uklonił się ponownie i wyszedł.

Piękność przez chwilę patrzyła w drzwi. Wreszcie podeszła do łoża, na którym służebne poukładały dziesiątki poduszek i kilka materacy, tak że legowisko sięgało pasa dziewczyny. Deidghe skrzywiła się i spojrzała na całą tę górę pierza. Pokręciła powoli głową, a potem zaczęła rozwiązywać suknię...

Perdu zacisnął palce na brzegu drewnianego wieka. Zamknął oczy, ale zaraz potem otworzył. Dobrzy bogowie, nie powinien patrzeć. Matka stłukłaby go na kwaśne jabłko, gdyby wiedziała, a i ojciec nie byłby dumny. No ale jak ma nie patrzeć?

Jak?

Kobieta była piękna. Nie tak po prostu piękna, jak na przykład matka czy chociażby Ameralia. Złotowłosa była absolutnie doskonała. Od czubka głowy aż po koniuszki drobnych palców u stóp. Kiedy suknia opadła, odsłaniając gładkie proste plecy, kształtne pośladki i długie nogi, krasnolud sapnął cichuteńko. Błyskawicznie przygryzł usta, lekko wystraszony, że mogła go usłyszeć. Dziewczyna odwróciła się powoli. O bogowie!

Gdyby młodszy syn Benerii był w stanie myśleć, zapewne zastanowiłyby go błąkający się na ustach ślicznej panny uśmiešek i lekkie zmrużenie powiek, spod których błyskały szmaragdowe oczy. Niestety młodszemu de Gra Yudherthardere w tejże właśnie chwili umykały wszelkie szczegóły niezwiązane z idealnym ciałem, na które patrzył.

Rozbawionej Deidghe, w pełni świadomej obecności krasnoluda, niespieszno było z ubieraniem. Przeciągnęła się kilka razy, zrobiła kilka kroków w jedną, a później w drugą stronę. Pozwoliła mężczyźnie obejrzeć się dokładnie. W końcu z niejakim żalem sięgnęła po nocną bieliznę. Ponownie ubrana ze sporym trudem wdrapała się na łożko.

Blask kaganka kładł cienie na obłożone materią ściany. Światło migotało, coraz słabsze, aż wreszcie zgasło, pograżając komnatę w kompletnej ciemności. Krasnolud poruszył się za skrzynią, wyprostował powoli nogi, a później ręce... Wreszcie wstał

najciszej, jak potrafił. Ot tak, żeby tylko rozruszać członki. Kilka kroków od niego, na przesadnie wymoszczonym legowisku, dziewczyna aspirująca do miana prawdziwej księżniczki właśnie zasnęła. Słyszał jej regularny oddech. Przez krótką chwilę korciło go, by do niej dołączyć albo przynajmniej popatrzeć na tę piękność. Och, jak nic, Rada miała rację, że Idara stawiała przed młodszym bratem. Baby mu z pomysłu kaszankę robiły...

Pokręcił głową i ponownie usiadł za skrzynią. Jeszcze trochę musiał poczekać.

* * *

Drzwi skrzypnęły, więc Ameralia zacisnęła zęby ze złości. Dziesiątki razy mówiła, żeby nasmarowano zawiasy. Nie znosiła tego dźwięku, a teraz dodatkowo nie chciała obudzić śpiącej dziewczyny. Może i dobrze byłoby oddać pałac i kraj synowi oraz jego żonie? Niech ktoś inny zacznie użerać się ze służbą. Kto to widział, żeby królowa dyskutowała o zawiasach?

Weszła, a mrok komnaty rozjaśnił płomyk trzymanego przez nią kaganka. Zmrużyła oczy, bo mimo światełka ledwie widziała. Ciemność pokoju zdała się jej zapowiedzią nieuniknionego. Bogowie, jak ona nie lubiła zmian. Zmiany nigdy nie były dobre. Nie dla niej. Westchnęła i wsunęła dłoń do mieszka przywiązanego do pasa. Chłodny obły artefakt rozgrzał się pod dotykiem potomkini syren, a magia w nim ukryta zaśpiewała w myślach Ameralii. Przesunęła palcami po idealnie gładkiej powierzchni, bez jednej chociażby nierówności. Moc kamienia sprawiła, że przez moment oczy królowej rozjarzył złoty blask. Wspomnienie czasów, kiedy przybyła na dwór, kiedy jednym spojrzeniem, jednym słowem uwiodła władcę, odbiło się w połyskujących tęczęwkach. Ten artefakt przyniósł jej wtedy tron na równi z urodą i syrenim zaśpiewem w głosie. Była trzecim pokoleniem królowych wybieranych z jego pomocą. Teraz nadszedł czas, by poszukać czwartego.

Ameralia ponownie westchnęła, zdecydowanie żałośniej, i niechętnie wsunęła kamień pod najniższy z materacy.

Nie była gotowa, by oddać Ziarno, ale jeśli taka jest wola bogów...

* * *

Ledwie drzwi za królową skrzypnęły, a w komnacie ponownie zapadła ciemność, podniecony Perdu wyszedł z ukrycia. Serce waliło mu jak oszalałe. Tyle słyszał o magicznym artefakcie, a teraz będzie mógł wziąć go do ręki... Będzie mógł wrócić do domu. Opuścić Ameralię.

Zawahał się. Koniuszki palców już muskały magiczny przedmiot, a on zamarł. Opuścić Ameralię? Opuścić?

Stał niezdecydowany, gdy nagle chłodna dłoń zacisnęła się na jego nadgarstku.

– Zostaw – polecił łagodny kobiecy głos.

Krasnolud drgnął nieco przestraszony. Szarpnął się, sięgając ku artefaktowi. Nie zdołał go jednak uchwycić, bo uścisk szczupłych palców okazał się nad podziw mocny.

– Zostaw, powiedziałam – szepnęła Deidghe, zsuwając się z wysokiego legowiska.

– Bo co? – zapytał niegrzecznie Yudherthardere.

– Bo ładnie proszę. – Dziewczyna uśmiechnęła się promiennie, ale szmaragdowe oczy połyskiwały zimno.

– Wybacz, panna, ale to moje. – Szarpnął znów bezskutecznie.

– Tak, dokładnie – wyszeptała niskim słodkim głosem, tak namiętym, że krasnolud ze zdumienia otworzył usta – to moje. Jeden z trzech, które należały do mojej rodziny. Myślałam, że przepadły... Po co ja wam to mówię? To moje – powtórzyła i przestała się uśmiechać.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Perdu zmarszczył brwi; dziewczę wyglądało na wiotkie i delikatne, a uścisk miało zaiste żelazny. Próbował kilka razy wyrwać rękę, ale nawet nie drgnął.

– Nie szarpicie się, nie pomoże – szepnęła Deidghe. – Nie zabierzecie Ziarna.

Stała o krok od niego, nieco tylko wyższa od krasnoluda, ale zdecydowanie drobniejsza. Matce by się to nie spodobało, a ojciec pewnie przetrzepałby mu skórę za samą myśl, ale może powinien powalić pannę i po prostu zabrać artefakt? Może i powinien... Ino jakoś nie mógł się ruszyć.

– Łżecie, panna – odparł za to cicho. – Albo nie wiecie, co tu królowa wsadziła pod te wszystkie piernaty. Tak czy siak, artefakt wasz być nie może.

Dziewczyna roześmiała się równie cicho. Pociągnęła mocno rękę krasnoluda, wrywając ją spomiędzy materacy, a potem nachyliła się ku mężczyźnie.

– A wy wiecie?

– Ano wiem. I w przeciwieństwie do waszego rodu w posiadaniu mojego był, i owszem. Nie za długo, bo matka musiała go przehandlować jednej syrenie, ale był. To i wiem, jaka magia w nim drzemie, i prawo mam doń większe od ślicznotki, co to młodemu książątku we łbie namieszała.

Deidghe cofnęła się nieco i zmrużywszy oczy, przyjrzała się niskiemu mężczyźnie. Patrzyła długo, z zastanowieniem, jakby zobaczyła go dopiero w tym momencie.

– Jak was zwą? – zapytała w końcu.

– A co wam do tego? – odrzekł zaczepnie.

– Matka was nie uczyła, że należy grzecznie się przedstawić kobiecie, kiedy się do jej alkowy trafi? Byłam lepszego zdania o wychowaniu Benerii.

Perdu zmarszczył brwi.

– A wy skąd...?

Dziewczyna pokręciła głową, lecz zamiast odpowiedzieć, błyskawicznie sięgnęła między materace.

Ledwie palce Deidghe musnęły kamień, a komnatę rozświetliło oślepiające światło. Przez chwilę było tak jasne, że niemal białe. Jarzyło się wokół niej niczym jaskrawa aureola i sprawiło, że twarz kobiety wyglądała jak twarz porcelanowej lalki. Kiedy Deidghe wyjęła rękę spomiędzy materacy, cała jasność skupiła się w jednym punkcie; w obłym przedmiocie leżącym na dłoni. Połyskiwał jak maleńka gwiazdka, by wkrótce zacząć mienić się wszelkimi odcieniami złota.

Kobieta z uśmiechem spojrzała na Perdu.

– Widzicie, Yudherthardere, to jednak moja własność. Moja, z dziada pradziada.

Zanim zaskoczony krasnolud zdołał się poruszyć, piękność przyskoczyła do otwartego okna. Stała na parapecie, a lekki wiatr z zewnątrz rozwiął złote loki. Powolutku zamknęła dłoń i oszałamiające światło zgasło.

– Rzeknijcie księciu, że naprawdę mi przykro. Pewnie by mnie uszczęśliwił... na jakiś czas. W moim charakterze nie leży jednak wierność, to i wkrótce musiałby szukać nowej żony. Tak będzie lepiej. I dla niego, i dla mnie. A już na pewno dla waszej królowej. Nie krzywcie się tak. Czyta się w was jak w książce, a i Ameralię nie trudno rozgryźć. – Zawahała się, a potem jednym ruchem zerwała z szyi łańcuch z rubinem i rzuciła go mężczyźnie. Perdu złapał go w locie. – Mój tatko lubił magiczne przedmioty. – Mrugnęła. – Ten wam u królowej pomoże. – Zrobiła krok, a krasnolud, który naraz przypomniał sobie, jak wysoko jest komnata, drgnął wystraszony. – Przekażcie Benerii, że nie zapomniałam. Niech bogowie wam sprzyjają.

I skoczyła w mrok.

Dopiero dwa uderzenia serca później Perdu rzucił się do okna. Wychylił się i zamarł zaskoczony. Rozpięta na nieboskłonie smoczyca, niczym złota figurka w granatowy aksamicie, poruszała powoli potężnymi skrzydłami. Światło księżyca igrało w łuskach, w odwiecznym tańcu światła i cienia. Deidghe zawisała pomiędzy pustką nocy a usianym gwiazdami niebem i uśmiechając się leniwie, patrzyła wielkimi szmaragdowymi oczyma na krasnoluda.

On zaś pomyślał, że prawdą jest, iż nie ma piękniejszego stworzenia nad złotego smoka z Itru.

A kiedy smoczyca odleciała, wcisnął podarowany przez nią kamień do kieszeni i ruszył na poszukiwania królowej. Ostatecznie był szpiegiem Rady Krasnoludzkiej, synem Benerii i księcia de Gra Yudherthardere...

No i z tych przyczyn potrafił rozpoznać magiczny Rubin Uwiedzenia.

Werdeański czajniczek

Zielonooki smok ziewnął ostentacyjnie. Machnął długim srebrzystym ogonem, całkiem od niechcienia strącając śnieg z drzew.

– Wiesz, co robię z takimi, co budzą mnie z zimowej drzemki? – zapytał miękkim gardłowym głosem, od którego krasnoludowi, tak, dałby głowę, że tak, posiwiato z dwadzieścia długich pokręconych włosów w brodzie. Przesząpił z nogi na nogę i nadal, jak radziła leśna wróżka, nie patrząc w zielone ślepia, cofnął się o krok.

– No niby słyszałem – odpowiedział cicho.

– No niby... – Smok uśmiechnął się szeroko, prezentując dwa przerażające rzędy zębów, białych i śmiertelnie ostrych. – Bajki słyszałeś, drogi mój maluszk. Prawdy nie miałby kto ci powiedzieć.

Krasnolud cofnął się o kolejny krok. Bystry był i zrozumiał, co smok miał na myśli. Nadal jednak mimo strachu nie podniósł głowy.

– Pohandlować chciałem... – zaczął ponownie cicho.

– I nie mogło to poczekać do wiosny?

– Nie mogło. Czas mnie nagli...

Smok ponownie ziewnął i łagodnie postąpił o krok ku gościowi. Z trąconych olbrzymim cielskiem drzew sypnął śnieg i migocząc w porannym słońcu ciężkimi płatkami, opadł na srebrne łuski, a po nich, topiąc się pod wpływem nadal rozgrzanego snem gada, zsunął na ziemię. Stwór, prawie jak wielki pies, którego krasnolud pamiętał z dzieciństwa, liznął skórę, ścierając mknące ku ziemi płatki śniegu, i zwróciwszy nieco już poirytowane spojrzenie na mężczyznę, zapytał miękko:

– Cóż takiego mógłbyś mi zaoferować, mój drogi maluszk, czego nie mógłbym sobie zabrać sam, urywając ci wpierw tę kudłatą łepetynę?

– Nie przyniosłem żadnej cennej rzeczy na wymianę, nie jestem głupi – burknął krasnolud.

– To, że mnie wybudziłeś, nie świadczy o twojej mądrości. – Smok roześmiał się. Cmoknął głośno i zmrużywszy skośne powieki, wbił wzrok w gościa. Ten jednak wciąż wpatrywał się w śnieg u swych stóp. – Powiedz no mi, maluszk, kto ci podpowiedział, żebyś na mnie nie patrzył?

– Nie powiem. – Krasnolud wzruszył ramionami. – Obudziłem was, boście mi niezbędni, nie z głupoty. Wyjawienie imienia przyjaciela... Tak, to by była głupota.

Ledwie przebrzmiały ostatnie słowa, potężny cień błyskawicznie zasłonił świat brodacza, a gorący gadzi oddech owionął pochyloną twarz.

– Zabiję cię, a nim zjem, wyciągnę z twego ducha wszystko, czego nie chcesz mi teraz powiedzieć – obiecał miękko stwór. – I każdą myśl, którą możesz mi zaoferować.

Tym razem krasnolud nie cofnął się. Nogi mu zmiękły, ale twardo stał w miejscu. Nie bardzo jednak wiedział, czy stoi, bo galaretowate kolana nie pozwalają mu się ruszyć, czy też z innego powodu.

– Możecie to zrobić... Nie przeczę. Słyszałem, że smoki umieją zatrzymać ducha ofiary przez wiele dni w drodze w zaświaty. Słyszałem – przytaknął drżącym głosem.

– Winniście jednak wiedzieć, że moja babka była kochanką Stroidarusa... Nic z mojego ducha nie wyciągniecie.

Smok cofnął się wolno i z zastanowieniem pokręcił łbem.

– Stroidarusa, mówisz? Nie jesteś przypadkiem wnukiem Benerii?

– Ano jestem.

– To musisz być de Gra Yudherthardere? Krasnoludzki książę?

De Gra wyprostował się dumnie, jakby naraz przybyło mu ze dwa palce wzrostu, i równie dumnie uniósł głowę, zamykając jednocześnie oczy, by nie skrzyżować ich z gadzim spojrzeniem.

– Jestem Arde de Gra Yudherthardere.

– Miło mi gościć. – Smok skłonił się nieco drwiąco. – Yhkredtherdurhe Anhe Hredhertgherre. Dla przyjaciół Yh... ale w sumie nikt nigdy tak do mnie nie mówił.

– Dziwne – skonstatował Arde z kiepsko skrywaną ironią.

– Ano dziwne, toż smoki słyną z przyjacielskiej natury. Ja zaś w szczególności mam serce otwarte...

– Na pewno właściwy organ wymieniliście? – wymruczał cichuteńko krasnolud, nie mogąc się powstrzymać.

– Nie dosłyszałem? – udał Yh.

Obaj się roześmiali, każdy z własnego dowcipu.

Smok odsunął się od gościa i ciężko położył w śniegu, przez co błyskawicznie wytopił wokół siebie niewielki stawik.

– Skoro już mnie obudziłeś, mój drogi książę, a próbując wyrwać coś z twego ducha, przez uprzejme zaklęcia twej babki niczego bym nie zdołał... Powiedz, co cię sprowadza?

– Jest w waszym posiadaniu pewien drobiazg. Chciałbym go kupić. Wam on na nic, zapewne gubi się w olbrzymim skarbcu, któryście przez stulecia uzbierali. Dla mnie zaś ma wyjątkową wartość...

Yh pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Mam kilka drobiazgów, prawda. Kilka z nich od twojej babki. Beneria była wyjątkową kobietą... Jej mądrość dorównywała urodzie.

Arde ze zdumienia otworzył usta. Wiele można rzec było o jego rodzie. O ich bogactwie, starożytnym pochodzeniu, zmysłach, dzięki którym wielu z jego przodków zasłynęło jako Tropiciele Mocy, o sprycie i pewnym rodzaju inteligencji... ale uroda? Jaja sobie smok robi? Spojrzeć mu w oczy nie mógł. Leśna wróżka przestrzegła, że nawet zaklęcie babki by nie pomogło i jakby w zielone ślepia zajrzał, znalazłby się we władzy antycznego stwora. Tak więc nie mógł się upewnić, ale głos Yha i ton, którym mówił, wskazywały, że ostatnie zdanie nie było kiepskim żartem. Mimo to jednak krasnolud znowu nie potrafił się powstrzymać i zadał pytanie, którego zadawać chyba nie powinien, przynajmniej z szacunku dla świętej pamięci babki:

– Jaja sobie robicie czy chcecie obrazić pamięć matki mego ojca?

Smok zmrużył przepastne zielone ślepia.

– Dlaczego miałbym ją obrazić? Szanowałem twoją babkę. W swoim czasie obaliliśmy wiele beczulek przedniego krasnoludzkiego miodu, a i w piwnych szrankach nie miała Beneria sobie równych. Urodziwa przy tym była, że aż żal. Jakbym się odrobinę Stroidarusa nie obawiał, to może spróbowałbym u niej szans.

– Moja babka? Moja?

– No przecież, że nie moja, do jasnej Herghe!

Odwołanie do bogini wspomnień przekonało krasnoluda. Zdaje się, że smoki spaczony gust mają... tak jak i pierwotni magowie. Obaj bowiem wzdychali do krasnoludzkiej panny. Nie do elfki, nie Gaalki, nawet nie do ludzkiej kobiety, ale do krasnoludki... No cóż, bywa. Niezrozumiałe, ale bywa.

– Nie mnie się z wami wyklócać, babki nie pamiętam, a ojcu jej urodę ocenić trudno było. Zawsze mówił, że była najwspanialsza...

– Bo była – przerwał mu dobitnie gad. Machnął przy tym ogonem z irytacji. – Każdemu, kto zaprzeczy, urwę łeb bez zawahania.

– No to może ja przeczyć nie będę.

– No to może. – Smok wyszczerzył zęby. – Szanowałem Benerię, czasem nawet... no, nieważne... Z racji tego daruję ci, de Gra, przebudzenie w środku zimy. Rozdawać skarbcza jednak nie zamierzam. Nawet wnukowi takiej wspaniałej kobiety.

– Nie proszę o podarunek. Zapłacę wam. Skoro znaleźcie babkę, to wiecie, że odchodząc od Stroidarusa, trochę jego wiedzy zabrała. Oddam wam jedno zaklęcie za czajniczek.

Smok, pogrążony we wspomnieniach sprzed dwustu lat, ledwie usłyszał, o co prosi jego gość. Kiedy jednak już to do niego dotarło, zaskoczony zapatrzył się w krasnoluda.

– Czajniczek? Werdeański czajniczek?

Arde skwapliwie, acz w milczeniu pokiwał głową.

– Ale wiesz, do czego on służy?

– Wiem.

Yh ponownie się zamyślił. Zamknął oczy i złożył łeb na wyciągniętych łapach. Yudherthardere czekał długo, nadal bojąc się podnieść wzrok na smoka. Gdy jednak cisza się przedłużała, spojrzął wreszcie na stwora. Zdało mu się, że ten zasnął, gdyż potężną pierś unosił równomierny oddech, a powieki przysłaniające zielone ślepia nie drgnęły. Nie śmiał jednak ponownie budzić gospodarza, choć irytacja, rozgrzewająca krasnoludzką krew od urodzenia, z wolna przybierała na sile. Zacisnął usta, aż grube wargi zmieniły się w cienką kreskę, a mięśnie twarzy zadrgały nerwowo. Nie doczekawszy się żadnej reakcji, postąpił jednak o krok.

Naraz zielone ślepia rozwarły się.

Nim krasnolud zdążył opuścić wzrok, moc starożytnego stworzenia złapała go w sidła. Macki lodowatej siły jak połyskliwe sztylety wyrwały się z zieleni tęczówek i wbiły w krasnoludzki umysł. Cięły go, rozrzucały wspomnienia, kęs po kęsie wycinając to, czego Arde nie chciał oddać. Zagłębiały się coraz bardziej, przechodząc ze wspomnień na wyobrażenia, z wyobrażeń na myśli, z myśli na uczucia. I nagle cofnęły się rażone. Uciekały, piszcząc rozpaczliwie, jak obity szczeniak, gdy krwawe wstęgi ruszyły za nimi w pościg. Mocne, siłą pierwotnej magii, purpurowe pasma tańczyły, bijąc i tnąc, jak poprzednio smocze sztylety. Zmusiły smoka, by cofnął swoje zaklęcie i usunął intruzów z chronionej czarami głowy.

Zdziwiony gad zamrugał i zmrużył powieki.

– Coś podobnego... – mruknął.

Krasnolud też zdawał się zaskoczony. Kiedy uderzenie smoczej mocy się cofnęło, nie opuścił głowy i mógł już bez skrępowania patrzeć na antyczne stworzenie. Strach ponownie zmienił się w irytację, a ta we wściekłość.

– Chcieliście mnie zniewolić?! – wrzasnął. – A gdzie wasz honor?! Babkę wspominiacie, a potem coś takiego?!

– Nie rzucaj się, de Gra. Przyzwyczajenie takie... – przerwał mu cicho Yh. – Setki, setki lat przyzwyczajień. Nie sądziłem, że Beneria poznała takie zaklęcia... Żeby zabezpieczyć wnuka przed Smoczym Spojrzeniem... Niesamowite. Zabrała więcej magii Stroidarusa, niż myślałem... Nie patrz tak na mnie. Nie ma się co złościć.

Spróbowałem, nie udało się. Tyle. Wróćmy do naszych targów. No, chyba że twój urażony honor nie pozwala na dalsze negocjacje i rezygnujesz z werdeańskiego czajniczka?

Gniew Yudherhardere ostygł w jednej chwili, chociaż uraza w czarnych oczach pozostała. Świadomość, że mógłby nie zdobyć artefaktu, po który przybył, ochłodziła jednak wrzącą krew.

– Nie rezygnuję – warknął przez zaciśnięte zęby.

– To i dobrze, bo skoro oparłeś się Spojrzeniu, może i masz coś, czym mógłbym być zainteresowany...

Wstał powoli i nieco ociężałe wlaźł do pieczary, z której wyciągnęło go uprzednio nawoływanie krasnoluda.

Przez jakiś czas Arde stał na polanie, przestępując z nogi na nogę, trochę już zmarznięty, ale przede wszystkim zniecierpliwiony, gdyż, co wiedzą wszyscy, krasnoludy nie rodzą się zbyt powściągliwe, a z wiekiem tej cnoty ubywa im coraz bardziej. Wreszcie potężny gadzi łeb Yha wysunął się z grotu, a za nim reszta wielkiego srebrnego, pokrytego połyskującymi w słońcu łuskami ciała. Smok uśmiechał się krzywo, a w zielonych ślepiach migotał chochlik, który wyraźnie zaniepokoił krasnoluda. Skoro jednak nie potrafił czytać w myślach, a stwór zapewne nie zamierzał wyznać, co go tak ubawiło, postanowił skupić się raczej na małym przedmiocie rzuconym mu pod nogi. Pochylił się i z namaszczeniem podniósł artefakt. Delikatnie przesunął po nim palcami. Naczynie wyglądało jak setki innych, które widywał: małe, gliniane, z prostym uchwytem, poszarzałe latami. Nic nie wskazywało na jego magiczne pochodzenie. Dopiero gdy wyszeptał zaklęcie, pod dotykiem jego dłoni na ścianie czajniczka pojawiły się wyryte w glinie słowa. De Gra uśmiechnął się uszczęśliwiony.

– Widzę, że jesteś zadowolony. Nie przyzwyczajaj się zbytnio. Wciąż nie wiem, czy masz to, na czym mi zależy – złośliwie zauważył smok.

Arde oderwał wzrok od czajniczka i uśmiechając się, spojrział na stwora.

– A na czym wam zależy?

– Dawno temu zabrano mi pewien dar. Chcę go odzyskać.

– Chcecie na powrót zmiennokształtności?

Na leśnej polanie na moment zapadła cisza. Yh zaskoczony wpatrywał się w gościa. Wreszcie uśmiechnął się.

– Wiesz więcej, niż podejrzewałem. Urody co prawda nie odziedziczyłeś po babce, ale zdaje się, że rozum i owszem. Jak więc będzie? Masz takie zaklęcie?

Krasnolud skinął głową, udając jednocześnie, że nie widzi, jak zielone ślepia rozjarza pełne radości oczekiwanie. Smok przestąpił z łapy na łapę. Podrygiwał niespokojnie, jak dziecko przed kramem z łakociami.

– Zamienimy się? – zapytał ze źle skrywanym napięciem.

Nagła zamiana stron bardzo spodobała się Yudherthardere. Przez chwilę zastanawiał się, w jaki sposób wykorzystać pragnienie płonące w smoczym spojrzeniu. Jak każdy krasnolud z jego rodu, nie mógł przejść obojętnie obok możliwości wzbogacenia. Żyłkę handlu miał we krwi i mimo szlacheckiego pochodzenia był kupcem. Kalkulował więc błyskawicznie, podliczał ewentualne straty i zyski.

– Jeśli się zamienimy, dostanie się wam zakłęcie zmieniające was w człowieka... a przynajmniej będziecie wyglądać jak człowiek. Mnie zaś w udziale przypadnie czajniczek? I odejdę z waszych włości cały i zdrow. Bez wzajemnych pretensji i niedopowiedzeń?

Smok wysłuchał go z zastanowieniem.

– Dostaniesz werdeański czajnik, a ja zakłęcie. Ze wszelkimi magicznymi konsekwencjami. Bez pretensji – potaknął. – I nie będziemy wracać do tego targu.

Spojrzeli sobie głęboko w oczy, każdy świadom, że drugi coś ukrywa i pewien, że przeciwnik nie zdoła go przechytrzyć. Uśmiechnęli się szeroko, obaj w ten sam szpetny sposób. Potem Arde schował artefakt za pazuchę. Podszedł do smoka, odwiązał sakiewkę i położył przed starożytnym.

– Jak będziecie już gotowi, powtórzcie zakłęcie, które wam powiem. Żeby zadziałało, musicie wpierw zjeść jedno ziarno z mieszka. Rozumiecie? Tylko jedno ziarno.

– Rozumiem, jedno ziarno. Daj zakłęcie.

Krasnolud zaintonował:

Niech zniknie stworzenie

A ja się przemienię

Człowiek się rodzi

A smok odchodzi

Yh cofnął się zdumiony.

– Żartujesz?

– Nie. Wiem, że nikt nie nazwałby Stroidarusa poetą. Macie jednak świadomość, że nie słowa się liczą, a rytm i zaklęta w nich magia.

Smok pokiwał głową. Naraz odprężony, leniwie machnął ogonem, jak poprzednio strącając z drzew śnieg. Potrząsnął łbem, gdy spadły nań zimne, wilgotne płatki.

– Nie będę cię zatrzymywał, de Gra Yudherthardere. Wpadnij jeszcze kiedyś, chętnie powspominam twoją babkę. Mądra z niej była kobieta. Mądra i piękna.

Krasnolud uśmiechnął się. Wciąż nie mogło mu się pomieścić w głowie, że ktoś mógł matkę jego ojca nazwać piękną, ale za pazuchą miał wymarzony artefakt i zdaje się, że mógł odejść z nim cały, więc nie zamierzał kłócić się o drobiazgi.

– Żegnajcie, Yhkredtherdurhe Anhe Hredhertgherre – powtórzył imię smoka bez zająknięcia, z satysfakcją dostrzegając jego zaskoczenie. – Może rzeczywiście skorzystam z waszego zaproszenia. Kiedyś.

Wymienili ukłony. Arde szybkim krokiem ruszył w głąb lasu, gdzie zostawił kuca, odprowadzany rozbawionym spojrzeniem smoka.

* * *

Zaśnieżona siedziba rodu Krethe chyliła się ku upadkowi. Drewniane ściany pamiętające dziada pradziada obecnego barona zżerały korniki, a przez dziury w nich do środka wciskał się lodowaty wiatr, którego nawet dziesiątki spalonych polan nie były w stanie rozgrzać. Hazard, rozpusta i dziesięciolecia trwonienia pieniędzy na zbytki odbijały się na domostwie i jego mieszkańcach. Bieda już nie pukała nieśmiało do drzwi, lecz wciskała się szparami, wsuwała przez niedomykające się okiennice, gościła przy skromnych posiłkach, przyglądała się łataniu kolejnych sztuk odzieży i machała na pożegnanie kolejnym odchodzącym służącym. Wreszcie baron mimo wyraźnych sprzeciwów uznał, że musi zainwestować ostatni i zarazem jedyne skarby, jakie rodowi zostały: młodość i urodę jedynej córki. Przez nielicznych jeszcze znajomych, którzy nie odwrócili się odeń, gdy skończyły się pieniądze, rozesłał wieści na najdalsze nawet dwory, że szesnastoletnia panna gotowa jest do wyjścia za mąż. Wszem i wobec wiadomo było, że co prawda rodzina nie grzeszy bogactwem, ale zadbała o wykształcenie dziewczęcia, że jej pochodzenie nie pozostawia nic do życzenia, a o piękniejszy kwiat trudno w całej Krainie. Zaiste Irii była piękną młodą kobietą. Jedyną nadzieją, że jakiś bogaty głupiec zechce część swego majątku oddać na podreperowanie włości teścia i przyszłości trzech, na razie małoletnich, szwagrów. Baron z dumą przyjmował oferty kolejnych pretendentów do ręki. Nie naciskał zbyt wiele dziewczyny, bo i oferty zdawały mu się niewystarczające.

Aż zjawiał się de Gra.

Wpadł, by złożyć uszanowanie, gdyż jego ojciec i baron walczyli po jednej stronie w Wojnach Zaorańskich. Ledwie wszedł i jego spojrzenie spoczęło na Irii, a jasnym się stało, że to właśnie odpowiedni kandydat na męża. Bogactwo rodu Yudherthardere było legendarne. Pomnażali je przez te same wieki, przez które Krethe tracili, a

nawet dłużej, dużo dłużej. Posiadłości krasnoludzkiego rodu ciągnęły się przez całe południe Krainy. Mówiono, że nawet Król Królów nie posiada tyle co oni. Baron uszczęśliwiony patrzył na starania dziedzica znakomitego rodu o jedyną córkę. To, że jest to krasnolud... wyjątkowo szpetny krasnolud... nie miało dla niego znaczenia. Oto najznakomitszy młodzian Krainy, a już na pewno najbogatszy, prosi o rękę córeczki. To zaś, że córeczka ledwie potrafi ukryć obrzydzenie na widok kawalera, jakoś papie umknęło. Gdy jednak wreszcie dotarła do niego ta świadomość, wezwał Irii oraz jej matkę i jasno wytłumaczył, czego od obu oczekuje:

– Wyjdiesz za niego! Gównu mnie obchodzi, że jest szpetny! Ma, kurwa, więcej pieniędzy niż wszyscy możni razem wzięci! Korzenie jego nazwiska sięgają Pierwotnych! Nie rycz, głupia babo! Oddasz córkę szlachcicowi!

– Ale jak ona? To niewinne dziecko... a on to... krasnoolud. – Baronowa wybuchła płaczem.

– Może i krasnolud, ale w sypialni nie ten rozmiar jest ważny! O skarbcu pomyśl, kurwa! O synach! Wolisz, żeby szczeniaki pozdychały z głodu czy żeby nasza córeczka krasnoludzką księżniczką została?

– Ale papo! – jęknęła zrozpaczona dziewczyna.

– Ty też nie rycz. Jakoś przetrzymasz! A jak już zadba o naszą przyszłość, to się o wypadek postaramy... Wdową zostaniesz, bogatą wdową. No już, nie becz.

I tak baron uznał, że sprawa zamknięta. Na oświadczyzny krasnoludzkiego księcia, bez pytania córeczki, rzecz jasna, przystał z radością i zaczął sposobić się do wesela.

Arde zakochał się od pierwszego wejrzenia. Zakochał bez pamięci.

Dziewczę było delikatne niczym nimfy z opowiadań dziadunia. Eteryczne i słodkie. Miało delikatną jasną skórę, wielkie szafirowe oczy pełne niewysłowionej słodyczy i niewinności, karminowe usta zaś pełne, a jednak w dziwny, doskonały sposób uzupełniały śliczną twarzyczkę. Była panna przy tym drobniuteńka i maleńka, niewiele tylko wyższa od niego. Nie śmiał nawet marzyć, że mogłaby odwzajemnić jego uczucia. Jakże więc był zdziwiony, gdy pozwoliła mu, ukradkiem oczywiście, ucałować koniuszki palców. Nieśmiało przy tym odwróciła głowę, co niezwykle go ujęło. Nie zwlekał więc długo i uderzył w konkury...

Mawiają, że miłość jest ślepa. Zapewne jednak nie dotyczy to krasnoludów, gdyż de Gra dość szybko zrozumiał, że coś w tym całym dziewczęcym uczuciu się nie zgadza. Jednego dnia Irii pozwalała mu ucałować dłoń, drugiego odwracała wzrok na jego widok. Jednego niby przypadkiem unosiła rąbek sukni, by na łydkę zerknął i na chwilę stracił oddech, drugiego uciekała spłoszona jego obecnością. Jednego słuchając z pozornym zainteresowaniem jego wywodów, pochylała się tak głęboko, że

mógł w wycięciu sukni dojrzeć ciemne cienie sutków i potem długie minuty w przerębli musiał studzić rozgrzane ciało, drugiego nie chciała wyjść z pokoju, słysząc, że zajechał. Zagubiony i zmęczony grą w kotka i myszkę, posunął się do ostatecznego testu.

Matka mówiła, że nie godzi się sprawdzać uczuć, że gry z emocjami nie przystoją szlachetnie urodzonym krasnoludom. Szanował matkę, ale czasami krasnolud musi to, co musi.

Dlatego obudził z zimowego snu smoka i wyhandlował od niego werdeański czajniczek. Postawił wszystko na jedną kartę. Uznał, że jeśli nawet uczucia panny nie są szczerze, magia artefaktu da mu czas, by zastanowić się co dalej.

Popędziwszy drogą co koń wyskoczy, pod wieczór przybył na dwór. Zaprowadził zmęczone zwierzę do stajni i oporządził je, gdyż stajenni uciekli jako pierwsi. Później wszedł nieanonsowany do środka – lokajów też już nie było. Na schodach bawili się jego przyszli szwagrowie. Trzej chłopcy ledwie odrośli od podłogi. Zawołał jednego z nich i nakazał wezwać narzeczoną. Dzieciak posłusznie pobiegł wypełnić polecenie. Baron zadbał o to, by jego synowie rozumieli wartość pieniądza.

Irii zeszała, acz z wielkim ociąganiem. Widząc de Gra, ledwie zdołała ukryć niechęć. Naciągnęła na śliczne oblicze wystudiowany uśmiech.

– Witajcie, panie – przywitała go modulowanym, miękkim głosem, od którego w głowie mężczyzny zaroiły się grzeszne myśli. Jednym spojrzeniem odesłała braci. Ojciec przecież nalegał, by jak najczęściej zostawała z narzeczonym sam na sam. – Co was sprowadza o tak późnej porze?

Arde zmarszczył brwi zdziwiony. Dopiero zapadł zmierzch, więc i godzina była jak najbardziej odpowiednia do spotkań. Nie skomentował jednak pytania baronówny. Uśmiechnął się, kolejny raz podziwiając urodę dziewczęcia. Kiedy stała przed nim, nie był w stanie zebrać myśli, z trudemtrzymał się postanowienia. Taka był słodka, delikatna, zwiewna... Jakże mógł podejrzewać ją o nieuczciwość. Jakże...?

Kiedy jednak zajrzał w szafirowe tęczęwki, a nie było to łatwe, gdyż dziewczę co rusz odwracało spojrzenie, obudziła się w nim nieufność. De Gra nie byłiby tym, kim byli, gdyby zawsze i wszędzie nie zwyciężał w nich zdrowy rozsądek. Ten zaś podpowiadał najmłodszemu z rodu, że panna coś ukrywa, że duch babki, podpowiadając mu we śnie sposób przeprowadzenia próby, miał rację.

– Przywiozłem wam prezent, pani mojej duszy i serca – zaczął więc kwieście, głęboko się kłaniając. W oczach panny rozblęsnął blask, którego jej narzeczony wołał sobie nie tłumaczyć. Serce drgnęło boleśnie, gdy wyjmował z zanadrza czajniczek.

– To tylko dzbanek. – Irii nie zdołała ukryć rozczarowania.

– Nie zwykły dzbanek, duszo moja. To magiczne naczynie. – Podał jej czajniczek – Jeśli potrzebujesz ściankę, dojrzyś wypisane nań zaklęcie, widzisz?

Dziewczyna zrobiła, co kazał, i rzeczywiście pod palcami pojawiły się słowa.

– I co on robi? – Szafirowe oczy znów błyszczały. – Spełnia życzenia? Przynosi skarby? Brylanty? Złoto?

– Niezupełnie...

– Więc? Jaka to magia? – Dziewczę uniosło głos.

Arde zawahał się. Wyglądała tak pięknie, tak niewinnie, świeżo jak... jak wiosna... jak...

– No? Dalej! Jaka to magia?!

De Gra westchnął i wreszcie odpowiedział.

– Jeśli znajdziesz się blisko swego wroga i potrzebujesz runy, a potem głośno je przeczytasz, dzbanek uwięzi go w swoim wnętrzu.

Długie rzęsy zadrżały. Pełne usta rozchyliły w radosnym uśmiechu.

– Naprawdę? W takim małym dzbanuszk?

– To stara magia, pierwotna.

– I wystarczy, że potrę, o tak? – Zrobiła to, patrząc w oczy narzeczonego. – I powiem: „Otwieram bramy w mrok prowadzące, niech połkną duszę twoją i ciało”?

– Irii – dokończył smutno Arde. – Tak, to wystarczy.

Potężna światłość otoczyła dziewczynę. Nie zdążyła nawet krzyknąć, gdy moc artefaktu zamknęła się wokół niej. Dzbanek wypadł z zeszywniałych naraz dłoni i potoczył się bezgłośnie po marmurowej posadzce, nawet się nie uszczerbiwszy. Blask, jaśniejący niczym letnie słońce w zenicie, błyskawicznie malał, aż zmienił się w kroplę światła. Ta zaś zadygotała, zatańczyła i łagodnym łukiem wsunęła się w dziobek naczynia. Glina zapłonęła jaskrawą bielą, a litery na ścianie wypaliły się krwawym atramentem. Poniżej zaklęcia zapłonęło nowe słowo. Imię. Irii.

– Trzeba jeszcze dodać imię, moja droga – wyszeptał krasnolud, sięgając po naczynie. – Imię tego, kto ma być uwięziony.

Grube, krótkie palce prawie dosięgały artefaktu, gdy ten znikł. De Gra zamarł zaskoczony. Błyskawicznie rzucił się na podłogę. Chaotycznie dotykał miejsca, w którym dopiero co leżało naczynie. Nie było go. Jeszcze przed chwilą płonęło bielą i krwią, a potem... bez błyskawic, huk, po prostu przestało istnieć na marmurowej posadzce... a razem z nim uwięziona wewnątrz baronówna.

– Yhkredtherdurhe! – warknął wściekle krasnolud. Poderwał się z podłogi i rzucił ku drzwiom.

I nagle stanął. A potem uśmiechnął zjadliwie. Szerokim, brzydkim uśmiechem.

– Yhkredtherdurhe – powtórzył i już spokojnie ruszył do wyjścia.

* * *

Smok przygotowywał się do tej chwili od setek lat. Tęsknił do niej, pragnął jej, pożądał każdą cząstką smoczego, potężnego ciała. Był magiczną istotą. Straszliwą i nieśmiertelną. Miał jednak zwykłe potrzeby. Musiał jeść, musiał pić, musiał wydalac i musiał spać. To było mu potrzebne do nieśmiertelnego istnienia. Pokładzin potrzebował, by to istnienie sprawiało mu przyjemność. Niestety smocze chędożenie budziło w nim niesmak, a dwie setki lat temu wściekły mag nałożył na niego klątwę, by nie mógł przywdziać ludzkiej postaci.

Dwie setki lat bez ukojenia. Dwie setki lat bez prawdziwego spełnienia właśnie dobiegły końca.

Położył się u wejścia do jaskini, przełknął ziarno, wypowiedział zaklęcie i czekał.

A po chwili, szybkiej i bezbolesnej, chociaż pamiętał, że przemianie powinien towarzyszyć ból, gdy uniósł łapy, zamiast nich zobaczył mocne, duże dłonie. Roześmiał się głośno i poderwał na równe nogi. Biegiem ruszył w głąb groty, by tam, w kryształowym lustrze, które zdobył, łupiąc książęcy dwór przed stuleciem, a które nadal błyszczało czystym odbiciem, by w tymże zwierciadle zobaczyć siebie – człowieka.

Wreszcie zobaczył. Wysoki mężczyzna, potężnie zbudowany, nie pierwszej już młodości, ale nadal niestary, przyglądał mu się z krzywym uśmiechem. Miał mocne ciało, długie nogi i twarz, która może nie zachwyciłaby poety, ale, to wiedział z pewnością, pociągała kobiety. Tak, to była jego powierzchowność. Starsza, niż pamiętał, ale wciąż w dobrej formie. Z radości uderzył dłońmi w umięśnione i owłosione silne uda. Nareszcie!

Z trudem odwrócił się od swego odbicia. Rozejrzał się.

Urządził w tej pieczarze komnatę jakby przeniesioną z najbogatszego domu Krainy. Ściany wyłożone były drogimi materiałami, na których purpura i złoto tańczyły, opowiadając zamierzchłe historie. Na kamieniach podłóża rozrzucił dziesiątki drogich futer. Część z nich sam zdał ze swoich ofiar: niedźwiedzi, łani, dzików. Część odkupił wieki temu, gdy jeszcze często chodził pośród ludzi w ich postaci. Przeszedł po miękkich dywanach i usiadł na łożu. Sam je wybrał, przed stuleciami, acz jak dotąd nie zdołał z niego skorzystać. Teraz położył się pośród miękkości zaorańskiego jedwabiu, pozwalając, by miękka materia pieściła mu skórę. Z przyjemności zmrużył oczy...

Cichy brzęk wyrwał go z marzeń. Na podłodze, przy płonącym palenisku, które sam zapalił jeszcze przed przemianą, pośród setek sztuk złota, pereł i drogocennych kamieni, pojawił się mały gliniany czajnik. Yh uśmiechnął się lekko.

– Cóż, de Gra, dziury w wykształceniu – wymruczał cicho. – Czajnik zawsze po wypełnieniu wraca do właściciela. Gdybym powiedział, że ci go oddaję... ale nie powiedziałem, prawda? – Roześmiał się złośliwie. Z namaszczeniem uniósł naczynie, prawie z tą samą nabożną czułością co poprzednio krasnolud, i przesunął opuszkami po jego ściankach.

Krew tętniła w skroniach. Podniecenie płonęło żywym ogniem pod skórą.

– Uwalniam cię, Irii. Jesteś moja – wyszeptał i odłożywszy czajniczek, wrócił na łóżce.

Ta sama światłość, która przed chwilą zamknęła dziewczynę, rozbłysła teraz w jaskini, by uwieczoną uwolnić. Kropelka słońca wymknęła się z dzbanuszka i potężniejąc błyskawicznie, tańczyła w powietrzu. Nabierała kształtów, rozrastała się szybciej niż mgnienie powieki. Wreszcie upadła na podłogę, a blask zgasł.

Dziewczyna była dokładnie taka, jaką smok dojrzał we wspomnieniach krasnoluda, nim wygnała go z nich moc pierwotnego maga. Śliczna, zwiewna, delikatna, niczym uosobienie niewinności i uroku. Rozglądała się zdezorientowana. Szafirowe oczy spoczęły na rozsypanych na podłodze kosztownościach. Nie zerknęła, lecz zapatrzyła się z większym pożądaniem, niż on patrzył na nią. Długo, czule.

Chrząknął cicho. Dopiero wtedy panna przeniosła wzrok na niego. Otaksowała go, kompletnie niezgorszona nagością gospodarza.

– Gdzie jestem? – zapytała słodkim głosem.

Wpatrywał się w nią w milczeniu.

– Kim ty jesteś? – zapytała ponownie tym samym zwodniczym tonem.

Wreszcie przypomniał sobie. Był człowiekiem. Smocze spojrzenie nie działało.

– Jesteś w moim domu. – Podniósł się powoli. Podszedł do dziewczyny. Blisko, bardzo blisko. Tak, że czuł piżmowy zapach jej skóry. – Należysz do mnie.

Przez chwilę krzyżowali ze sobą spojrzenia. Potem wzrok dziewczyny ponownie zabłądził w bogactwa. Uśmiechnęła się miękko.

– Nie wiem, panie... – szepnęła, kładąc dłoń na ramieniu mężczyzny.

– Tęskniłem do takiej słodkiej, małej dziewczicy jak ty – wymruczał, wtulając twarz w jej włosy.

Parsknęła cicho.

– Dziewicy? No toś się trochę spóźnił.

I zaraz potem udowodniła mu, że mówi prawdę.

* * *

Yhkredtherdurhe przeciągnął się z zadowoleniem. Na zewnątrz wstawał dzień. W łożu obok niego spała dziewczyna z ogłupiałym uśmiechem na rozchyłonych pełnych wargach. Kilkanaście godzin zmagania mogło zmęczyć nawet taką dzielą małą wojowniczkę jak ona. Roześmiał się cicho, chociaż, tego był pewien, teraz nie obudziłyby jej nawet grzmoty. I taką pannę wybrał sobie krasnolud! Bez żartów, zamęczyłaby go! Tutaj lepiej się sprawdzi...

Tak, czuł lekkie wyrzuty sumienia. Ostatecznie oszukał wnuka Benerii. Cóż, na wojnie i w miłości... Zresztą dla kurdupla lepiej będzie, jeśli znajdzie sobie miłą, prostą krasnoludkę, która pokocha jego, nie majątek de Gra.

Przeciągnął się raz jeszcze. Zaspokojone pożądanie słodko rozgrzewało żyły, ale praca, jaką w to zaspokojenie włożył, wzmogła apetyt. Trzeba by zapolować. Rozwinąć skrzydła, pokrażyć nad lasem, zjeść jakąś łanię albo lepiej, niedźwiedzia wyrwać z zimowej drzemki. Trzeba mu sił na kolejną noc. Głośne burczenie w brzuchu pogłębiło uśmiech. Ano, trzeba wrócić do własnego ciała...

Nagle uśmiech zgaś. Cholera! Tak się cieszył z zaklęcia, że zapomniał zapytać...

Jak zrzucić ludzką skórę?!!!

Ciszę poranka rozerwał wrzask:

– De Gra!!!

Kto nie słucha ojca, matki...

Mamusia mówiła: „Nie czyn drugiemu, co tobie niemiłe”.

Ojciec zawsze dodawał: „Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada”.

Yhkredtherdurhe Anhe Hredhertgherre, dla przyjaciół Yh – chociaż z niewiadomych przyczyn nikt tak doń nie mówił – pamiętał napomnienia rodziców. Słyszał gdzieś, że słonie mają wyśmienitą pamięć – smoki, wierzcie mi, smoki mają jeszcze lepszą. Niczego nie zapominają. Dlatego Yh pamiętał każde słowo rodziców. Jednak pamiętać a stosować... to zupełnie co innego.

Usiadł więc na łożu obok śpiącej kochanki i nie pierwszy raz w swoim życiu pożałował, że napomnień rodzicielskich nie słuchał. Oj, nie pierwszy raz. Zerknął z rozszaleniem na dziewczynę, a potem wsparł łokcie na kolanach, głowę schował w dłoniach i wyszeptał:

– Wszystko przez chuć. Jasna cholera, znowu wszystko przez chuć.

* * *

Dwieście lat wcześniej – z górką...

Przy wozach rozstawionych dookoła ogniska krzątały się kobiety. Mężczyźni zasiedli wokół ognia i pociągając z przeróżnych butelek, raczyli się opowieściami. Płomienie unosiły się ku niebu, drewno trzaskało, sypiąc skry. Nad paleniskiem wolno obracały się dwa dziki, a pikantny aromat pieczonego mięsa roznosił się po polanie.

– ...nigdy. – Kościsty krasnolud zawiesił głos. Sięgnął po małą pękatą butelkę z szafirowego szkła i pociągnął potężny łyk miodu. – Se wyobrażacie? Co rusz to nowe zagadki, nowe zadania. Jużesmy dawno krzyżyk na zaślubinach jaśnie panienki położyli. Bo i kto widział, żeby baba o swoim losie decydowała, ha? Głupi ten nasz jaśnie pan... Oj, głupi.

– Dyc, że nie najmędrszy, skoro córce męża wybrać pozwolił – przytaknął duży rudy kupiec. – Ale prawcie dalej.

– Prawcie, prawcie – poparli go pozostali siedzący.

– Ostatnio przybyli książęta zza morza. Trzech ich było, wysokie chłopcy, zaprawione w bojach. Może i nie gładkolice, ale przeca nie królowej nam trza, ino króla, kiedy nasz jaśnie panujący kojfnie. Sąsiadów mamy takich, co to ino czekają, jak Jarmuszka schedę po ojcu weźmie. Jak się skrzykną, to nowa królowa ani kwiknie. No i jak ci królewice zjechały, tośmy się cieszyć poczęli, że się wreszcie jakiś

porządny kandydat trafił... Ale gdzie tam! Panna kazała im wiersze pisać. Wiersze! Toż na pierwsze widzenie znać było, że książki to ino przypadkiem chłopcy gdzieś na półce widzieli, a i tak nie wiedzą, do czego zacz. Jeden nawet coś tam próbował. Jakoś tak szło... – Krasnolud podrapał się po głowie, a potem uśmiechnął szeroko. – Już wiem: zem takiego nie macał lica ani nie wgapiał w oczy jak świca.

Zgromadzeni buchnęli śmiechem. Nawet ci, dla których owe rymy zdały się całkiem przyzwoite.

– I co? I co? – dopytywał się rudy kupiec.

– Jak to co? – Bazarz wzruszył ramionami. – Jarmuszka kazała chłopom manatki pakować, bo próby nie przeszli i się nie nadają.

– I wyjechali? Ot tak? Nie kazał ich król ściąć? – Niewysoki nerwowy młodzian wyglądał na rozczarowanego.

– Oczadziałeś, synku?! – warknął krasnolud. – Mało to król nasz musi się nagibać, coby nikt nam wojny nie wypowiedział przez Jarmuszcyne pomysły? Miałby okoliczne książęta wyrzynać? Toż głupie te młode dzisiaj. Naczytają się bajd i gadają po próżnicy.

Starsi pokiwali mądrze głowami. Młody już się więcej nie odezwał.

– A ładna przynajmniej ta wasza królewna? – zapytał siedzący daleko od ogniska potężny mężczyzna.

Krasnolud znowu wzruszył ramionami.

– Nawet jakby szpetniejsza była od starej ropuchy, i tak staraliby się o jej rękę. Królestwo mamy zacne...

– To ładna czy nie? – łagodnie dopytywał się mężczyzna.

Bazarz zmarszczył olbrzymi nochał.

– Wiecie, że mamy na Smoczycych Wzgórzach kopalnie diamentów? – Zawiesił głos i rozejrzał się po obecnych. Pokiwali głowami. Rzeczywiście, Wzgórze słynęły z bogactw. Dlatego tamtejszy król bał się najeźdźców. – No to se wydumajcie, że to nie diamenty są u nas najcudniejsze, ino Jarmuszka.

Mężczyźni sapnęli cicho.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu. Każdemu przebiegła przez głowę myśl, jak by to było zdobyć pannę tak zacnej urody. Nad staniem w szranki zastanawiali się nawet ci, których żony krzętały się przy wozach. Albowiem żona żoną, a krasawica i najbogatsze królestwo w Krainie – oj, rzecz to nie do pogardzenia. Przy odpowiedniej majątności to i węzeł małżeński można szybko rozwiązać.

Potężny mężczyzna, który dopytywał się o urodę królewny, wstał powoli i odszedł w ciemność. Nikt się tym specjalnie nie przejął. Nikt nie pamiętał, jak wielkolud o

długich włosach koloru księżycowej poświaty znalazł się między nimi. Toteż nikt nie zauważył jego zniknięcia.

Tymczasem Yh wszedł między drzewa, a po chwili srebrnołuski smok uniósł się ponad wierzchołkami i niezauważony poleciał w kierunku królestwa Jarmuszki.

* * *

Jarmulena, królowna Smoczych Wzgórz i jedyna córka łaskawie panującego króla Edmona, powszechnie zwana Jarmuszką, siedziała w oknie swojej komnaty i wpatrywała się w horyzont. Gdzieś tam, daleko był wielki, piękny świat pełen przygód, niezwykłych stworzeń, cudownych roślin i drzew. Świat, w którym żyli rycerze, piraci, czarodzieje, smoki... A tak! Smoki! Tyle wspaniałych rzeczy czekało za horyzontem.

Poprawiła złoty loczek opadający na zarumieniony policzek.

Tyle wspaniałych rzeczy, a ona nigdy ich nie zobaczy. Wyjdzie za jakiegoś nudnego księcia, urodzi mu stado bachorów i na zawsze ugrzęźnie w brylantowym pałacu.

Westchnęła ciężko. Drobne palce przemknęły pieszczotliwie po szybie. Pochyliła się ku oknu i oparła o nie czoło. Gdzieś tam mieszkał wspaniały mężczyzna. Pokazałby jej te wszystkie wspaniałości, przeżył z nią każdą wymarzoną przygodę. Kochałby się na złocistym piasku albo na szczycie magicznej góry. Gdzieś tam... A ona tego wymarzonego kochanka nigdy nie spotka.

Odwróciła się i zeskoczyła z marmurowego parapetu. Poprawiła turkusową suknię, uśmiechając się zimno. Dzisiaj za to spotka dwóch kolejnych konkurentów. Wymyśliła już dla nich jedną... a nawet dwie próby. Ojciec znów będzie niezadowolony. Cóż, trudno. Sam niech się żeni z jakimś wielkim półgłówkiem. Wychodząc z komnaty, cicho zamknęła drzwi.

Potężny srebrnołuski łeb wychynał zza węgła. Zielone oczy zerknęły przez okno do sypialni królowny.

Mamusia zawsze powtarzała, że nieładnie jest podsłuchiwać.

A tato dodawał: zwłaszcza cudzych myśli.

Yhkredtherdurhe Anhe Hredhertgherre, dla przyjaciół Yh, rzadko stosował się do rodzicielskich pouczeń.

* * *

Z ogromną przyjemnością Yh zauważył, że chudy krasnolud miał rację. Królowna zaiste była najpiękniejszym klejnotem Smoczych Wzgórz. Nawet gdy z

naburmuszoną miną wpatrywała się w obu konkurentów, uderzając palcami w złoty podłokietnik.

– Panowie Yh Anhe i Ortus Serede – powtórzył nazwiska zalotników król, ponuro przyglądając się córce. – Rzekłbym, że miło mi was gościć... gdyby nie okoliczności. Jesteście pewni, że chcecie konkurować o rękę mojej jedynaczki? Wiem, że dziwnie to brzmi w ustach ojca, ale wolałbym przyjmować tak zacnych gości z innej przyczyny.

– Rzeczywiście, panie, dziwnie to brzmi – zgodził się ciemnowłosy młodzieniec stojący po prawicy Yha. – Należę do szlacheckiego rodu, moje posiadłości niewiele są mniejsze od waszego królestwa, nie gnębią mnie żadne choroby, a i charakter mam niezgorszy. Niczego mi nie brak, jak widać, a i szanowny pan Anhe – wskazał na jasnowłosego olbrzyma – zdaje się zacnym mężczyzną. Czemuż to wam, mości królu, nie w smak nasze konkury?

– Źleście mnie zrozumieli, panowie – szybko odpowiedział Edmon, wstając z tronu i podchodząc do obu młodzieńców. – Nie wy stanowicie problem. Ojciec mój, niech bogowie przyjmą go na swe łono, całe życie podejmował mądre decyzje, krajem rządził uczciwie, bogactw mu pomnażał. Miał jednak ogromną słabość do swej jedynej wnusi. – Król spojrzał krytycznie na dziewczę, a to przewróciło oczyma i parsknęło cicho. – I tak się stało, że umierając, wyraził wolę, by taż wnusia sama wybrała sobie męża. Tak, wiem, to nieobyčajne, a i nie najmądrzejsze. Jednak wola umierającego rzecz święta i uszanować ją trzeba. Jarmuleny nikt do wyboru przymuszać nie może.

Trzej mężczyźni spojrzeli na panienkę, a ona uśmiechnęła się radośnie. Wstała, podeszła do stołu i wzięła z niego drewniany kuferek. Siermiężność pudełka kontrastowała z bogactwem biżuterii zdobiącej trzymające je dłonie.

Dziewczyna uniosła wieko i oczom patrzących ukazał się ogromny diament leżący w jedwabnej pierzynie. Słońce tańczyło w krzywiznach, skrzyło i oślepiało. Goście wstrzymali oddech, gapiąc się jak zaczarowani w drogocenny kamień. Król zaś uniósł oczy ku niebu, bezgłośnie przyzywając wszystkich znanych sobie bogów na pomoc.

– To Westchnienie Nimfy – szepnęła Jarmuszka, jak zwykle ulegając magii klejnotu. Z uwielbieniem przesunęła palcami po kantach szlifów, czując przyspieszające tętno. Policzki dziewczęcia zarumieniły się, a oczy rozbłyły. Kiedy uniosła je na dwóch młodzieńców, pełne czułości spojrzenie niemal pozbawiło ich tchu. Zachwyt brylantem rozświetlił twarz królowej, czyniąc ją idealnie piękną. – Najdoskonalszy diament spośród wydobytych w naszych kopalniach, oszlifowany przez delghartowskie krasnoludy. – Z ociąganiem zamknęła kuferek. – Za trzy dni

będzie najdłuższy dzień w roku. Pradziad mojego pradziada ustanowił go świętem. Wieczorem urządzimy bal, który każdego roku jest największym przyjęciem w Krainie... Przywieźcie mi, panowie, na ten bal klejnot równie doskonały jak Westchnienie Nimfy. Takie mam dla was zadanie. A teraz, proszę, pozwólcie, że się oddalę. – Dygnęła grzecznie i nie czekając na zgodę, wyszła, tuląc do piersi drewniane pudełko.

* * *

Słońce w zenicie pieściło skórę srebrnego smoka, gdy wzbijał się ku górze i pikował ku ziemi. Latanie sprawiało mu fizyczną przyjemność, porównywalną jedynie ze spełnieniem. Potężne skrzydła poruszały się leniwie, unosząc ogromne ciało. Promienie odbijały się w srebrnych łuskach jak w tysiącu małych zwierciadeł. Bogowie przeglądali się w skórze stwora, gdy majestatycznie szybował ku niebu.

Albowiem niewiele jest rzeczy piękniejszych od lecącego smoka.

Yh zostawił daleko za sobą Smocze Wzgórza, a później bezkresne lasy i rozległe podsyrellskie pola. Leciał na wschód, nad morze, w odwiedziny. Lecąc zaś, uśmiechał się, gdyż krańskie widoki nieustannie go zachwycaly. Ich różnorodność radowała smocze serce. Każde z miejsc było mu bliskie, ale żadne nie uszczęśliwiał tak, jak czysty błękit morskich wód. Matka mówiła, że to kropla syreniej krwi tak wiąże go z morzem. Ojciec mruczał, że raczej syrenie kuzynki.

Smok zachichotał, a potem odetchnął głęboko, wciągając ostry, słony zapach morskiej bryzy. Zmrużył powieki. Tak właśnie wyglądało szczęście: słoneczny dzień, aromat morza i świat oglądany z wysokości chmur. Do ideału brakowało tylko...

I właśnie wtedy dojrzał tę, której brakowało mu do ideału.

Złotowłosa syrena wybiła się spośród fal. Wyskoczyła wysoko i wykręciła w powietrzu salto. Ogon uderzył w taflę wody, gdy dziewczyna wracała w odmęty. Wynurzyła się po chwili. Spojrzała w górę i pomachała ręką, a potem przyłożyła dłoń do ust, by przesłać smokowi pocałunek.

Yh zniżył lot. Zawisł nad syreną. Skrzydła ruszały się powolutku, tworząc na nieruchomej dotychczas płaszczyźnie drobne fale.

– Yhkredtherdurhe! – Syrena odgarnęła długie loki z twarzy, świadomie odsłaniając również doskonałe piersi. – Ileż to już lat? Chyba z dziesięć!

Yh, jako iż miał smoczą pamięć, sprecyzował:

– Dziewięć lat, trzy miesiące i dwa dni, Aruniu.

– Mam nadzieję, że tęskniłeś przynajmniej w połowie tak mocno jak ja. – Syrena uśmiechnęła się zalotnie.

– Słoneczko moje, każdego dnia.

Wyciągnęła ku niemu ręce, a smok pochylił się ku kuzynce. Złapała olbrzymi kark, Yh zaś poderwał się w górę, wyrывая dziewczynę z wody. Kiedy ostania kropla spłynęła z syreniego ogona, ten w jednym momencie zmienił się w długie, szczupłe nogi. Arunia, wciąż trzymając się smoczej szyi, wskoczyła na grzbiet kuzyna. Mocne uda zacisnęły się na gadzim ciele, a śliczna twarz wtuliła w srebrnołuski kark. Jego właściciel wzbil się wysoko. Tym razem skrzydła mocno biły powietrze. Lecieli szybko. Kilka uderzeń serca i Yh wylądował na malowniczej plaży.

Syrena zsunęła się ze smoczego grzbietu, miękko opadając na ciepły pszeniczny piasek. Leżała wsparta na łokciach, z lekko rozchyłonymi udami, i uśmiechała się.

Łuski znikły błyskawicznie. Ciało skurczyło się, nabierając ludzkich kształtów, malując twarde mięśnie pod napiętą opaloną skórą.

– Zawsze byłeś pięknym mężczyzną, kuzynie. – Szept brzmiał jak uwodzicielska pieśń. Syrena wyciągnęła ręce.

Osunął się łagodnie między rozwarte uda. Usta się spotkały, języki splątały. Nogi kobiety zacisnęły się wokół jego bioder, paznokcie wbiły w skórę ramion. Wszedł, czując zaciskające się mięśnie kochanki. Poruszył się. Powoli. Tak, jak lubiła. Jej oddech nadawał rytm. Coraz szybszy. Coraz gwałtowniejszy...

O tak, tak! Jak latanie!

Doszli niemal jednocześnie, z krzykiem na ustach.

Yh przewrócił się na plecy i pociągnął dziewczynę na siebie. Zamknął ją w mocnym objęciu, wdychając słony zapach syrenich włosów.

– Więc jednak tęskniłeś. – Arunia zachichotała. Zaraz jednak przestała, bo palce mężczyzny rozpoczęły odwieczny taniec pieśzczot. Odetchnęła, pojękując cicho, prężyła się, naciskając dłoń kochanka i ocierając się piersiami o jego tors.

Po chwili znowu krzyczała.

– Ano, trochę tęskniłem – szepnął jej do ucha.

Uśmiechnęła się. Przez chwilę leżeli w ciszy, czytając wzajemnie wspomnienia, słuchając bicia serc, czekali, aż oddechy się wyrównają, a słabość po gwałtownym spełnieniu minie.

– Nigdy nie będę miała cię dosyć, kuzynie – szepnęła dziewczyna. – Raz na dziesięć lat to trochę rzadko.

– Dziewięć lat, trzy...

– Miesiące i dwa dni – dokończyła. – Pamiętam. Więc? Co cię do mnie sprowadza, kochanie?

– Przecież wiesz.

– Wiem. I rani moje uczucia nie to, że odwiedzasz mnie za potrzebą, ale że tą potrzebą nie jestem ja.

Uśmiechnął się przepaszająco.

– Ty też, kuzyneczko, poniekąd – wyszeptał. A potem szybko dodał: – Użyczysz mi jej?

Usiadła i spojrzała mu w oczy.

– Zamierzasz się ożenić z tym dzieciakiem?

– Nie wiem. Może. Ty mnie nie chciałaś, a ona jest ładna, młoda i bogata. I mądra. Miło spotkać mądrą pannę.

– I jest człowiekiem!

– Ja poniekąd również. – Wzruszył ramionami. – Mama chce mieć synową. Ojciec też.

– I na pewno marzy o ludzkiej kobiecie!

– Jego matka była człowiekiem... Arunio, słońce moje, czy ty przypadkiem nie jesteś zazdrosna?

Fuknęła wściekle. Chciała wstać, ale Yh złapał ją za rękę, przyciągnął i pocałował.

– Nie złość się, małeńka – wymruczał, nie wypuszczając jej z objęć. – Nie wiem, czy się z nią ożenię. Chcę po prostu wygrać. Lubię... współzawodnictwo. O klejnot też się nie martw. Przecież wiesz, że go zwrócę, prawda?

Milczała przez chwilę. Wreszcie westchnęła.

– Możesz mnie puścić – powiedziała miękko. – Przyniosę ją.

* * *

Pałac tonął w świetle. Przez otwarte drzwi sali balowej do ogrodu docierał hałas przyjęcia. Siedzący w altance Yh wsparł głowę o drewnianą ściankę i wsłuchał się w delikatne brzmienie harfy. Trudno było je wychwycić w natłoku dźwięków, w harmidrze rozmów, pobrzękiwaniu sztuców, zawodzeniu bardów. Mimo to smok słyszał każdy ton, każde drgnienie struny. Ktokolwiek grał, potrafił to robić. Instrument śpiewał cudną historię, przenosił słuchającego do odległego świata, koł i ożywiał jednocześnie. Yh przymknął powieki i poddał się melodii.

– Wróciłeś. – Głos Ortusa wyrwał olbrzyma z zamyślenia. Smok niechętnie otworzył oczy i w milczeniu przyjrzał się konkurentowi. – Myślałem, że nie wrócisz. W takim razie mam dla ciebie propozycję. Opuść starania, a sownie cię wynagrodzę.

Yh uśmiechnął się leniwie.

– Jak sownie? – zapytał miękko.

– Oddam ci największą kopalnię. Po ślubie z królowną, oczywiście.

Jasnowłosa roześmiał się.

– Najpierw musiałbyś się z nią ożenić, a to, jak wiemy, wcale pewne nie jest. I dlaczego miałbym oddać szansę na ślub z nadobną panią za mglistą obietnicę? Może to miłość? Może nie potrafię żyć bez Jarmuszki?

Ciemnowłosa młodzieniec zachnął się gwałtownie.

– Wcale jej nie chcesz! Dla ciebie to tylko zabawa! A ja muszę...! – przerwał nagle, świadomy, że może powiedział za dużo.

Smok zmarszczył brwi. Chętnie wślizgnąłby się w myśli mężczyzny, ale nie znając przeciwnika, wolał nie próbować.

– Przykro mi – powiedział poważnie – ale zamierzam zdobyć rękę królowny. Z całą, jakże urokliwą, resztą panią.

Młodzian szarpnął się, jakby chciał uderzyć Yha. Zaciśnął zęby i postąpiwszy krok ku siedzącemu, wyszeptał:

– Na twoim miejscu, panie Yh Anhe, ustąpiłbym. Nie warto robić sobie wroga z mojej rodziny.

Coś niepokojąco znajomego było w tym szepcie. Smok zmarszczył brwi, ale chociaż poczuł się nieswojo, nie ustąpił. Uniósł się z ławy, a potem pochylił nad szlachcicem, który sięgał mu ledwie do brody, i równie cicho powiedział:

– Ze mną, mój panie, też nie warto zadzierać. Teraz zaś wybaczyć, zdaje się, że moja przyszła żona nas oczekuje.

I ruszył do pałacu.

* * *

Muzyka ucichła. Jarmuszka, odziana w tkaną złotą nicią i haftowaną brylantami suknię, wyglądała szczególnie pięknie. Zwłaszcza że upięte wysoko włosy odsłoniły łabędzią szyję panią, a głęboki dekolt miękką krzywiznę piersi. Smok, choć przed chwilą jeszcze czuł się nasycony, poczuł naraz gwałtowny głód.

Goście rozsunęli się. Pod nieobecność władcy królowna była gospodynią i wszyscy patrzyli na nią.

Dziewczę uśmiechnęło się do obu konkurentów.

– Witajcie, panowie. Radam was znowu gościć – przywitała ich ze słabo skrywaną ironią. – Chociaż szczerze wyznam, że nie spodziewałam się waszego powrotu. Nie chcę trzymać was w niepewności, więc proszę, pokażcie mi, jakież klejnoty, waszym zdaniem, mogłyby się równać z Westchnieniem Nimfy.

Przez tłum zgromadzonych przemknął szmer zaskoczenia. Dotychczas nikt nie wiedział, jakie zadanie tym razem przypadło w udziale konkurentom. Pałacowa służba, kiedy trzeba, potrafiła dotrzymać tajemnicy. Tym bardziej że na takiej tajemnicy można było nieźle się obłowić. Od miesięcy stawiano zakłady o to, jakie będą kolejne wymagania królowny. Przy każdym nowym konkurencie stawki były wyższe.

Nie ma co, dzięki Jarmuszce bawiło się całe królestwo.

Dotychczas jednak dziewczyna wymyślała wykonalne zadania. Nikt zaś, kto widział legendarny brylant, nie wierzył, by znalezienie porównywalnego kamienia było możliwe.

– Pani – zaczął Ortus, klękając na jedno kolano przed królowną – długo szukałem klejnotu godnego twojej urody. Przemierzałem miasta i wioski, żeby znaleźć niemożliwe. Albowiem nic nie może równać się ze światłem twoich oczu, z blaskiem skóry, czerwienią ust. – Zawiesił głos, przyglądając się wybrance. Zdało się naraz, że cała sala wraz z panną wstrzymała dech, czekając dalszego ciągu. Melodia słów uwodziła na równi z jedwabiem głosu.

Jedyną osobą nieoczarowaną przemówieniem był smok. Jak inni wpatrywał się w mówiącego, lecz w przeciwieństwie do pozostałych był odporny na ten rodzaj magii. Zmarszczył jednak brwi, uświadamiając sobie naraz sens ostrzeżenia usłyszanego w altance.

– Nie znalazłem nic równego tobie, pani. Racz więc przyjąć ten skromny klejnot. – Młodzieniec wyciągnął ku Jarmuszce rękę, na której ledwie mieścił się olbrzymi, czerwony jak krew rubin.

Zgromadzeni westchnęli głośno. Kamień na dłoni królewskiego wielbiciela wyglądał jak wydarte z piersi serce darowane z pełnym rozpaczą oddaniem. Dziewczyna postąpiła krok i z wahaniem wzięła w dłoń krwawy klejnot. Magia ustąpiła, a salą wstrząsnęła burza oklasków.

Ortus podniósł się z kolan. Wykonał głęboki ukłon, a potem ze złośliwą satysfakcją zerknął na współzawodnika. Smok skinął głową z uznaniem, a później sam pokłonił się dziewczynie.

Obecni przy przemówieniu smoka przez dziesiątki lat próbowali sobie przypomnieć, co takiego powiedział, że albo płakali, albo przynajmniej brakowało im tchu ze wzruszenia. Przez kolejne lata zastanawiali się, jakich użył słów, że – chociaż ich nie pamiętają – na wspomnienie tamtego wieczoru pragną kochać, tulić i pieścić aż do końca.

Tak działała syrenia magia ogromnej czarnej perły, po którą Yh poleciał do kuzynki.

Kiedy królowna zamknęła palce na klejnocie, a magia ucichła, miast okrzyków i braw w komnacie słychać było szlochy i westchnienia. Kilka delikatniejszych szlachcianek zemdłało. Wszyscy, nieprawdopodobnie wzruszeni, ledwie byli w stanie oddychać.

Tym razem to Yh uśmiechnął się z wyższością, zerkając na konkurenta.

Królowna wpatrywała się nieprzytomnie w obu adoratorów. Magiczne klejnoty w jej dłoniach rozgrzewały skórę, a moce w nich zaklęte walczyły między sobą o pierwszeństwo w duszy dziewczęcia. Setki myśli, dziesiątki obrazów, to młodego bruneta, to potężnego blondyna, tańczyły w umyśle, a wzajemnie znoszące się pragnienia szarpały świadomością. Bliska szaleństwa, kompletnie rozdarta, przenosiła wzrok z jednego mężczyzny na drugiego.

Yh zrozumiał pierwszy. Błyskawicznie odpiął sakiewkę, sięgnął po artefakty, które królowna trzymała w dłoniach, i wrzucił je do mieszka.

– Tu będą bezpieczne, panienko – powiedział łagodnie, podając woreczek dziewczęciu.

Jarmuszka przyjęła trzos i podała go służce. W sali balowej wciąż panowała cisza. Uwolniona od czaru królowna pamiętała jednak, że jej zadanie zostało spełnione. Zacisnęła usta, zmarszczyła nosek i syknęła cicho.

– Królowno? – zapytał Ortus.

– Oba klejnoty są równie piękne – warknęła dziewczyna. – Prawie tak doskonałe jak Westchnienie Nimfy.

Zebrani zaczęli wiwatować. Niebysza! Nigdy jeszcze żaden z zalotników nie przeszedł wymaganej próby. A tu aż dwóch!

– Nie możesz wyjść za nas obu – poirytował się młodzieniec.

– Nie zamierzam za żadnego – syknęła cichuteńko Jarmuszka. Zaraz jednak zreflektowała się. Naciągnęła na usta sztuczny uśmiech. – Gratuluję wam, panowie. Jutro, kiedy słońce zajdzie, powiem wam, jakie jest moje następne pragnienie. A teraz – odwróciła się do zgromadzonych – świętujmy!

Muzyka zaczęła grać. Goście wrócili do tańca.

A dziewczyna usiadła po prawicy pustego ojcowskiego fotela i nie spuszczała wzroku z obu zalotników. Zaczynała się martwić.

* * *

Bał dawno się skończył, a goście rozeszli do komnat. Pałac pogrążył się we śnie. I tylko królowna wciąż nie mogła zasnąć. Siedziała w oknie sypialni, opierając skroń o chłodną szybę, i wpatrywała się w mrok. Na wschodzie budziła się szarość, zza horyzontu nieśmiało wygrzebywał się kolejny dzień, niepewnie przecierając oczy. A Jarmulena, zwinięta w kłębek, siedziała w kącie okna, przytulając się do szyby.

Rozmyślała i rozmyślała, aż zmęczone powieki opadły.

Kochanek miał ciemne włosy. Nie widziała jego twarzy, a przecież znała każdą krzywiznę męskiego ciała. Tak jak znała jego dotyk, twardość i miękkość, ciepło i chłód. Smakowała go od tak dawna. Przychodził każdej nocy, brał i dawał. Razem tworzyli namiętne obrazy, cudowne światy, w których – oprócz nich – nie było nikogo. Dotykał tam, gdzie przyjemność stawała się nie do zniesienia. Całował tak, że prawie zapominała oddychać.

Kochał się z nią od miesięcy. Zawsze ten sam, zawsze inaczej. Był jej spełnieniem, dopełnieniem. Sercem i duszą. Był – o tak, nie miała wątpliwości – był tym, który zabierze ją daleko, do innego świata, do przygód, magii i tajemniczych stworzeń. Czekala na mężczyznę ze snów, a kiedy wreszcie ciemnowłosy kochanek stanie przed nią, pozna go na pewno. Bo jakżeby inaczej? Serce jej podpowie.

Oddychała szybko. Nadchodziło spełnienie.

Tak, tak, taaak!

Schowany za węglem czarodziej jak każdej nocy od miesięcy zadrzał w tej samej chwili. Zagryzł wargi, żeby nie krzyknąć. Rozkosz i ból były tak samo nieznośne.

Obserwujący maga zawieszony wysoko ponad nim smok westchnął ciężko.

* * *

Dawno, dawno temu mały Yhkredtherdurhe Anhe Hredhertgherre bawił się w ogrodzie z innymi dziećmi z rodziny. Kuzyn Kytio dostał od dziadka nowego drewnianego rycerza, który spodobał się Yhowi. Och, nie żeby wiele podobnych figurek nie leżało wokół małego smoczka. Leżało, a jakże! Dziadek zawsze dawał wnukom podobne zabawki, więc każdy z nich miał kilku rycerzy. Niektórzy dosiadali pięknych koni, inni z uniesionymi mieczami szykowali się do ataku. I tak zupełnie szczerze, Yh nie potrzebował nowej zabawki, co więcej, nie podobała mu się ona aż tak bardzo. Ale Kytio miał rycerza, więc Yh też go zapragnął.

W efekcie bójki dwóch smoczątek babcia Burthe musiała wyciąć cztery nadpalone drzewa, a ciotka Efie – pochować zwęglone resztki ulubionego kotka.

Mama rzekła wtedy, że nie należy sięgać po czyjeś zabawki. A ojciec dodał, wycierając osmaloną buźkę syna: „Zwłaszcza gdy należą do kogoś, kto może złoić ci

skórę”.

Yhkredtherdurhe Anhe Hredhertgherre, dla przyjaciół Yh, jak powszechnie wiadomo, nie zwykł słuchać rodziców.

Na widok Ortusa na pałacowym tarasie, pogrążonego w splecionej magii – tak, Yh bez trudu rozpoznał rodzaj zaklęcia – na widok mocy czarodzieja każdy rozsądny syn swoich rodziców poderwałby tyłek w niebo i leciał tak długo, aż zapomni o złotych włosach królowny. Żaden syn swoich rodziców nie sięgałby po wymarzoną zabawkę czarodzieja.

A już na pewno powinien uciekać, kiedy królowna powiedziała, czego pragnie. Zażądała bowiem magicznego artefaktu w prezencie na swoje urodziny, za dwa dni. Zdziwiającego, magicznego artefaktu, który rozwiąże część jej problemów. Któż zaś lepiej niż mag mógł spełnić marzenia Jarmuszki? Tak, zdecydowanie Yh powinien odlecieć.

Rzecz jednak w tym, że nie chciał. Panna była ładniutka, bogata, mądra... i ładniutka. Pragnął jej. Może dlatego, że była wymarzoną zabawką innego, ale pragnął. Cóż, jak to mówią: jest ryzyko – jest zabawa. Zamiast więc uciekać lub udać się wprost w ramiona słodkiej Arunii, Yh poleciał do rodzinnego domu.

* * *

Przez setki lat życia Yh nigdy nie zastanawiał się, czy nazywanie domem dziesiątek jaskini w Itru połączonych szerokimi korytarzami jest odpowiednie. Tu się wychował, znał każdy korytarz, każdą grootę, bawił się w nich i ukrywał przed gniewem ojca, a czasami i matki. Rodzice hołowali tradycji. Nie mieli nic do smoków wybierających olbrzymie zamki czy przetrzymujących w potężnych wieżach nadobne nie-do-końca-dziewice. Sami jednak woleli po staremu zasiedlać jaskinie sprzed wieków.

Yh wszedł do środka, pozostając w smoczej postaci. Ledwie otoczył go mrok pierwszej groty, a już poczuł znajome ciepło w sercu. Wspomnienia przemknęły falą obrazów. Wspomnienia i czułość. To świadomość rodziców wsunęła się w umysł syna, otaczając go troską, miłością... i ciekawością. Na długo przed tym, jak dotarł do groty, w której na niego czekali, powitał ich i opowiedział, co się z nim działo od ostatniego spotkania. Dowiedzieli się wszystkiego, nawet tego, czego nie chciał im zdradzić.

– To nie jest zbyt mądre, synku – oceniła matka, kiedy wreszcie stanęli oko w oko. Złotołuska, w przeciwieństwie do syna, któremu barwy zmienił konflikt z pewnym nieżyjącym już kapłanem, wyszła mu na spotkanie. W zielonych oczach smoczyca

błyszczął niepokój. – Jest tyle zacnych panien. Wybierz taką, której nie chce czarodziej.

– Jarmuszka ci się spodoba. Jest śliczna i bardzo rezolutna.

– I daje czarodziejowi! – zagrział ojciec od wejścia.

– An! – warknęła matka.

– No co?! Wybrał sobie dziewczuchę złączoną czarem z jakimś, tfu, tfu, magiem. I jakby gorzej być nie mogło, przyłazi jeszcze do domu, żeby rodziciele na prezenty dla cichodajki naciągnąć!

Smoczyca przewróciła oczami.

– Odezwał się ten, co to nigdy żadnej cichodajki prezentami nie obsypywał! – fuknęła.

– Ale przynajmniej żenić się z nią nie próbowałem! – odrzyknął stary smok. Widząc jednak, że nic nie wskóra, a żona i tak podjęła decyzję za oboje, machnął ogonem i warcząc ze złości, wyszedł z jaskini.

Zatroskana matka Yha spojrzała na syna.

– Nie zmienisz zdania? – zapytała, chociaż nie wierzyła w satysfakcjonującą odpowiedź.

Pokręcił łbem bez słowa.

– Cóż, widać taka wola bogów. Mam coś odpowiedniego na prezent dla panny. A jak dobrze pójdzie, to i inne twoje problemy rozwiąże. Chodź, synku. Kołacza zjesz? Schudłeś trochę. Dobrze się odżywasz? Krówka co drugi dzień? Pamiętasz, co mówiłam?

Tak, dobrze jest wrócić do domu.

* * *

Tym razem królewna nie czekała wśród setek gości. Zaprosiła obu zalotników do biblioteki. Miała dziwne wrażenie, że i tym razem mężczyźni spełnią wymagania, więc wołała, by nikt nie zobaczył jej kolejnej porażki.

Usiadła grzecznie na szezlongu, dłonie złożyła na podołku, na usta naciągnęła uprzejmy uśmiech. Rozpuszczone jasne włosy gęstymi falami opadały na ramiona okryte grzeczną szafirową suknią bez dekoltu. Mimo starań nie zdołała wszakże ukryć swej atrakcyjności. Obaj panowie nie odrywali od niej wzroku.

Wymienili zwyczajowe grzeczności i zapadła cisza. Wreszcie dziewczyna westchnęła.

– Nie ma sensu tego przedłużać – powiedziała chłodno. – Co dla mnie macie?

Yh spojrział na konkurenta. Zawahał się. Na moment. Potem sięgnął do sakwy. Wyciągnął zeń artefakt, który wybrała matka, i podał go dziewczynie.

– Co to? – zapytała, oglądając mały gliniany czajniczek, siermiężnie brzydki.

Stojący obok Ortus poznał przedmiot. Zmarszczył brwi, a smok poczuł, jak zimne macki telepatii zaczynają sondować jego umysł.

Trzeba się było spieszyć.

– Przeczytaj inskrypcję, panienko.

Królewna się zawahała. Czarodziej już otwierał usta...

– Otwieram bramy w mrok prowadzące, niech połkną duszę twoją i ciało – szybko wyrecytował Yh. A na koniec dodał: – Ortusie.

Mag szarpnął się. Krzyknął. Próbował wypowiedzieć zaklęcie, ale moc werdeańskiego czajniczka już działała. Oslepiająca jasność błyskawicznie otoczyła młodzieńca i w jednej chwili go pochłonęła. Krzyk urwał się raptownie. Światło zmalowało, zmieniając się w okruch czystej bieli wessany przez dzióbek naczynia.

Wystraszona Jarmuszka upuściła czajniczek. Odskoczyła i z niedowierzaniem wpatrywała się w artefakt, który – choć został rzucony na marmurową podłogę – nawet się nie wyszczerbił.

Yh podniósł dzbanuszek. Uśmiechnął się i podał go królewnie.

– Widzisz, panienko, jaki to przydatny przedmiot. Właśnie pozbyłaś się części swoich problemów. Tak jak sobie życzyłaś. Zaskoczyć cię też mi się udało, prawda?

Dziewczyna milczała, nie wzięła też podawanego jej naczynia. Olbrzym uśmiechnął się łagodnie. Odstawił czajniczek między książki. Rozejrzał się wokół. Komnata była obszerna, a całą jedną ścianę stanowiły olbrzymie drzwi na taras. Powinny wystarczyć.

Znudziła mu się już ta zabawa. Czas uwieść przyszlą żonę.

Odetchnął głęboko. Kochał ten moment. Prawie jak latanie. Chwilę przed, kiedy każda komórka wyczekiwała, gotowa na nadejście przemiany. Kiedy krew zaczynała się gotować, by następnie błyskawicznie schłodzić. Kiedy mięśnie napinały się aż do bólu, stając się twarde jak kamień. Oddech zwalniał, skórę pokrywały krople potu, włosy unosiły się, źrenice zwężały...

Uwielbiał tę chwilę, tuż przed przemianą, gdy ciało gotowało się do wybuchu.

A potem eksplozja. Cudowne, przerażające bum!

Srebrny smok ledwie zmieścił się w królewskiej bibliotece.

– Nie – powstrzymał królewnę, nim ta zaczęła wrzeszczeć. Zielone oczy zatrzymały jej spojrzenie, nakazując bezwzględne posłuszeństwo. Stała więc, kompletnie uzależniona od woli srebrnego smoka, nie czując absolutnie nic. Yh zawładnął

umysłem Jarmuleny, nie przejmując się moralnym wymiarem swojego zachowania. Chciał mieć tę dziewczynę.

– Dobrze, maleńka – szeptał wprost w myśli królowny. – Teraz wdrapiasz się na mój grzbiet. O tak. Grzeczna dziewczynka. Zabiorę cię w ten wielki, piękny świat, o którym tak marzyłaś. Rzucę ci go do stóp. Całe jego piękno i wszystkie przygody. Spełnię wszystkie pragnienia... ale najpierw ty spełnisz kilka moich. Będzie nam... – Ruszył ku drzwiom na taras, niosąc na plecach wtuloną w srebrny kark Jarmuszkę. Był już tak blisko... tak blisko spełnienia pewnego niezwykle zbereźnego snu.

Mama zawsze mówiła: „Spiesz się powoli”.

Ojciec dodawał: „Nie chwal dnia przed zachodem słońca”.

Yhkredtherdurhe Anhe Hredhertgherre jakoś nie pamiętał tych rad. Zapewne dlatego zaskoczył go hałas za plecami. I to, że łapy nagle jakby wrosły w podłogę, a reszta członków odmówiła posłuszeństwa. Jak również to, że w myśli wdarła się potężna obecność, rozrywająca więź z Jarmuszką.

Dziewczyna zeskoczyła ze smoczego karku i znikła z pola widzenia Yha, gdyż ten nie mógł odwrócić zeszywniałego naraz ciała.

– Naprawdę? – Miękki głos tuż za nim z całą pewnością należał do Ortusa Serede. Młodzieniec wyminął smoka i stanął naprzeciwko niego. Uśmiechał się. – Naprawdę sądziłeś, drogi smoku, że wystarczy werdeański czajniczek, żeby pozbyć się Pierwotnego Czarodzieja?

W swoim niebywale już długim życiu Yh zaklął ze dwa, może trzy razy. Teraz zrobiłby to po raz kolejny, ale niestety język – jak reszta ciała – był sztywny.

Pierwotny? Jeden z najpotężniejszych, niemal wszechmocnych magów?

– A przecież uprzedzałem – słodko przypomniał Ortus – że nie warto z mej rodziny robić sobie wroga. A ty, mój drogi Yhkredtherdurhe Anhe Hredhertgherre, zamiast posłuchać, próbowałeś mi zabrać kobietę, którą kocham. Siłą. Nieładnie, Yhkredtherdurhe Anhe Hredhertgherre, bardzo nieładnie. Będzie więc tak: ja ożenię się z Jarmuleną. Spełnię tym samym jej ostatni warunek. Dostanie najbardziej magiczny artefakt w Krainie: mnie. Ty zaś, z wielu różnych powodów, głównie dlatego, że cię nie lubię, już nigdy nie zmienisz formy. Pozostaniesz gadem aż po śmierć. – Uśmiechnął się okrutnie.

Nagle szczupła sylwetka czarodzieja rozbłysła światłem. Młodzian uniósł się, zawisł nad przerażonym smokiem i rozwarł ramiona.

– Smoczej użyłeś magii, smokiem pozostaniesz! – wykrzyczał Ortus. Wstrząsnął nim dreszcz. Pierwotna moc wyrwała się z jaśniejącej postaci i niczym oślepiający sztylet wbiła w potężnego gada.

Zmysły Yha zawyły rozpaczliwie, a ból ciął ciało tysiącami ostrzy. Na moment. Potem wszystkie odczucia znikły.

Mag opuścił się na podłogę i stanął przed smokiem.

– A teraz wynoś się ze Smoczyc Wzgórz. Jeśli kiedykolwiek wrócisz, zginiesz – dokończysz cicho i minawszy smoka, ruszył za przyszlą narzeczoną.

W tej samej chwili Yh odzyskał władzę nad ciałem. Potężne łapy ugięły się pod olbrzymim cielskiem. Smok zachwiał się i pewnie by upadł, gdyby jego uszu nie dobiegł łagodny szept. To czarodziej przemawiał do wystraszonej królowny, używając tej samej magii, z której korzystał, gdy składał dziewczynie w podarku rubin.

Gniew błyskawicznie wyparł strach.

Yh odwrócił się i skoczył...

Dwieście lat później – z górką...

Tak to właśnie było z tym pierwotnym zaklęciem, przez które tak długo Yh nie mógł doznać spełnienia. Zeżarty Pierwotny jeszcze przez tydzień siedział smokowi na żołądku. Jarmulena zaś nigdy nie wyszła za mąż. Właściwie nigdy już nie zrobiła niczego sensownego. Siedziała w swojej komnacie, wciśnięta w kąt za łóżkiem, obserwując drzwi z przerażeniem zamkniętego w klatce, gotowego na śmierć zwierzątka.

Trochę przesadził z połykaniem czarodzieja na oczach panienki. Troszeczkę. Nie dość, że – jak wtedy myślał – stracił szansę na przywrócenie ludzkiej postaci, to jeszcze ryzykował życie. Nadal nie był pewien, jak to się stało, że mag nie zareagował, nim smocze szczęki zgmiotły go na miazgę. Smakował w każdym razie paskudnie.

Na wspomnienie posiłku żołądek smoka zaśpiewał głośno. Mężczyzna westchnął ponuro, zerkając w zwierciadło. I jakże teraz zapoluje na wielkooką łanię? Jak zdoła, spadając z nieba, złapać tłustą owieczkę? Kiedy znów poczuje słoneczne promienie, pieszczące potężne skrzydła i odbijające się od srebrnych łusek? Oj, matka się myliła. Niczego go nie nauczyła przygoda z Pierwotnym. A ojciec jak zwykle miał rację – чуć zawsze namiesza w głowie jego syna.

Śpiąca dziewczyna poruszyła się na łóżku, przyciągając wzrok pogrążonego w użalaniu się nad sobą smoka. Yh ponownie westchnął, czując, jak odzyskana na nowo ludzka forma reaguje na odsłoniętą wypukłość kobiecych pośladków. Kiedy zaś kochanka odwróciła się, ukazując jędrne młode piersi, smok uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

Mamusia mówiła: „Co cię nie zabije, to cię wzmocni”.

Ojciec dodawał: „Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma”.

Dziewczyna uniosła powieki, rozchyliła wargi...

Ten jeden raz Yhkredtherdurhe Anhe Hredhertgherre, dla przyjaciół Yh, zamierzał zastosować się do rodzicielskich nauk.

Kanikuła w Zielonych Borach

– Cudownie miękka podusia. Oj, cudownie. Żem na takiej miękkiej jeszcze się nie budził – mamrotał rozanielony krasnolud, z czułością ocierając się kudłatym licem o pokaźny biust leżącej obok kobiety.

Dziewczyna co prawda pięknem nie grzeszyła, a rozmiarem zbędnych fałd przyćmiewała każdą, z której wdzięków ówże krasnolud korzystał, jednakowoż na tę chwilę Yurtowi zdała się precudnej urody gwiazdeczką. Najśliczniejszą nimfą. Zaprawdę, po dziesięciu dniach w siodle, na usługach Krasnoludzkiej Rady, możliwość zatonięcia... tak, to najlepsze określenie... zatem możliwość zatonięcia w objęciach Enurfi zdawała się młodzieńcowi czystą ekstazą. No, a i z ową czystością nie ma co przesadzać. Zamtuz z Szemranej Dzielnicy akurat tego nie obiecywał. Nie raz i nie dwa Yurto musiał zasięgać pomocy księżęcego medyka po wizycie u tutejszych panienek. Mimo to wciąż wracał. Jak owo ciekawskie kociątko, co to je pies pokąsał, a ono i tak ku niemu się garnie w poszukiwaniu przygód.

– Zliż – grzecznie poprosiła Enurfia, gramoląc się z łóżka. – Gospodyni idą.

Krasnolud westchnął boleściwie.

– Ech, śliczności moja – wyszeptał i wyciągnął ręce ku dziewczynie – wróc no do mnie. Nie zdążyłem się nacieszyć twoimi wdziękami.

– Jak gospodyni was tu znajdują, to się, kurwa, nacieszycie – warknęła nierządnicą, rzucając mu koszulę. – Wezwie którego z drabów i znów wam skórę przetrzepią. Albo i gorzej. Jakbyście chociaż raz talara rzucili, byłoby inaczej. A wy nic, ino na krzywy ryj. To i gospodyni zła.

– Enurfijko...

– Cichajta! – Spojrzenie panny zmiękło, ale głos pozostał stalowy. – Kto usłyszy i znów będę przez dwie nocki za nic dupy dawała. Och, głupia żem jest. Głupia. Ino te szczerbate zębiska wyszczerzycie, a mnie już bierze. A przecie mówiła gospodyni... No już! Wynocha!

Yurto wstał niechętnie. Zarzucił koszulę na grzbiet i powolutku zaczął wiązać troczki. Naraz jednak usłyszał ruch za drzwiami izby i gwałtownie przyspieszył. Palce mu drżały, więc zamiast skończyć z tasiemkami, złapał spodnie i buty pchnięte uprzednio w kąć i rzucił się ku oknu. Po drodze stanął jeszcze, by cmoknąć policzek Enurfii.

W chwili, gdy do izby wpadli zamtuzowi zbóje, Yurto właśnie skakał przez okno. A że w podobny sposób do zacnego przybytku tej nocy trafił, wiedział, że do bruku

niedaleko i nic sobie takim ćwiczeniem nie uszkodzi. Chcąc zaś i w najbliższej przyszłości nieuszkodzonym pozostać, kiedy tylko dotknął kocich łbów, biegiem ruszył w ciasne uliczki, żeby zgubić ewentualny pościg. A Yurto, wbrew ogólnej opinii o krasnoludach, biegać potrafił. Przemykał więc błyskawicznie między wysokimi budynkami, aż wreszcie podążający za nim tupot ucichł zupełnie. Nawet wtedy krasnolud nie zwolnił. Ot tak, dla przyjemności, biegł jeszcze przez pół miasta, aż dojrzał biały dom, w którym rezydował namiestnik Rady. I przenajmilejszy wuj Yurto – graf de Gra Yudherthardere.

* * *

Następnego dnia o poranku przenajmilejszy wuj Yurto stał przy oknie i wpatrywał się w ciasną uliczkę. Nie żeby specjalnie interesowali go przepychający się przechodnie ani też ta zażywna kobitka z wielkim koszem kwiatów, która ich zaczepiała, próbując wcisnąć wiązanekę. Stał tak i patrzył, nie bardzo zwracając uwagę, na co spogląda, a jego i tak nie najpiękniejsze lico szpecił grymas. Ot, graf miał spory problem. Darł się ten problem tuż za jego plecami. I nie był on pierwszy dzisiejszego poranka. Już o świtaniu w progi przedstawicielstwa Krasnoludzkiej Rady zawitała Duża Sofija. Nie żeby Ires de Gra Yudherthardere bał się najbrzydszej burdelmamy w mieście. Jednakowoż nie lubił jej wizyt o poranku. Mało tego, że była żywym dowodem nie najlepszego gustu Iresa w młodzieńczych czasach... a bogowie wiedzą, że bardzo starał się o tychże zapomnieć... to jeszcze jej wizyta zawsze oznaczała spore uszczuplenie krasnoludzkiego mieszka. I ból głowy. A jakże, ból głowy również. Kiedy bowiem Duża Sofija zaczynała gderać tym swoim cieniutkim, kompletnie do niej niepasującym głosikiem, nie potrafiła przestać. Zawodziła niczym zawodowa płaczka nad zwłokami najbogatszego mieszczanina w oczekiwaniu na dodatkową premię za wkład w pracę.

Ledwie uciszył burdelmamę kosztem dziesięciu srebrnych talarów, a już zaanonsowali mu posłańca z sąsiedniego Ghur. A że miasta żyły w przyjaźni i tamtejszy namiestnik ochoczo na miodzik do Iresa wpadał, graf chętnie nakazał wpuścić jego posłańca, nieco tylko zdziwiony, że namiestnik śle ludzi o tak wczesnej porze.

I jakież było jego zaskoczenie, gdy ujrzał namiestnikowego brata ciągnącego za sobą szlochającą gwałtownie, niezwykle doń podobną korpulentną dziewczuszkę. Szlachcic wrzeszczał od wejścia, nie dopuszczając nikogo do głosu. Ires głowę by dał, że nie robił przerw nawet na nabranie tchu. Głos gościa opadał i unosił się aż po

histeryczne nuty, a gospodarz po kilku próbach nawiązania rozmowy odwrócił się niezbyt grzecznie i zapatrzył w okno.

I stał tak teraz, dumając nad tym, co, do jasnej i ciężkiej cholery, ma zrobić ze swoim umiłowanym siostrzeńcem, który to nie dość, że znów w burdelu nie zechciał uiścić opłaty, to jeszcze najwyraźniej zbałamucił namiestnikową bratanicę.

– I co?! – krzyknął ponownie brat namiestnika, a potem wreszcie zamilkł.

Ires oderwał wzrok od kwiaciarki, której właśnie udało się znaleźć chętnego na niewielki bukiet fiołków, po czym skierował go na gościa.

– A czego ode mnie oczekujecie? Nie! – przerwał, kiedy mężczyzna ponownie nabierał tchu. – Wyjaśnijmy sobie. Mój siostrzeniec jest golcem. Matka jego niefortunnie męża wybrała, więc chłopak niczego po rodzicach nie otrzyma. Po mnie, ma się rozumieć, też nie. Mam trzech synów i o ich przyszłość muszę zadbać. Yurto ani ziem, ani tytułów, ani nawet mieszka pełnego w tejże chwili nie posiada. A i charakter jego wiele pozostawia do życzenia. Wiernością grzeszyć na pewno nie będzie, a i do roboty chęci nie ma za wiele. Jesteście pewni, że chcecie waszą córę za niego wydać?

W komnacie zapadła cisza. Nawet panienska przestała płakać. Ojciec jej zaś wpatrywał się intensywnie w swoje trzewiki. Pobladł przy tym naraz, niemal chorobliwie. Ires westchnął ciężko.

– Skoro panna brzemienną nie jest... – Namiestnikowy brat poczerwieniał gwałtownie, ale graf niezbyt się tym przejął i kontynuował: – Wyślemy ją do Zalasu. Jest tam magiczka taka, która pewne eee... rzekłbym, niedoskonałości naprawić potrafi. Dziewczyna wróci jak nowa. A ja, z dobrej woli, a nie z musu, żebyśmy się dobrze zrozumieli, nieco się do jej wiana dołożę. Dobrze?

Gość poderwał głowę. Oczy mu rozbłyły, a i kolory normalne na lico wróciły. Uśmiechnął się radośnie.

– Wielki z was, panie de Gra Yuderthardere, zaprawdę wielki człe... krasnolud, znaczy się.

– Jasne – potaknął niechętnie Ires. – Załatwicie to z moim skarbnikiem. A teraz żegnam.

Kiedy goście wyszli, graf usiadł zafrasowany. Toż gówniarz ledwie wczoraj wrócił, a już sakiewkę Krasnoludzkiej Rady rozpaczliwie uszczuplił. Przecie jasne, że Ires ze swojego płacić nie zamierzał. Ostatecznie Rada wychwała umiejętności dzieciaka, zyski z nich czerpie, to niech i koszty, cholera, sama ponosi. Mimo wszystko jednak chłopak pozostawał siostrzeńcem Iresa, więc i jego problemem... poniekąd.

– Wezwijcie mi Yurto – polecił wreszcie służącemu.

Nie minęło kilka chwil, a wezwany młodzieniec zapukał w odrzwia. Wyglądał na zmęczonego: był chudy, niechlujnie ubrany, a broda i długie włosy zwisały skołtunione. Zaprawdę stanowił opłakany widok.

– Witaj, wuju. – Ukłonił się grzecznie, poprawiając przy tym koszulę. – Chciał mnie wujaszek zobaczyć?

– Ano chciałem. Usiądź, Yurto, proszę. – Graf wskazał ławę naprzeciw siebie. Począł, aż siostrzeniec wykona polecenie, i kontynuował: – Była u mnie z rana Duża Sofija...

– Wuju...

– Jesteś mi winien dziesięć srebrnych talarów, chłopcze. – Ires nie dał mu dokończyć. – Nigdy więcej nie zajrzysz do tego zamtuza, rozumiesz?

– Ale...

Graf zmarszczył brwi, więc młodzieniec błyskawicznie się zreflektował:

– Oczywiście, drogi wuju.

Starszy krasnolud skinął głową. Przez chwilę milczeli.

– I zdaje się, że nie zasiądę już więcej z namiestnikiem z Ghur do kart, popijając przedni miódzik – powiedział wreszcie Ires. Yurto poruszył się nerwowo na ławie. Otworzył usta, ale graf uniósł rękę, nie pozwalając mu dojść do słowa. – Skarbnik ci powie, o jaką kwotę uszczupliłeś sakwę Krasnoludzkiej Rady. Możesz być pewien, że Rada się z tobą rozliczy. Nie, chłopcze. – Ponownie uciszył go gestem. – Nie tłumacz się. Bratanica mojego przyjaciela? Zamtużowe dziewczki pojmuję, ale namiestnikowa bratanica? Panna co prawda nieurodziwa i niezbyt zamożna, ale zawsze szlachcianka. Chcesz się żenić?

Młodzian zbladł gwałtownie. Podskoczył na ławie, po czym wtulił się w ścianę, jakby chciał zniknąć.

– Wuju...? – zapytał drżącym głosem.

– Znaczy nie chcesz? Tak myślałem. Wytłumaczyłem twemu niedoszłemu teściowi, że nie tylko nazwiska nie dziedziczysz po rodzinie matki, i już nie chce cię na zięcia. Docenia jednak twój wkład w wiano jego córki.

Yurto opuścił głowę. Milczał.

– Nie wyglądasz za dobrze, mój chłopcze. Potrzebujesz odpoczynku. Długiego odpoczynku.

Młodzieniec uniósł brwi, z zaniepokojeniem patrząc na wuja.

– Tak, zdecydowanie potrzebujesz odpoczynku.

– Co ty knujesz, wuju?

– O dzień drogi na południe, w Zielonych Borach, jest osada. Mieszka tam mój bliski przyjaciel. Ma duży dom. Odpoczniesz u niego do następnego zlecenia Rady.

– Ale...

– Yurto, mój drogi, nie zamierzam z tobą dyskutować. Nie proszę cię jako wuj, ale wydaję polecenie jako przełożony. Rozumiesz?

Młodzian skinął głową niechętnie.

– Kiedy będziesz odpoczywał, przemyślisz... że się tak wyrażę... sposób wydawania talarów. Nie jesteś moim kuzynem, nie dziedzicysz majątku i książęcego tytułu de Gra. Czas zacząć oszczędzać, zamiast wydawać na nierządnicę. Nawet te szlachetnie urodzone.

– Ale na zadupie? – odważył się wyjąkać Yurto.

Graf uśmiechnął się lekko. Wstał, podszedł do siostrzeńca i łagodnie poklepał go po plecach.

– To najlepsze miejsce, mój drogi. W osadzie kilka domów. Kobiet jak na lekarstwo... Nic cię nie będzie rozpraszało. Czas tam płynie wolniutko. Spodoba ci się, zobaczysz.

– No... – przytaknął młodzieniec kompletnie bez przekonania.

A to, że się przy tym nie rozpląkał, zawdzięczał wrodzonemu charakterowi i wieloletniemu doświadczeniu szpiega Krasnoludzkiej Rady.

* * *

Nadchodził wieczór, gdy samotny krasnolud na karym kucu dotarł do lasu. Droga zwężała się, zmierzając pomiędzy drzewa. Kuc zarżał, podrażniony ściągniętymi gwałtownie wodzami. Yurto poklepał go delikatnie po mocnym karku i popuścił rzemienie.

– Jasna dupa Mrocznej Bogini – westchnął krasnolud – zaprawdę koniec świata. Chodź, koniku, jak trza to trza. Wujcio tak ładnie prosił. Posiedzimy trochę w tej puszczy, ponudzimy się. – Zawiesił głos, ruszając przed siebie. Milczał trochę, ale wreszcie nie wytrzymał: – No dyć piękna nagroda za ciężką służbę. Przepiękna, cholera! Zesłać mnie w leśnie zadupie. Głupi krasnolud łba nadstawia dla niewdzięczników, a ci mu cichodajek żałują. Eeech – jęknął, kończąc, bo tak mu się nagle dziwnie zrobiło, że do konia gada. Schylił się, wjeżdżając między drzewa. Niskie gałęzie i tak przeczesaly mu włosy, więc przyłgął do końskiego karku, mamrocząc po cichu przekleństwa. Im dalej zagłębiał się w las, tym głębsza otaczała go ciemność.

A Yurto, chociaż krasnolud, za ciemnością nie przepadał. I owszem, widział w niej całkiem sprawnie, ale jakoś źle mu się kojarzyła. Zaraz włączył podświadome poszukiwanie zagrożenia, ciało spinało się w oczekiwaniu ataku i reagowało gwałtownie na każdy dźwięk. To zdecydowanie nie było przyjemne. Oj, nie.

Wyprostował się nieco w siodle i rozejrzał niespokojnie. Gdzieś w pobliżu pohukiwała sowa, dalej strzelały łamane przez jakieś dzikie stworzenie gałązki. Nic nienaturalnego. Nawet mrok nie był aż tak głęboki, jak pierwotnie mu się wydawało. Odetchnął i poluzował zaciśnięte na rzemieniach palce, a potem usiadł prosto. Gałęzie wisiały już wysoko, a i ścieżka jakby się rozszerzyła. Uspokojony krasnolud poklepał koński kark.

– No, zdaje się, żeśmy już prawie na miejscu – powiedział.

Za rzedającymi drzewami pojawiły się polana i pierwsze chaty. W oknach kilku maleńkich drewnianych domków krytych słomą migotały słabe światełka. Inne pozostawały w mroku. Tak jak i niemal ukryty pomiędzy drzewami spory dwór. Spośród dziesiątek okien płomienie świec rozjaśniały tylko dwa, i to ledwie tłącym się blaskiem. Yurto zmarszczył brwi zdziwiony. Ledwie zaszło słońce, a w osadzie zdawała się trwać noc. Ponownie poczuł niezrozumiały niepokój, rozejrzał się nerwowo i spiął kuca.

Zatrzymał się dopiero przed dworem. Najwyraźniej nie został zapowiedziany i nikt go nie oczekiwał, bo żaden służący nie stał przed budynkiem. Krasnolud zsiadł i przywiązawszy kuca do drzewa, uderzył pięścią w bramę. Kiedy nikt nie zareagował, Yurto ponownie walnął w drzwi. Po chwili usłyszał człapanie po drugiej stronie, a potem stuknął skobel i brama uchyliła się z głośnym skrzypnięciem.

– Ta? – odezwał się niezbyt przyjazny głos.

– Yurto Hydon do jaśnie wielmożnego Utina – odpowiedział równie zgryźliwie krasnolud.

– Jutro przylezie. Wielmożny śpi.

Brama zaczęła się zamykać, ale Yurto nie zamierzał tak łatwo ustąpić. Wyrwał zza pasa toporek i zablokował nim wejście.

– Ładnie to tak, cholera, gościa za drzwiami po nocce zostawiać?! – wrzasnął. – W te pędy leci do wielmożnego i zapowie, że siostrzeniec jego szacownego przyjaciela, grafa de Gra Yudherthardere, z pozdrowieniami od wuja w odwiedzinę zjechał.

Chudy, wysoki służący podrapał się nerwowo po łysej łepetynie. Kaganek w jego dłoni drżał, kładąc cienie na najwyraźniej przerażonym obliczu.

– Wielmożny śpi – powtórzył uparcie.

– Przecie ledwie słońce zaszło!

– Ale śpi.

Krasnolud westchnął, rozumiejąc, że nie ma co liczyć na lotność umysłu tutejszej służby.

– Dobrze, niechże i śpi. Kiedy jutro jednak wstanie... Ty się zastanów, dobry człowieku, czy kiedy jutro wasz pan wstanie, będzie on i zadowolony, żeście jego znajomemu noc na dworze spędzić kazali? Pomyśl ino, co on w obliczu takowej nieuprzejmości wobec najmilejszego przyjaciela swego może z wami uczynić?

Służący ponownie podrapał się po łysej łepetynie, nie zauważając bynajmniej, że status gościa naraz urósł.

– Znaczy co? – zapytał wreszcie.

– Wpuść mnie, dobry człowieku, polewki podaj, nocleg każ przyszykować, a konika mojego oporządzić – grzecznie wytłumaczył Yurto, pchając się już w korytarz.

Tym razem chudzielec ustąpił i otworzył szerzej bramę.

– Dyc skoro tak mówicie... Wejdźcie. Inni też już w pościeli, ale zaraz pobudzę kuchenną i jaka dziewczka izbę przygotuje. Poczekajcie ino. – Co powiedziawszy, podreptał korytarzem, niosąc chybotający kaganek.

Pozostawiony w ciemnościach krasnolud rozejrzał się wokoło. Dojrzał ławę pod ścianą i usiadł na niej. Lata doświadczeń w szpiegowskim rzemiośle wyczuliły go na wszelakie dziwności, więc i teraz nie pozostał obojętnym. Coś mu okrutnie śmierdziało w tej leśnej osadzie.

Ledwie ta wielce niepokojąca myśl skryształizowała się w krasnoludzkim umyśle, Yurto poczuł gwałtowne zmęczenie i straszliwą ociężałość wszystkich członków. Zamrugął, próbując odpędzić senność, ale ta już brała go w posiadanie, już przymykała powieki, już kazała ciału opaść na ławę... I nim najlepszy szpieg Krasnoludzkiej Rady zdołał wypowiedzieć ochronne zaklęcie, spał głębokim snem, pozbawionym marzeń.

* * *

Obudziło go szarpanie. Uniósł boleśnie ciężką powiekę. Tylko jedną, a i tak był to niesłychany wysiłek. Ostatnio miał tak, kiedy w jednej miejscinie urznął się, próbując wydobyć wiadomości od miejscowej cichodajki. Dziewczę okazało się na trunki odporne zdecydowanie bardziej niż on, więc nie dość, że nic nie wskórał, to jeszcze kolejnego dnia we łbie grała mu drużyna doboszy.

Zupełnie jak teraz.

A przecież dobrze pamiętał, że dnia poprzedniego żaden trunek nie rozgrzał krasnoludzkiego języka.

– Wstawajcie, panie. Śniadanie na stole, a i wielmożny doczekać się spotkania z wami nie może. – Wysoki dziewczęcy głosik wwiercał się w czaszkę Yurto, raniąc okrutnie. Krasnolud usiadł powoli, rozglądając się nieprzytomnie. Wokoło nadal panował mrok, rozświetlony tylko kagankiem w dłoni chudego dziewczątka. Tego samego, którego głos wrzynał się w krasnoludzki łeb.

– Jakie śniadanie? – jęknął. – Przecie noc jeszcze.

Panna zachichotała, wywołując u Yurto gwałtowne mdłości.

– Ciemno, a jakże – odpowiedziała, dygając. Kaganek zachybotał niebezpiecznie. – Ale noc dawno za nami. Chodźcie, panie. Zjecie, pogwarzycie z wielmożnym, a potem wam kąpiel przygotuję. Tacyście wczoraj zmachani przybyli, żeście w korytarzu padli. Drune bał się budzić. Nastraszyliście bidnego, nie ma co gadać.

Yurto usiadł z trudem. Pustym żołądkiem szarpnęło, ale krasnolud dzielnie zdzierzył. Wsparł obolałą głowę o ścianę i zapatrzył się na dziewczynę. Była szczupła i niewysoka, a on lubił duże kobiety. Mimo to miała w sobie coś takiego... Przyjemnie było na nią patrzeć, ano przyjemnie.

– Jak ci na imię? – zapytał, czując błyskawicznie wracające siły.

– Niula, panie. – Dygnęła, ponownie chichocząc. Tym razem jednak ów dźwięk wydał się krasnoludowi całkiem miły.

– Daj mi chwilę, Niula, mój skarbie. – Mrugnął wesoło. – Twoja uroda najwyraźniej pozbawiła mnie mocy i coś czuję, że teraz nie zdołam się podnieść. Ale wiesz, mam na tę dolegliwość niezawodne lekarstwo. Tak, myślę, że buziak zaraz by mnie uleczył. Co ty na to, śliczności moje? – Wydał usta do pocałunku, mrużąc przy tym oczy.

Dziewczyna zaśmiała się głośno. Zamiast jednak spłoszyć się, podeszła bliżej i szybko cmoknęła krasnoluda.

– I jak? – zapytała.

– Lepiej. Znacznie lepiej. Mogę już chyba wstać... – Yurto podniósł się powoli. Rzeczywiście, słabość ustąpiła, a i drużyna doboszy jakby ucichła. – Czynisz cuda, panno Niulo. Zapamiętam to sobie. Najpierw jednak obowiązki... Prowadź.

Przeszli w milczeniu spory kawałek, aż do szeroko otwartych drzwi komnaty, w której najwyraźniej czekał gospodarz. Intensywny blask dziesiątek świec oświetlał nie tylko wnętrze, lecz także część korytarza. Dziewczyna nie weszła do środka, ale ukloniwszy się, zrobiła zapraszający gest i szybko zawróciła. Yurto spojrzął za nią, z przyjemnością obserwując miękki ruch jej bioder, a potem wszedł do rozświetlonego pomieszczenia.

Gospodarz był zażywnym, starszym człowiekiem o niespokojnym spojrzeniu. Podbiegł do młodego gościa i wyciągnął ku niemu dłoń.

– Jakże mi miło! Jakże miło! – Oczy mężczyzny biegały jak pogrążone w magicznym tańcu. – Siostrzeniec samego de Gra! Wielki to zaszczyt. – Dłoń, którą uściśnięła Yurto, była mokra od potu. – Radość i duma. Taaak, duma. Chodźcie, panie. Chodźcie... Posilcie się.

Nie przestając ścisnąć prawicy krasnoluda, ciągnął go ku zastawionemu stołowi. Wyczulone zmysły młodego szpiega ponownie dały o sobie znać. Yurto zmarszczył brwi, ale zmilczał. Grzecznie usiadł za stołem, delikatnie, acz zdecydowanie uwalniając dłoń z uścisku.

– Dziękuję, szanowny Utinie. – Skinął głową. – I dla mnie to wielka radość poznać człowieka, którego wuj nazywa przyjacielem.

– Zaprawdę tak mnie określił? – Rozbiegane spojrzenie uciekło w bok. – No tak. Wszakże nim jestem. Wiernym przyjacielem rodu de Gra Yudherthardere. A zatem i waszym, panie Yurto.

– Szczęśliwym to słyszeć. – Krasnolud uśmiechnął się. Zerknął na rozłożone przed nim dania, ale jakoś nie miał na nic ochoty. Żeby jednak nie urazić gospodarza, a przede wszystkim nie wzbudzić jego niepokoju, sięgnął po półmisek z mięsiwem.

– Wuj liczył na to, że będę mógł odpocząć u was – zagaił, nakładając na talerz sporą porcję. – Wielcem utrudzon... ostatnimi czasy.

– Od... odpocząć? – zająknął się Utin i pobladł lekko. – Odpocząć? A nie...? Bo ja żem myślał...

Kurze udko w dłoni krasnoluda zawisło w pół drogi do ust.

– Tak? Coście myśleli? – zapytał spokojnie.

Gospodarz zacisnął wargi. Rozbiegane spojrzenie spoczęło na moment na oknie, za którym nadal panowała ciemność. Palce zabębniły nerwowo w drewniany blat.

– Wielmożny...?

– Wysłałem mu pismo, ale może nie dotarło. Może nie – wyszeptał Utin. – Pewnie nie wysłałby krewnego. Pewnie nie. Zawsze to jakie ryzyko...

– Nie rozumiem, o czym mówicie.

Gospodarz zamrugnął nerwowo, a potem spojrzął na gościa.

– Potrzebujemy tu krasnoluda, panie Hydon. Wysłałem do waszego wuja umyślnego... będzie ze dwie niedziele... żeby się ulitował. Ani umyślnego, ani odpowiedzi... Za to wyście przybyli. To żem myślał... Rozumiecie?

Yurto zacisnął usta, bo rzeczywiście, z wolna zaczynał rozumieć, i pokiwał niechętnie głową.

– A do czego, jeśli mogę zapytać, potrzebujecie krasnoluda, wielmożny Utinie? – powiedział po chwili.

Gospodarz ponownie uciekł spojrzeniem i zaczął kręcić się na ławie.

– Bo tylko krasnolud może zdjąć czar. Tylko krasnolud – wyszeptał nerwowo. Potem odetchnął głęboko kilka razy i począł wyjaśniać: – Mamy tu pod osadą smoczą gawrę. Smok nam wojnę wypowiedział. Zeżarł kilka panien, to żeśmy wejście do jaskini zatkali gałęziami i podpalili. Niestety utłuc się nie udało. Smok zlazł niżej i czar mroku na nas rzucił. Czy dzień, czy noc, światła u nas na lekarstwo. Tylko kilka świec zakłęcie pozwala zapalić... Znaczy tutaj więcej płonie, ale tylko tutaj. Poza tym domostwa w pomroczości, bez względu na porę dnia.

– Taaa. – Yurto skinął, zerkając za okno. – To by pewne rzeczy wyjaśniało. Nadal jednak nie wiem, po co ja wam potrzebny jestem.

– Jak to po co? – Spojrzenie wielmożnego ponownie zatrzymało się na gościu. – Toż tylko krasnolud w ciemności widzi, tylko on wejść w jaskinie może i nie zgubić się w podziemnych korytarzach. Tylko on ubije smoka i światło nam przywróci.

– Żarty se stroicie? – Wizja walki ze smokiem przytępiła uprzejmość krasnoluda. – Mam ze smokiem w szranki stawać? A jak se to wyobrażacie? Elixir niby jaki połknę, co ze mnie wielkoluda uczyni, zbroja mnie ognioodporna na cyckach wyrośnie, a i łeb przyłbica zakłębom nieuległa naraz okryje? Macie takowy napar może?

– Nie... niczego takiego...

– To i głupot nie powiadajcie. Gdzie mnie, chudzinie, przeciw gadowi stawać? Nawet wuj, chociaż w bitkach wyćwiczon, nie próbowałby.

– Nie rozumiecie, czcigodny panie Hydonie. – Gospodarz poderwał się z ławy. Podbiegł w kąt komnaty, otworzył skrzynię i wyciągnął zeń sporawy toporek o połyskującym złotym ostrzu. – Nie musicie bitwy zaraz urządzać. Starczy, byście do smoka podeszli i tym oto go drasnęli. Magiczne jest i dla gadziny trujące. Jedna ranka i w dwa pacierze po stworze jeno wspomnienie zostanie. – Podeszedł do Yurto i rzucił topór na stół obok gościa. Ten odskoczył błyskawicznie.

– Co wyście...?! Chcecie i mnie zabić? – wrzasnął.

– Nie, nie, nie – nerwowo zaprzeczył Utin. – Tylko smokom szkodzi. Możecie spokojnie wziąć do ręki. Patrzcie. – Przesunął palcem po ostrzu, rozcinając skórę. – Widzicie?

Yurto skrzywił się niechętnie. Obejrzał nieufnie broń.

– To skąd wiecie, że na smoki skuteczna? – zapytał.

– Bo już trzem dała radę – odpowiedział z dumą Utin. – Pewna to rzecz, wierzcie mi. Błagam was, w imieniu swoim i całej osady. Pomóżcie!

Krasnolud cofnął się, podrapał po gęstej czuprynie i zamyślił.

– Nie widzi mi się – zaczął wreszcie – nadstawiać karku... tak ino w imię miłosierdzia i waszej z moim wujem dawnej przyjaźni. Zawsze to jednak smok, a nie jaki knur, co się w lesie zapodział. Różnie być może.

– Rozumiem. Jasne, że rozumiem – potaknął szybciotko wielmożny. Najwyraźniej temat zapłaty był mu bliższy niż dyskusje o samym zadaniu, bo tym razem nie kręcił się nerwowo, nie rozglądał na boki, a patrzył w oczy gościa. – Bo widzicie, smok, jak to smok, na skarbie siedzi... Pół tego skarbu wasze będzie...

– Oj, wasza miłość. – Yurto zaśmiał się ironicznie. – Wy to mnie jednak za wiejskiego głupka mieć musicie. Jakie pół, skoro cała robota moja? Ja dupę narażam i mnie ewentualność podpieczenia przez gadzinę czeka. To i ja całe złoto, i wszystko, co w gawrze znajdę, przytulę do łona. Inaczej za gościnę podziękuję i zawracam do wuja, coby się pożalić na gościnność wielmożnego Utina.

Przez chwilę panowie spoglądali na siebie w pełnej napięcia ciszy. Wreszcie gospodarz westchnął boleśnie i rzekł:

– Niech wam będzie. Skarb cały wasz.

– No to ja się zastanowię. – Yurto wstał od stołu. Skłonił się szybko, z błyskiem złośliwości w oku sięgnął po magiczny toporek i wcisnąwszy go za pasek, ruszył do wyjścia. – Każcie mnie jakie świeże odzienie i kąpiel z olejkami nagotować. Aaa... bym zapomniał. Skoro mam zacząć moją osobę na śmierć narażać, a dzień jutrzejszy może być moim ostatnim, chcę też jakowej przyjemności zażyć. – Widząc, że mężczyzna nie rozumie, wytłumaczył: – Dziewkę, ino chętną, w komnatę przyslijcie.

I nie czekając na potwierdzenie, ukłonił się raz jeszcze, po czym wyszedł.

* * *

Woda w balii już prawie ostygła, ale krasnolud wciąż nie chciał wychodzić. Łagodny aromat fiołków koił zmysły, a i w myśleniu pomagał. Było zaś o czym dumać. Zdaje się, że wujo zrobił mu brzydki żart. Udawał, że na wypoczynek w leśne zadupie śle, a po prawdzie na wyprawę przeciw magicznej gadzinie szykował. Ot, graf miał zdumiewające poczucie humoru. I co teraz? Czy Yurto ma iść przeciw smokowi? Noż cholera, nigdy przecie w bitwie nie brał udziału. Nie do tego był szkolony. Przeszpiegi, podsłuchy, zasięganie języka, udawanie kogoś innego... O tak. W tym był świetny. Ale walka?

Spojrzał na łóżko, gdzie leżał magiczny toporek.

No ale wuj chyba na niego liczył. A i majątek mógł przy tym Yurto całkiem pokazywać zdobyć. Wuj miał rację, sakiewka świeciła pustkami, a życie kosztowało...

Uniósł powieki, kiedy drzwi skrzypnęły. Znajoma dziewczyna weszła, niosąc odzienie i drżący kaganek. Dygnęła grzecznie, a potem, odłożywszy ubranie, podeszła do balii.

– Potrzebujecie mojej pomocy, panie? – zapytała z błyskiem rozbawienia w oku.

– Ano, Niuleńko. – Mrugnął filuternie. – To i owo mogłabyś mi pomóc dobrze oczyścić.

– Znaczący plecy, wasza miłość? – zachichotała.

– No, plecy też – potaknął, przeciągając słowa.

– Ale się umoczę, panie... – Nie przestawała chichotać.

– Jest na to sposób, Niuleńko. – Uniósł brwi. – Zrzucić szatkę, a pozostanie sucha.

Dziewuszka przekręciła głowę. A potem powoli rozsznurowała suknię i zsunęła ją z ramion.

Była drobna i szczupła, a on lubił dorodne kobiety. Kiedy jednak zobaczył nagą Niulę, uznał, że czas zmienić upodobania.

* * *

– Pójdiesz, panie, do smoczej gawry? – zapytała dużo, dużo później, unosząc się na łokciu. Wilgotne włosy rozsypały się na nagim ciele, pieszcząc sterczące sutki dziewczyny. Yurto nie potrafił się oprzeć. Zamknął dłoń na drobnej piersi, czując, że ponownie wracają mu siły.

– Oj, dziewczyno, nie umiem się tobą nacieszyć – jęknął, popychając ją w pościel. Po chwili znów oboje krzyczeli. Niula wyrznęła paznokciami krwawe ślady na plecach kochanka, ale on nawet tego nie poczuł. Opadł na łożo, oddychając ciężko, z szerokim uśmiechem wszechogarniającego szczęścia.

– Pójdiesz? – powtórzyła po chwili.

Yurto spojrzał na dziewczynę, marszcząc lekko brwi.

– Wielmożny kazał ci się dowiedzieć?

– Nie. – Uśmiechnęła się. – Po prostu chcę wiedzieć.

– A jak uważasz? Powinienem iść?

– Co tam ja, mój panie. Nie będziesz przecież słuchał posługaczki, prawda?

Młodzieniec uśmiechnął się pod wąsem.

– Skoro pytam, pewnie będę. To jak? Powinienem czy nie?

– Powinieneś. – Westchnęła smutno, siadając. – To może być nasza jedyna okazja, żeby pozbyć się bestii. Za długo już... – zawahała się. – Potrzebujemy światła i

wolności, a ty, panie Hydon, możesz stać się naszym wybawicielem. Tak więc i owszem, uważam, że powinieneś iść do smoczjej jaskini.

Przez chwilę milczeli. Yurto wyciągnął rękę, by wziąć w palce kosmyk jasnych włosów dziewczęcia. Zawinął je wokół kciuka i łagodnie pociągnął pannę na swoją pierś. Kiedy opadła, uchwycił jej głowę w wielkie dłonie i delikatnie pocałował zroszone potem czoło.

– Dobrze więc, moje śliczności, pójdę. – A kiedy Niula wtuliła się w krasnoludzką pierś, przymknął oczy i dodał: – Zaraz, jeno odpocznę.

* * *

Owo zaraz zajęło krasnoludowi cały wieczór i pół nocy. Spał głęboko, bez snów, zupełnie jak pierwszego dnia, z tą jednakową różnicą, że tym razem zmęczenie pojawiło się ze zdecydowanie naturalnego powodu. Kiedy się obudził, był sam. Nie bardzo potrafił określić, czy to rano, czy wieczór. Nie było mu to też do niczego potrzebne. Wstał, ubrał się, zatknął za pas toporek i ruszył na poszukiwanie jedzenia.

Skoro bowiem miał zejść z tego ukochanego świata, chciał ostatni raz najeść się do syta.

Ominął rozświetloną komnatę, która w tej chwili nie raziała już blaskiem. Jakoś nie miał ochoty na spotkanie z gospodarzem. W ciemności bez trudu odnalazł pustą w tej chwili kuchnię, a w niej półmiski mięsiwa i wciąż ciepły chleb. Usiadł, by w ciszy, mroku i samotności zjeść być może ostatni posiłek. Zapewne powinien czuć strach, a przynajmniej martwić się i już z całą pewnością stracić apetyt. Zamiast tego siedział przy stole z szerokim uśmiechem i zajadał się z przyjemnością. Ciekawe... Dawno nic go tak nie cieszyło. Wcale nie chciał uciekać. Przeciwnie, nie mógł się już doczekać spotkania ze smokiem.

Zmarszczył brwi, bo przecież to nie było jednak normalne. Zwykle nie palił się do bójki... Dziwne.

Nic to. Otarł wąsy i brodę z resztek jedzenia. Trzeba iść. Gadzina czeka.

Znalezienie wejścia do jaskini nie stanowiło problemu. Z daleka poczuł intensywny smród spalenizny. W mroku dojrzał osmalone skały i wysokie kupki popiołu zasłaniające dziurę pomiędzy kamiennymi ścianami. Najwyraźniej wielmożny zużył całe mnóstwo gałęzi, a te spłonęły doszczętnie. Głupiec. Czego oczekiwał? Że spali smoka? Najbardziej ogniste stworzenie w Krainie? No głupiec.

Yurto, przysłaniając usta i przymykając powieki, wszedł w popiołowe kopczyki. Brodził w nich przez chwilę. Wreszcie poczuł ostre kamienie pod cienkimi

podeszwami. Znak, że dywan z prochu już się skończył. Krasnolud otrzepał odzienie i włosy, a potem otworzył oczy.

Zdobiona baśniowymi naciekami olbrzymia jaskinia wyglądała jak miejsce, o którym we wczesnym dzieciństwie opowiadała Yurto babcia. Tajemnicze i piękne, niczym wysnzione. Mimo mroku i wilgoci trudno było się nim nie zachwycić. Toteż i młodzieniec stanął na chwilę, by chłonąć urodę jaskini. Wyobraził sobie, jak wyglądałaby rozświetlona pochodniami, jak zastygłe w pół drogi krople wody migotałyby odbitym blaskiem. Tak, zaprawdę byłby to cudowny widok. Uśmiechnął się rozmarzony, a potem rozejrzał niechętnie. Jakoś nie bardzo widziało mu się opuścić to чудо. No ale jak mus to mus. Trza iść.

Dalej były kolejne jaskinie połączone zdumiewająco szerokimi korytarzami prowadzącymi w dół. Każda kolejna grota wydawała się nieco mniej mroczna, a i piękniejsza niż poprzednia. Łasemu na uroki krasnoludowi zapierało dech w piersiach. Kiedy dotarł do szóstej jaskini, zatrzymał się gwałtownie.

Na środku płonął złocisto-czerwony płomień, a jego światło igrało w stalaktytach i stalagmitach. Kryształy odbijały go, załamując i rozszczepiając w dziesiątki barw.

– Piękny, prawda? – Miękki, łagodny głos nie zabrzmiał gdzieś obok, a pojawił się w umyśle Yurto. Chłopak rozejrzał się nerwowo. Z mrocznego kąta groty powoli wysunął się potężny złoty smok. W zielonych oczach migotały odbite od kryształów wielobarwne płomyki.

Krasnolud szarpnął się. Odskoczył. Wyrwał zza paska toporek.

– Och, Yurto. – Smok zachichotał łagodnie. – Ranisz mnie, kochany.

Toporek wypadł z omdlałej naraz dłoni. Yurto zachwiał się.

– Chyba nie zemdlejesz, skarbie? – Smoczyca postąpiła jeszcze krok, zmieniając się w jasnowłosą kobietę. Niula podeszła do kochanka, miękko kołysząc biodrami. – Spokojnie, najdroższy. – Wzięła go za rękę, odsuwając od leżącej broni. Pozwolił się prowadzić, nie wiedząc, czy wiedzie go magia, czy też zdumienie.

– Och, nie bądź taki zaskoczony. Nie spodziewałeś się? Naprawdę? A sądziłam, że tak troszeczkę...

– Niula?

– Konkretnie Niulatriyrdherdgeyu Ugh Arghrtdredorethun, ale tego chyba nie umiałbyś powtórzyć, więc nieco skróciłam. – Zachichotała radośnie.

– No... Nieco. Jesteś smokiem?

– Tak by wyglądało.

– Ale jak?

– Tak jak ty krasnoludem. Mamusia i tatuś... Jesteś dużym chłopcem i z tego, co pamiętam, wiesz, jak się dzieci robi. Całkiem sporo wiesz.

Pokręcił głową.

– Ale kazałaś mi przyjść...? Dlaczego?

– Usiądź, skarbie. – Wskazała olbrzymi głaz, a kiedy Yurto wykonał polecenie, usiadła mu na kolanach. Oparła policzek na ramieniu młodzieńca i wpatrując się w jego oczy, zaczęła mówić: – Bo widzisz, czas najwyższy, żeby na górę wróciło światło.

– Chcesz, żebym cię zabił? – wyszeptał przerażony.

– Och, nie, głuptasie! – Zaśmiała się. – Nie mnie.

Pewnie by się poderwał po tych ostatnich słowach, wypowiedzianych zimnym beznamiętnym tonem, gdyby właśnie w tej chwili Niula nie liznęła łagodnie jego odsłoniętego karku, a potem nie szczypnęła ząbkami wilgotnej skóry. Yurto odetchnął głęboko, jękliwie i zmrużył oczy.

– Bo widzisz, Yurto – szeptała dziewczyna – kiedyś cała okolica należała do mojej rodziny. I dworek, i domostwa. Mieszkaliśmy sobie całkiem zgodnie z okoliczną ludnością. Dawaliśmy im pracę, a oni służyli nam z radością. Nikt nikogo nie gnębił. Nikt nikomu nie wadził. Kiedy przychodził nam apetyt na coś większego – uśmiechnęła się drapieźnie – wybieraliśmy się na łowy w Zalasową Puszcę. I wszyscy byli zadowoleni. Aż któregoś dnia po powrocie nie zastałam ani rodziców, ani służby, ani przyjaznych mieszkańców. Był za to wredny czarodziej, który okrzyknął się nowym właścicielem. Wygnał moją rodzinę, wygnał ludzi, a tych, którzy odejść nie chcieli, pozamieniał w świetliki. Glejtami się zastaniał. Pewnie, że podrobionymi. Na znajomości w Krasnoludzkiej Radzie powoływał... do czego, tego to już jestem pewna, że nie miał prawa. – Uniosła głos i zacisnęła pięść. Potem wstała z kolan krasnoluda. – Więc ja też rzuciłam czar. A co tam. Potrafię. Nie takie rzeczy potrafią Złote smoki z Itru. Nawet udawać służkę pod nosem potężnego maga. Tak, na to też są zaklęcia. – Uśmiechnęła się ponuro. Potem przechyliła głowę i dodała już spokojniej: – Zamknęłam osadę w mroku, a czarodzieja uwięziłam w dworku. Zeżarłabym łajdaka, ale obwarował się zaklęciami w jadalnej komnacie i wyciągnąć go z niej nie idzie.

Odetchnęła głęboko, zamrugwała zalotnie i zamilkła. Yurto wpatrywał się w nią, próbując poukładać sobie owe rewelacje. Wreszcie wstał.

– Niula, ty wiesz, że ja nic wbrew Radzie nie mogę, prawda? – zapytał smutno, sięgając po magiczny toporek.

Dziewczyna pokiwała głową. Zrobiła dwa kroki i bezszelestnie zmieniła się w złotego smoka.

– Wiem, kochany – pojawiło się w krasnoludzkim umyśle. – Dlatego właśnie...

* * *

Wielmożny Utin siedział w rozświetlonej komnacie, obgryzając z nerwów paznokcie, gdy naraz ciemność za oknami ustąpiła popołudniowemu słońcu. Mężczyzna podskoczył gwałtownie. Podbiegł do okna i niepewnie sięgnął skobla. Zakłęcie smoczyca nie pozwalało go otworzyć, a teraz zawiasy skrzypnęły cicho i do komnaty wpadło czyste leśne powietrze pachnące runem i wilgotnymi liśćmi.

– Udało się! – wrzasnął Utin. – Udało się kurdupłowi! Niech szeszne!

Zmrużył oczy i zachłysnął się świeżością zapachów. Chłód lekko pieścił skórę, a ostatnie promienie słońca przeciskały się przez gęste korony drzew.

Czarodziej roześmiał się głośno, a potem pobiegł do drzwi. Zawahał się, otwierając je. Nie wychodził z tego pokoju od miesiący, przerażony myślą o smoczej gardzieli. Dłoń na drewnianym skrzydle zadrżała, ale ostatecznie pociągnęła je, otwierając szeroko wejście. Utin cofnął zakłęcie. Zrobił dwa kroki na korytarzu, kiedy zobaczył krasnoluda. Yurto szedł z ponurą miną, niosąc toporek.

– Wdzięczność! – zakrzyknął czarodziej, przyspieszając. – Wdzię...

I nie skończył, połknięty przez pędzącą smoczycę.

Niula poruszyła szczękami, oblizwała strumyczek krwi spływający z warg i spojrzała na krasnoluda.

– Ano, kochany, wdzięczność ci jestem winna... – dokończyła za czarodzieja.

Do Jaśnie Wielmożnego, szlachetnego grafa Iresa de Gra Yudbertardere

Wuju mój przenajmilejszy!

Dziękuję Ci bardzo za radość, jaką mi sprawiłeś, wysyłając mnie na kanikułę w Zielone Bory. W przyszłości jednakowoż, Wujaszku ukochany, zechciej bardziej sprecyzować, kto jest, a kto nie jest Twoim starym przyjacielem, cobym tyłka nie narażał bez potrzeby. Listy od Ciebie do Niuli przeczytałem z niejakim zdziwieniem. Oj, nie godzi się, Wujaszku. Nie godzi! Cioteczce bym rzekł, ale mogłaby nie zrozumieć, jak to możliwe, żeś w bliskiej komitywie z moją najmilejszą narzeczoną przebywać mógł. Ano, Wujaszku, narzeczoną. Zdaje się, że już nie musisz głowy swej przemądrej losem mojej sakiewki tarabanić. Pannę biorę sobie zamożną, a że dziewczę miłuję serdecznie, to i wierności mojej może być pewna.

Niniejszym, Wujaszku kochany, ze służby w Krasnoludzkiej Radzie proszę o zwolnienie. Tu, w Borach muszę pozostać i dobytku, a i żony przyszłej pilnować, nie zaś po Krainie się włóczyć i przygodami radować.

Na ślub, Wujaszku, zjedźcie z Ciotuchną z końcem letniej pory. Jen... tak się mnie zdaje... wcześniej jednak rodzina nam się zwiększyć może. A i na tę okazyję czujcie się

zaproszeni.

*Twój wielce wdzięczny siostrzeniec
wraz z panną Niulatrydtherdgeyu Ugh Arghrdredorethun
PS Chwałaż bogom, że po ślubie zmienić nazwisko będzie musiała.*

Obudzić królową

Barwny korowód parł ciasnymi uliczkami miasta. Ludzie tańczyli w uniesieniu, wywijali rękami, podrygiwali, podskakiwali w rytm ogłuszającej kakofonii dźwięków. Szyby w oknach domów drżały poruszone tupotem odzianych w chodaki stóp. Procesja zagłuszała wszystko inne. Jazgot bynajmniej nie przypominał tego, czym miał być z założenia. W paraliżującym hałasie trudno było rozróżnić słowa i określić, czy wszyscy śpiewają ten sam utwór, czy każdy coś innego.

Idący z dala od tłumu wysoki szczupły mężczyzna skrzywił się z niesmakiem i przyspieszył kroku. Chciał jak najszybciej dotrzeć do celu, żeby odnaleźć ukojenie w ciszy zamkniętych drzwi. Kiedy dojrzał niski budynek na końcu ulicy, z niejakim rozbawieniem pomyślał, że dom wygląda zupełnie jak jego właściciel. Brzydki, niski, acz rozłożysty, z czerwonym dachem i bluszczem oplatającym fasadę, jak włosy i broda Sodiego Yudherhardere. Gdyby jeszcze domostwo przeklinało w każdym zdaniu, byłoby zupełnie jak krasnolud.

Yasa roześmiał się cicho i wszedł do środka bez pukania.

– Znowu procesja, co? – Krasnolud stanął przy oknie i przyglądał się paradzie. – Czasami, kurwa, myślę, że to miasto nic nie robi, ino się modli. Toż bogowie chyba rzygają ich ciągłym nawoływaniem. Przynajmniej ci, co mają odrobinę słuchu.

Gość nie skomentował słów gospodarza.

– Obiad na stole, panie Yasa. Znowu polewka. Trza pomyśleć o jakiejś robocie, bo nam zasoby marnieją.

Yasa wyjął zza paska sakiewkę i rzucił ją na ławę.

– Zabierajcie to – zachnął się krasnolud. – Przecie nie wezmę talarów od najmilejszego przyjaciela, co nie? Tak se inom mruknął. Toż nie mogę całymi dniami siedzieć w chałupie i drygębom się przyglądać. Ogłupieję od tych wrzasków albo, co gorsza, odkryję jakie powołanie i do monastynu wstąpię.

Mag uśmiechnął się nieznacznie.

– No dyć, macie rację. – Yudherhardere roześmiał się. – Nie ma takiego klasztoru, który byłby mnie godzien. No i w żadnym na pochedózkę liczyć nie mogę... Nie sądziłem, że to powiem, ale brakuje mi królewskich piernatów, nawet z tymi durnymi żądaniem królowki... Gdziekolwiek by nas wysłała, zawsze przynajmniej dziewczki czekały na powrocie. – Rozmarzył się na chwilę, ale zaraz skrzywił. – A tu w burdelu trzy talary za dupę. Trzy talary, niech im już wy tam wiecie co przyszczami się

osypie! A od ludzi jednego biorą. W czymże ja gorszy jestem? Dogodzić takiej mogę i lepiej niż niejeden opasły kupiec. To mnie, kurwa, dopłacać powinny!

I z ogromnym żalem nad ową niesprawiedliwością zasiadł przy stole. Zamieszał w misie, wzdychając ciężko. Potem podniósł wzrok na gościa.

– No, siadajcie, panie Yasa. Przepis na polewkę babka mi zostawiła. Lepszej nie ma w całej Krainie.

Właśnie gdy gość zamierzał przyjąć zaproszenie, chwilową ciszę przerwało walenie do drzwi.

– Kogoż niesie? – Krasnolud wstał, ale mag go uprzedził i otworzył drzwi.

Niewysoki chłopak, niezbyt urodziwy i z pierwszymi oznakami nadchodzącej otyłości na okrągłej twarzy, z trudem łapał oddech, jakby biegł od dłuższego czasu. Na widok Yasy odetchnął z wyraźną ulgą.

– Nareszcie – wydyszał. – Tylem biegł za wami. Jużem myślał, że mi się nie uda.

– A wyście kto? – zapytał ostro krasnolud, jako że młodzian przypominał mu owych opasłych kupców, co to na każdej pannie dwa talary oszczędzają.

Chłopak ledwie na niego spojrział.

– Jestem Symen Toree, panie. – Wpatrywał się w maga z uwielbieniem i nadzieją. – Od dwóch dni was szukam. Wszędzie za wami chodzę i zawsze mi uciekacie. Tak się cieszę, że wreszcie zdążyłem. Tak się cieszę. Potrzebuję waszej pomocy. Zapłacę, ile będzie potrzeba.

Yasa uśmiechnął się leniwie.

– Nie stać cię na mnie, chłopcze.

– Oj panie, stać, stać. Tatulek kazał dać ile trzeba, a tatulka stać. – Roześmiał się nerwowo. – Zapłacę, ile potrzebujecie.

– Rzecz w tym – mag wciąż się uśmiechał, ale głos miał chłodny – mój drogi chłopcze, że ja niczego nie potrzebuję.

– Zaraz, zaraz. – Sodi, słysząc o wynagrodzeniu, od razu wykazał zainteresowanie, a i nuty w jego głosie zrobiły się cieplejsze. – To ile możecie zapłacić?

Czując potencjalnego sojusznika, młody Toree utkwiał w krasnoludzie pełne nadziei spojrzenie.

– Tatulek są największym kupcem na południu. Dadzą, ile będzie trzeba – powtórzył niczym mantrę.

– Panie Yasa? – Sodi spojrział wyczekująco.

Mag nie odpowiedział, tylko niedostrzegalnie wzruszył ramionami.

– Słuchaj, synu... – Yudherthardere uśmiechnął się jowialnie, zapraszając młodzieńca do środka i zamykając za nim drzwi. – Ja ci chętnie pomogę. Stawkę

mam niewygórowaną.

– Nie obrażcie się, panie, ale mnie trzeba pomocy najlepszego czarownika. A lepszego od pana Yasy nie znajdę. Jego mi potrzeba.

– A dlaczegóż to? – kontynuował Sodi, rozpaczliwie próbując wzbudzić zainteresowanie czarodzieja, który, ignorując rozmawiających, zasiadł do stołu i zaczął jeść.

– Bo wiecie, panie... – Chłopak usiadł nieproszony przy ławie i łakomie wpatrując się w misę z polewką, kontynuował: – Tatulek bogaci są, a ja jestem jego pierworodnym. Pieniądzy nam nie brakuje, ale tatulkowi zapragnęło się tytułów. No i wymyślił ożenić mnie ze szlachcianką. Tyle że, wiecie, nie chce jakiejś zwykłej szlachcianki... Zamarzyła mu się królowna i żebym został panem na zamku...

Krasnolud uśmiechnął się krzywo.

– No to marzenia ma niewygórowane... Już widzę, jak królowe paniska tłuką się wzajem, coby za was córkę wydać.

– Matula to samo rzekła, ale tatulek wie swoje. Sobie wymyślił, że mnie wyśle do Śpiącego Królestwa, żebym, no wiecie, obudził królownę i w zamian dostał jej rękę i tron, no i w ogóle...

– Co?! – Gospodarz zaśmiał się głośno. – Większej bzdury już wymyślić nie mógł? Kto mu bajdy takowe naopowiadał? Śpiące Królestwo?! Taaa... na każdym rozstaju dróg idzie znaleźć znaki z drogą doń. Tylko nikomu się wcześniej zostać królem nie zamarzyło, więc wszyscy oweż wskazówki ignorowali.

– Słuchaj pana Yudherthardere, chłopcze – przytaknął cicho Yasa. – Śpiące Królestwo to tylko legenda.

– Matula też tak mówiła. – Chłopak pokiwał głową, z wolna przesuwał się w kierunku misy. – Ale tatulek mapę dali i kazali iść.

– Mapę? – zapytali jednocześnie Sodi i mag.

– Ano mapę. – Symen znowu pokiwał. – Znaczy kazali iść do czarodzieja, a potem tam, ale pomyślałem, że trochę grosza zaoszczędzę i sam sobie poradzę... Jecie to? – zapytał, wskazując polewkę.

– Nie, częstuj się.

– Dziękuję. Od rana nic w gębie nie miałem... Co to ja? – Zabrał się błyskawicznie do jedzenia, jakby od owego rana minęło z pięć dni, a nie ledwie kilka godzin.

– Chciałeś grosza zaoszczędzić...

– No właśnie, zaoszczędzić. Tatulek zawsze mówią, że pieniądź rzecz święta i jak musu nie ma, nie trza go wydawać.

– Prawe słowa – przytaknął krasnolud nieco tylko zniecierpliwiony.

– Właśnie... więc poszedłem sam. Królestwo znalazłem, obmurowane i całe obrosnięte jakimiś krzakami, drzewami i innym badziewiem, co to nie szło się przez nie przedostać. A chłód taki stamtąd szedł, że się mnie włosy zjeżyły... Dobra ta polewka, bardzo dobra. Samiście gotowali?

– Tak. I co z tym królestwem?

– No nic. Jak ten chłód poczułem, trochę się mnie dziwnie zrobiło, ale nic. Sroce spod ogonam nie wypadł, bojaźliwy bardzo nie jestem... Myślę: pójdę dalej. Ledwie jednak złapałem się krzaka, żeby nań wleźć, coś mnie za kołnierz złapało, coś obok trzasnęło, skry się posypały, głosy jakieś ozwały. I anim się obejrzał, jak leżałem na ścieżce wiele kroków od muru. No to żem uznał, że wydać te pieniądze to jednak mus, i zacząłem szukać przedniego czarodzieja. A jakem usłyszał, że pan, panie Yasa, w mieście gościecie, to żem pędem tu przyjechał... No i przez dwa dni ciąglem nie mógł na was trafić. Nareszcie się udało.

Zamilkł, połykając ostatni łyk polewki. Potem odłożył łyżkę, odsunął miskę i zerknąwszy najpierw na krasnoluda, zapatrzył się na maga.

Yasa opuścił ciężkie powieki i spod długich rzęs obojętnie przyglądał się chłopcu. Sodi zaś wyglądał tak, jakby coś gryzło go w szeroki zadek. Przebierał nogami, zacierał wielkie łapska i nerwowo spoglądał na przyjaciela.

– To jak będzie? – zapytał Toree, o jeden oddech wyprzedzając niecierpliwego gospodarza.

– Dwie ulice stąd – odpowiedział cicho mag – jest sklep kupca bławatnego. Idź tam, chłopcze, i kup szal z zaorańskiego jedwabiu przetykany perłowymi i złotymi nićmi.

– Panie? – Chłopak zmarszczył brwi.

– Zadbaj o to, by jedwab był z Zaorii, a nici w nim z prawdziwego złota i pereł.

– A kolor jaki wam wziąć?

– Kolor nie jest ważny, chłopcze. – Yasa uśmiechnął się lekko.

Chłopak poderwał się z ławy i rzucił ku drzwiom.

– Symenie. – Czarodziej zatrzymał go, a w jego głosie zabrzmiały ostrzegawcze nuty. – To jest ta chwila, gdy wydanie dużych pieniędzy to mus.

Młodzieniec zarumienił się mocno. Rzeczywiście stało mu w głowie, by miast bardzo drogiego jedwabiu z Zaorii kupić jakąś północnokraińską podróbkę. Zaoszczędziłby z pięćdziesiąt talarów, jak nic.

– Rozumiem, panie – przytaknął niechętnie i mimo że na usta cisnęły się różne pytania, szybko wyszedł.

– Znaczy pójdziem Śpiące Królestwo budzić? – zapytał zniecierpliwiony krasnolud.

Yasa tylko się uśmiechnął.

– Dziwne, że tak szybko zmieniliście zdanie – kontynuował Sodi – jakżeście ino o mapie usłyszeli. Rzekłbym, że to waszej, już wy tam wiecie w czym, biegłości królewna ze świętą stuletni sen zawdzięcza...

– Pięćsetletni, drogi Yudherthardere – sprostował mag. – I nie, nie uspiłem królestwa.

– A królowę?

– Ani królestwo, ani królewna nie śpią z mojej przyczyny.

– To czegoście tak młodego mocno od poszukiwań odwieść chcieli?

Czarodziej wciąż się uśmiechał, ale w onyksowych oczach połyskiwało chłodne ostrzeżenie. Krasnolud, nie doczekawszy się odpowiedzi, przestał na nią nalegać. Wzruszył ramionami i uśmiechnął się krzywo.

– No dyć nie ma się co tak wkurwiać, panie Yasa. Takem ino pytał. To ile weźmiemy od młodego?

– Nie potrzebuję pieniędzy.

– No wy nie, ale mnie to by się trochę mamony zdało.

– Więc sami ustalcie stawkę – westchnął mag.

Przez chwilę krasnolud patrzył rozmarzony, ewidentnie wspominając słowa młodzieńca o bogactwie tatulka. Umysł handlarza, potomka bogatych i chociaż szlachetnie urodzonych, to jednak krasnoludzkich kupców, błyskawicznie obliczał, ile może, a ile chciałby zawołać od Toree.

I właśnie w chwili, gdy cyferki dodawały się i mnożyły, a suma w wyobraźni Yudherthardere rośla pod niebiosa, w tymże samym momencie za jego drzwiami zabrzmiały wrzaski, a wśród nich górował piskliwy zaśpiew przyszłego dobroczyńcy krasnoluda.

Pomny nadchodzących dochodów, Sodi skoczył ku wyjściu. W drodze złapał jeszcze leżący na ławie topór. Szarpnął skobel i stanął oko w oko ze zgrają opryszków okładających młodego Toree. Chłopak wrzeszczał jak opętany i wił się niczym piskorz, bezskutecznie próbując uniknąć ciosów.

– Spieprzać mi w tej chwili, kurwa mać! – krzyknął Yudherthardere, rzucając się chłopcu na ratunek. Nie wiodła go bynajmniej ni miłość bliźniego, ni, tym bardziej, odwaga, a jedynie wizja uciekających profitów. Ten obraz pobudzał najmocniej. I to on sprawił, że mały mężczyzna wbiegł między rzezimieszków, wywijając bronią. Siekł nią zaciekle, nie spodziewając się jednak większego oporu. Jednak gdy pierwsze, jak się mu zdawało, śmiertelne uderzenie miał sięgnąć celu, trafiło na ostrze trzymanego przez łotrzyka miecza, krasnoludzkie oczy rozszerzyło zdumienie.

Poznał to ostrze, kiedy błysnęło w słońcu. Promień przemknął przez runy na głowni i ukrył się w czarnej perle wciśniętej w rękojeść.

Sodi rzucił szybkie spojrzenie stojącemu w bramie czarodziejowi. Szybkie, bo na więcej nie znalazł czasu. Zaatakowany ze wszystkich stron, ledwie nadążał ciąć toporkiem, jednocześnie rozglądając się za niedoszłym źródłem dochodów. Znalezienie go nie było trudne, bo młody Toree wrzeszczał jak zarzynany. Krasnolud bezskutecznie próbował dotrzeć do chłopca. Młodzieniec oganiał się od rzezimieszków, z trudem parując uderzenia długim sztyletem. Krzyczał przy tym coraz słabiej, bo co rusz kolejne cięcie sięgało celu, znacząc drogą koszulę chłopaka czerwonymi śladami.

I kiedy zdało się, że młodzian polegnie, a krasnolud pójdzie w jego ślady, stojący wciąż u drzwi Yasa zmrużył oczy. Fala pierwotnego zaklęcia przetoczyła się przez dziedziniec. Potężny czar uderzył w walczących. Złapał każdego z napastników i rzucił na kamienistą drogę. Przyparł do nagrzanego słońcem tłuczni, zapierając dech w piersiach. Odgłosy walki naraz zamilkły. Moc zacisnęła się na krtaniach leżących. Niczym potężne, niewidzialne dłonie miażdżyła karki rzezimieszków.

Sodi oddychał ciężko. Jakiś czas jeszcze leżał, bo Yasa, rzucając zaklęciem, nie zdążył go dobrze osłonić, więc Tropiciel szarpał krasnoludzkim umysłem. Tym razem jednak Yudherthardere nie zamierzał się na przyjaciela złościć za używanie czarów. Zbyt mu był wdzięczny za ocalenie skóry. Rozmasował skronie i w końcu podniósł się z trudem, a później popatrzył wokoło. Napastnicy leżeli martwi lub umierający. Krasnolud pokiwał głową w milczeniu, szukając niedoszłego mocodawcy. Wreszcie zobaczył chłopca, ale Toree leżał bez czucia. Yudherthardere przyskoczył do niego i potrząsnął nieprzytomnym. Wymarzone błyszczące talary rozplywały się błyskawicznie. Spojrzał zrozpaczony na maga. Ten podszedł szybko. Odsunął krasnoluda i przyklękawszy, dotknął chłopaka. Czar zapłonął na smukłych palcach czarodzieja. Skrami tańczył na opuszkach, by wolno spływać na posiniałą skórę nieprzytomnego. Gdy już tego dokonał, Yasa wstał i odciągnął Sodiego.

Płomień płynął, bynajmniej nie paląc skóry, lecz cienkimi złocistymi wstęgami znacząc drogę. Mijał kolejne rany i goił je, pozostawiając ledwie widoczne blizny. Wreszcie, przemknąwszy przez całe ciało, dotarł do serca Toree. Szarpnął nieprzytomnym raz i drugi, a potem poderwał go ponad kamienie. Niewysoko, ledwie na długość łokcia. Ślady wędrującego płomienia rozbłysły, zapłonęły, wyrwały się z ciała i poleciały ku niebu.

Symen opadł ciężko na drogę.

– Co jest? – zapytał, otwierając oczy.

– Ożeż... – sapnął Sodi, ciężko klapnąwszy na ziemię. Z mieszaniną przerażenia i zachwyty wpatrywał się w Yasę. – Ożywiliście go?

Mag tylko spojrzał.

– No co? Dyć macałem, nie dychał. Wcale nie dychał.

– O czym wy mówicie? – zdenerwował się młody kupiec, wpatrując się to w czarodzieja, to krasnoluda.

Yasa nie odpowiedział. Odwrócił się bez słowa i wrócił do domu. Nie zwracając uwagi na leżących napastników, chłopak poderwał się i ruszył za nim.

– No o czym? – powtórzył.

Yudherthardere patrzył za nimi chwilę, siedząc za kamienistej ziemi pośród ciał zabójców. Wreszcie podniósł się niechętnie i przeklinając pod nosem, poczłapał ku otwartym drzwiom. Zatrzasnął je, aż futryna zadrżała.

– Kurwa mać! – wrzasnął za progiem. – Bracia Perły! Co tu, do ciężkiej cholery, robią Bracia Perły?

Żaden z gości nie odpowiedział. Nawet nie spojrzeli na gospodarza. Yasa przyglądał się w milczeniu młodemu kupcowi. Ten, choć dotąd niezwykle skłonny do rozmów, również zamilkł i wpatrywał się w maga. Szeroko rozwarte oczy, a w nich nienaturalnie wielkie źrenice, otwały bramy dla myśli Pierwotnego.

Sodi nie pierwszy raz widział, jak czarodziej czyta rozmówcę. Tym razem jednak przeraził go mrok w czarnych tęczęwkach Pierwotnego. Dlatego też zamilkł i czekał.

Wreszcie Yasa spojrzał na przyjaciela.

– Bracia Perły, panie Yasa? – zapytał ponownie krasnolud, ale już znacznie grzeczniejszym tonem. – Zabójcy na usługach czarnej magii? Myślałem, że to taki naiwny prostaczek, ten nasz Toree, co to wierzy w Śpiące Królestwa i inne takie pierdółkowate bajdy. A tu się na niego najlepsi po złej stronie Krainy siekacze zasadzili. To co? Ołgał nas? Czytaliście go, to wiecie. – Wskazał na młodzieńca, który, jakby go nie słyszał, wciąż wpatrywał się w maga.

Yasa w odpowiedzi uniósł brew.

– Aż, kurwa, nic się od was nie idzie dowiedzieć. – Sodi wzruszył ramionami, jakoś niespecjalnie zdziwiony. – To jedziemy z gówniarzem czy nie?

– Jedziemy.

– Teraz to w sumie nie wiem, czy aż tak na talarkach mi zależy. – Yudherthardere westchnął ciężko, zerkając na zamknięte drzwi. – Nie wiadomo, ilu jeszcze na szczyla poluje. Jakoś odwykłem od wywijania toporkiem. Nudnie i bidnie, ale przynajmniej spokojnie. Może jednak zostaniem.

– Yudherthardere...

– No?

Pierwotny nie odpowiedział.

– No co? – powtórzył niepewnie gospodarz. – W drodze się różne rzeczy mogą przytrafić... Pewnie ze trzy dni jechać będziemy, a kto wie, ilu jeszcze Perłowców za nami ruszy. Samiście rzekli, że pieniędzy wam nie trza, więc może odpuścimy?

– Bracia Perły nie odpuszczą – mag uśmiechnął się ponuro – dopóki nie zabiją dzieciaka.

– A odkądęście tacy czuli, panie Yasa? Nie nasza wina, że gówniarz jakimś czarnym charakterom podpadł.

– A nie dziwi was, że chłopak dwa dni po mieście chodził i nikt go nie tknął, a ledwie zapukał w wasze drzwi, mordercy ustawili się w kolejce?

Krasnolud podrapał się po gęstej czuprynie.

– Znaczy co? – zapytał, mimo że już znał odpowiedź.

Yasa nie odpowiedział. Nie widział potrzeby, by tłumaczyć coś, co i bez jego słów było zrozumiałe. Podeszedł do młodzieńca i łagodnie dotknął jego ramienia. Toree zamrugał gwałtownie i jeszcze nie całkiem rozbudzony, popatrzył na maga.

– Szal, chłopcze. – Pierwotny wyciągnął dłoń. Symen pogmerał za pazuchą i z namaszczeniem wyciągnął żądany przedmiot.

Krasnolud zachichotał nerwowo, pierwszy raz tego ranka prawdziwie rozbawiony. Szal był długi i błyszczący. Rozwinął się w rękach chłopaka i miękkimi falami opadł na podłogę, tworząc niezwykle malowniczą plamę na szarym klepisku. W czerwieni, jakiej nie powstydzilyby się najdroższe nawet lupanary, igrały promienie słońca, tańcząc oszalały taniec w złotych liściach olbrzymich, haftowanych wyrafinowanym ściegiem kwiatów, na których barwy, z powodu ich intensywności, trudno było patrzeć bez bólu głowy.

– Obym tak zdrowy był – śmiał się Sodi. – Pasuje wam do oczu.

Yasa zignorował zarcik i sięgnął po jedwab. Gdy zaś jego skóra zetknęła się z materia, powietrze na moment zapłonęło, lecz zamiast spalenizny komnatę owionął intensywny zapach drzewa sandałowego.

Mag zwinął szal i wsunął go do kieszeni, a ledwie to zrobił, aromat znikł.

– Już – powiedział miękko, uśmiechając się do pozostałych.

– Co już? – spytał Toree.

I naraz cofnął się, oślepiiony gwałtowną jasnością. Pojawiła się pośrodku pokoju i rozrosła błyskawicznie, zajmując całą ścianę.

– Znowu kiszki zatańczą skakanego – wymamrotał krasnolud, bo uśpiony pod jego skórą Tropiciel właśnie kolejny raz budził się do życia, skrobiąc od środka i warcząc

cicho do ucha.

– Co się dzieje? – ledwie szepnął Symen.

– Włóż główniarzu. Nie pytaj. – Yudherthardere wepchnął go w jasność i wszedł za nim.

Porażająca światłość otoczyła ich, zmuszając do zamknięcia oczu. Krasnolud popchnął chłopaka, bo ten naraz jakby skamieniał. Zamarł w pół kroku, chwycił kurczowo rękaw Sodiego i rozwarł wargi do krzyku...

Nim jednak wydobył się z ust młodzieńca jakikolwiek dźwięk, Yuderthardere wyciągnął go z portalu. Wrzask rozerwał więc ciszę lasu, w którym się znaleźli. Wysoki, skowytliwy, zatrząsł chudymi konarami młodych drzewek i zadrżał w liściach tych starych. A potem jak nagle rozbrzmiał, tak nagle ucichł.

– Spokojnie, panie Toree – rzekł miękko Yasa, wychodząc z osłepiającego kręgu. Jasność za jego plecami znikła w jednym momencie. Stanął obok krasnoluda i razem z nim przyjrzał się murowi, pod którym stali. Na chłopca, którego uciszył zaklęciem, nawet nie spojrział.

Wysoka budowla zdawała się sięgać nieba, a na całej długości porastały ją gęsto splecione korzenie.

– Czegoście nas nie przenieśli na drugą stronę? – zapytał leciutko poirytowany Sodi.

– Jak my się, kurwa, tam dostaniemy, ha? Bo chyba będziemy musieli się wdrapać? Co to ja, jaka kozica czy insza górską bestyjka, że se ino śmignę po krzaczkach i już będę na górze? Bo trza nam na górę, co nie?

Yasa uśmiechnął się ponuro.

– Ano trzeba – przytaknął. – Cel jest po drugiej stronie.

– Znaczą Śpiące Królestwo? – zapytał krasnolud z niedowierzaniem.

Mag nie odpowiedział, przyglądając się murowi.

– Królestwo, nie królestwo, ale, cholera, mogliście nas od razu przenieść – wymamrotał Sodi, a później spojrział na zamroczonego kupczyka. – Odczarujcie, ja was bardzo proszę, chłopinę, bo za duży z niego knur, cobym go na plecach miał targać.

Toree zamrugał gwałtownie, ledwie przebrzmiały słowa krasnoluda. Nerwowo przenosił wzrok z jednego na drugiego z towarzyszy.

– Co tu się dzieje?! – pisnął wysokim, wystraszonym głosem.

– Nie wrzeszcz, główniarzu, wystraszysz leśne bestyjki i jeszcze jaka dodatkową dziurę ci w dupie zrobią – warknął Sodi.

Młodzian zamilkł posłusznie. Wciąż jednak przestępował z nogi na nogę i nieco histerycznie rozglądał się wokoło.

– No i dobrze. – Krasnolud pokiwał głową, a potem popatrzył na Yasę. – To niby jak? Skoro gówniarza chaszczę odrzuciły, to niby nam się wliźć tam uda?

Yasa uśmiechnął się ponuro, by zaraz zamknąć oczy. Tym razem osłonił zakłęcie. Tak, że Tropiciel ledwie mruknął w krasnoludzkich myślach. Sodi westchnął, co nieco rozczarowany tym, że jednak nie znajdzie powodu, by wspinaczkę sobie darować. Spojrzał na Toree, a potem wskazał bluszcz.

– W górę, synku – polecił. – Jaśnie wielmożny mag najwyraźniej więcej mocy użyć nie chce, więc trza się wspinać. Dalej, ni ma na co czekać.

Chwycił korzeń, żeby się podciągnąć...

Tropiciel warknął, rażony magią liści. Szarpnął nosicielem i z wrzaskiem zawładnął ciałem Yuderthardere. Czar w poplątanych korzeniach wdarł się pod owłosioną skórę i płonąć, sunął we wszystkie strony. Potęga w genach de Gra skutecznie stawiała mu opór. W ciszy naraz rozległy się szepty, tajemnicza melodia miękkich głosów. Śpiewały tuż pod czaszką coraz głośniej i głośniej. Próbowaly paraliżować Tropiciele, lecz ten je zagłuszał. Najpierw sprawnie, jeden po drugim. Jednak w miejsce każdego cichnącego głosu rodziło się kilka innych. Twór w żyłach krasnoluda potrząsnął jego głową, a potem pchnął Sodiego na ścianę, złapał za korzenie i ledwie minęło kilka uderzeń serca, Yuderthardere znalazł się na szczycie muru.

Głosy krzyczały. Tropiciel ruszył, żeby ściągnąć nosiciela w dół, na drugą stronę ogrodzenia. Ledwie jednak postąpił krok... znikł.

Sodi Yuderthardere, tym razem tylko on, bez swego alter ego, zadrzał. Zachwiał się, a jedna ze stóp straciła oparcie. Zamachał bezradnie, ale nie zdołał utrzymać równowagi...

Żelazny uchwyt zatrzymał jego upadek i pomógł ponownie postawić nogi na murze.

– Oż... – jęknął krasnolud. – Mało brakowało. Co to było, do jasnej cholery?

Yasa uśmiechnął się ponuro i puścił ramię przyjaciela.

– Pierwotny czar – odpowiedział.

– A nie wyłączyście go tam? – Wskazał ziemię poniżej muru.

– Mogłem tylko osłabić – wytłumaczył Pierwotny.

– A uprzedzić nie mogliście? Nie mogliście, co? Niech krasnoludowi bebechy wyrwie i do zadka przytuli, ha? A co tam... – burknął. Potem spojrzał na drugą stronę muru. – Tropiciele już nie czuję. Całkiem nie. To dlategoście Mostu na drugą stronę muru nie rozpięli? Tu magia nie działa?

Mag pokręcił głową.

– To jak my sobie, kurwa, poradzimy, ha? Bez waszej mocy tośmy jak ta gromadka wiejskich przygłupów, co to idą w nieznanne, za ręce się trzymając i podśpiewując ochoczo. – Sodi wykrzywił się żałośnie, rozglądając nerwowo. – Bo wiecie, panie Yasa, ja to was wielce... no wiecie, ale za rączuchnę to ja wolałbym jaką cichodajkę... No, co tak oczy wgapiacie, ha? Zrobiło się mnie tak jakoś... to i gadam po próżnicy, co nie? Ten, co to usunął czary, sam chyba pozbawiony ich nie jest?

Odpowiedziało mu milczenie.

– Tak zem myślał. I pewnie siedzi tam gdzieś i tylko czeka, aż się pojawimy. I rechocze w kułak, że trzech głupków, a raczej dwóch i srający ze strachu szczył, idą do niego... No dobra, ni ma co jężora strzępić. – Spojrzał w dół na wdrapującego się z trudem Toree. – Ruszaj się, chłopie – krzyknął. – Strasznie coś zem wyposzczony, to może sam królową obudzę, co nie? Niech dziewczucha zasmakuje delicyj.

Symen podciągał się krok za krokiem, mamrocząc cichutko. Wreszcie dotarł na górę i stanął obok krasnoluda.

– O matulu kochana – wyjęczał ciężko. – Dyc rację miałaś, trzeba mi było w domu siedzieć, Halunkę sobie wziąć za żonę i dzieci robić, a nie z czarownikami się po lesie włóczyć. – Spojrzał przed siebie, a potem zacisnął pięści. – Dziwnie tak, nie?

– Co dziwnie? – spytał Sodi.

– Mrok tu taki... Po drugiej stronie jeszcze słońeczko nie zaszło, a tu już noc prawie. Tak nie całkiem zem tatulkowi wierzył, ale zdaje się, że to rzeczywiście Śpiące Królestwo. Jak w jakim śnie. Ciemno i głucho. Ani ptaki nie śpiewają, ani liście nie szumią. Cicho... strasznie trochę.

Kiedy zamilkł, głęboka cisza potwierdziła jego słowa. Zadrżał, a potem spojrzał na towarzyszy.

– Jak zejdziemy?

– Tak jak weszliście. – Czarodziej uśmiechnął się ponuro. – Powolutku.

A potem, mocno trzymając się korzeni, zaczął się zsuwać po ścianie.

– Chcesz iść następny, synku? – zapytał słodko krasnolud.

– Gdzieżby... starszym się pierwszeństwo należy.

Schodzili, jak przepowiedział Yasa, powolutku. W gęstniejącym mroku ledwie byli w stanie dojrzeć, gdzie postawić stopę i czego się złapać. Co rusz słychać było przekleństwo w krasnoludzkim, któremu towarzyszyło ciężkie sapanie młodego kupczyka. Najsprawniej wędrowni szła magowi. Jednak to nie on pierwszy znalazł się na ziemi, a Yudherthardere, który naraz stracił oparcie i poszybował w dół. Na szczęście zleciał, gdy już tylko kilka kroków dzieliło go od ziemi. Upadł ciężko, z hałasem łamiąc gałązki.

- Kuuurwa! – wrzasnął.
- Rozumiem, że jesteście cali? – Yasa stanął obok niego i wyciągnął dłoń.
- Strasznie zabawne, że krasnolud dupę obija. No, kurwa, strasznie zabawne – wymamrotał mały mężczyzna, przyjmując jednak rękę i wstając z trudem.
- Trzeba było uważać, drogi Yudherthardere. I nie krzyczcie. Cała okolica nie musi wiedzieć o naszej obecności.

Krasnolud wzruszył ramionami, ale posłusznie zamilkł.

Kiedy dołączył do nich sapiący Toree, Yasa ruszył przed siebie, a za nim pozostali. Mimo panujących ciemności mag bez trudu odnalazł ścieżkę i teraz podążał nią, jakby doskonale wiedział, dokąd zmierza. Krasnolud ledwie za nim nadązał. Dysząc, trochę ze zmęczenia, trochę z narastającej wściekłości, patrzył na oddalającego się przyjaciela.

- Można by pomyśleć, że pan Yasa to wie, gdzie idziemy... – zaczął niepewnie kupczyk. – Tak mu się spieszy... Nie zabierze mi chyba królowny, co?

- Coś się mnie zdaje, że to nie o królownę chodzi... – warknął wściekle Sodi.

- Bo wiecie, nie chciałbym tatulka zawieść. Tak się na tę królownę cieszy. Tatu... – zawahał się. – Coś dziwnego się dzieje, czujecie?

- Znaczy co? – Zaniepokojony przerażeniem w głosie chłopaka, Yudherthardere odwrócił się. Akurat, żeby zobaczyć, jak Toree pada na ziemię niczym ścięte drzewo. Już chciał skoczyć ku dzieciakowi, ale wtedy i on poczuł coś dziwnego...

Yasa nie odwrócił się, choć usłyszał ciche przekleństwo i dźwięk upadających ciał. Uwagę maga bowiem przyciągnęły dziesiątki płomyków sunących ku niemu pomiędzy drzew.

Mag uśmiechnął się krzywo.

- Witaj, Keurie – powitał zimno kobietę prowadzoną przez świetliki.

- Yasa, mój drogi. – Słodkiemu tonowi przeczył chłód oczu pięknej istoty. Postąpiła o krok, a ogniki w jakiś nieokreślony sposób sprawiły, że ponury dotąd las nabrał miękkich, bajkowych tonów. – Ileż to już lat, przyjacielu? Będzie ze sto, może sto pięćdziesiąt?

- Pięćset dziesięć.

- Aż pięćset? – Uniosła brwi. – Tutaj czas tak wolno płynie... Nic się nie zmieniłeś. Może odrobinę zmężniałeś, ale wciąż jesteś pięknym młodym mężczyzną.

- Tobie również czas służy, moja droga. Nigdy nie byłaś piękniejsza.

- Och. – Roześmiała się perliście. – Jaki miły. Zawsze byłeś uroczy. To głównie dlatego tak cię pragnęłam. No i dla twej urody. Ona też nie była bez znaczenia.

Mężczyzna pochylił głowę, ale jego twarz pozostała obojętna.

– I ten dystans. Zawsze pragnęłam go usunąć. Z żalem stwierdzam, że to się nie zmieniło. Nadal cię pragnę.

– To miłe, Kuerie.

– No nie wiem. – Pokręciła głową. – I wtedy, i teraz to dość niebezpieczne pragnienie. Chociaż, jak rozumiem, teraz nie przeszkodzi mi Isina? Nie przybyłeś ze swoją uroczą cioteczka?

– Isina nie żyje.

Kobieta cofnęła się o krok.

– Naprawdę? Nie żyje? Ale jak?

– Zabiłem ją.

Wpatrywała się w niego zaskoczona.

– Ooo. Ale... skoro ona nie żyje?

– Też się zdziwiłem, moja droga. Zwykle, gdy umiera pierwotny mag, wszystkie rzucone przezeń czary przestają trwać. A tu, jak widzę, nic się nie zmieniło.

– Ano nie. – Podeszła do niego bliżej. Poczł jej zapach. Omamiający... Pamiętał ten aromat. Pamiętał dotyk tej skóry. Z trudem zapanował nad odruchem, by się cofnąć lub potrząsnąć głową.

– Jest jedno wytłumaczenie, drogi Yaso, ale pewnie już na nie wpadłeś, prawda? – Położyła dłoń na piersi mężczyzny. – Isina użyła nieco twojej mocy, by zamknąć zaklęcie. Żeby się uwolnić, muszę cię zabić.

Wzruszył ramionami i cofnął się lekko.

– Zapewne.

Uśmiechnęła się, po raz pierwszy szczerze.

– Rozumiem, że cieszy cię ta perspektywa? – zapytał chłodno.

– A jak myślisz? Trwam w tym strasznym, śpiącym miejscu od pięciuset lat, bo zachciało mi się igraszek z własnością pierwotnej czarownicy! Nie sądzisz, że mam prawo cię nienawidzić?

– A ty jesteś tylko biedną, niewinną ofiarą, Keurie?

Tym razem ona wzruszyła ramionami.

– To tylko ludzie, Yaso. Mięso i tyle. Zwabiam jednego od czasu do czasu, bawię się nim, a potem zjadam. Muszę jeść, a twoja cioteczka usunęła stąd wszystkie inne żywe stworzenia. Nie mają co narzekać, daję im najlepsze chędożenie w ich nędznym życiu. – Znowu położyła mu dłoń na piersi. – Zresztą sam się za chwilę przekonasz.

Szczupłe palce kobiety szybko rozsuptały troczki męskiej koszuli. Wsunęła rękę w rozcięcie materiału i westchnęła z rozkoszy.

– Oooch, marzyłam o tym od wieków. – Przesunęła wolno palcami wzdłuż napiętych mięśni mężczyzny, w dół brzucha, a potem zatoczyła opuszkami małeńki krąg, później większy i jeszcze większy. Przedłużała w milczeniu pieszczotę, oddychając przy tym ciężko i przygryzając co chwilę dolną wargę. Przysunęła twarz do twarzy Yasy i wyszeptwała: – Zostawiłabym ci wolną wolę, ale... Nie, żartuję, nie zamierzałam zostawiać ci wolnej woli. Tak jest pewniej... – Westchnęła głęboko, wsuwając dłoń w spodnie maga. – Zabawniej.

Poczuł niechcianą reakcję własnego ciała. Zaciśnął zęby, ale nie zdołał nad tym zapanować. Magia Keurie zawładnęła nim. Płonęła pod skórą nieproszonym požądaniem, przyspieszała bicie serca, rozgrzewała krew.

Kobieta dyszała, patrząc na swoją ofiarę. Popchnęła go lekko, a on bezwładnie upadł na plecy. Roześmiała się i jednym ruchem zerwała suknię.

Ciało miała piękne, idealne w kształtach.

– Teraz, mój piękny magu – szarpnęła spodnie Yasy, ściągając je z bioder – teraz mnie weźmiesz. Zrobimy to w tym samym lesie, w którym ta suka, Isina, nakryła nas pięćset lat temu. A potem zrobimy to jeszcze raz i jeszcze... Będziemy się chędożyć, aż drzewa będą się trząść. Doprowadzisz mnie do krzyku. Wiele razy, nim cię zabiję.

Dosiadła go, jęcząc z rokoszy, a potem poruszyła się. Powoli unosiła się i opadała. Jęk przeszedł w krzyk. Paznokcie darły ciało Yasy, a Keurie krzyczała. Wreszcie opadła z sił i przymknęła oczy.

To wystarczyło.

Krasnolud błyskawicznie wyszarpnął wystający z kieszeni leżącego Yasy jedwabny szal i nim kobieta zdołała zareagować, zaciśnął go wokół jej szyi. Aromat drzewa sandałowego nappełnił nozdrza Sodiego. Keurie wiła się, wrzeszcząc, a Yudherthardere z wolna tracił siły. Magia snu, która stopniała, gdy czarownica skupiła się na Yasie, ponownie brała go w posiadanie. Zaciśnął palce na jedwabiu...

– Yasa! Pomóżcie! – wysapał.

Mag potrząsnął głową, zepchnął kobietę z ud, a potem złapał długie końce szala i zaciśnął je z całych sił. Jedwab wcisnął się w szyję ofiary, a złoto, nic za nią, mknęło pod skórę, by zrosnąć się z ciałem. Ledwie kilka uderzeń serca, a szal i Keurie złąły się w jedno. Perłowe cząsteczki zaorańskiej materii połyskiwały na nagiej skórze. Coraz mocniej i mocniej.

Wreszcie perłowe światło napięło członki kobiety i uniosło ją. Yasa nie puszczał, a Keurie wciąż wrzeszczała.

Krasnolud patrzył. Jaśniejące piękne nagie ciało zawieszona tuż nad zieloną ścieżką i mężczyzna z opuszczonymi spodniami, trzymający je na uwięzi purpurowego szala

niczym latawiec.

– Ożeż kurwa – wyszeptał nabożnie Yudherthardere.

W tej samej chwili ciało rozbłysło, a wrzask kobiety ucichł. Tysiące pereł deszczem spadły na trawę, a za nimi powoli opadł jedwabny szal.

Yasa odetchnął. Podciągnął spodnie i spojrzał na Sodiego. Bez słowa skinął mu głową. Ten zaś, znając charakter maga, przyjął podziękowania po swojemu.

– Aż niech ja więcej pochedóżki nie zaznam, niezła z niej dupa była. – Wstał i otrzepał spodnie. – Jakby wam śmierci nie obiecywała... żal było ubijać.

Brwi maga uniosły się nieco.

– No wiem, kurwa, wiem. Ale chędożyła... aż zazdrość brała.

– Yudherthardere...

– No wiem, wiem... Więcej wspominać nie będę...

Yasa uśmiechnął się niedowierzająco.

– No może raz albo dwa... Znaczy ni ma Śpiącego Królestwa, co?

– Nie ma.

– A Perłowcy w mieście? Bo zdaje się wiecie, skąd oni.

– Isina zakłęta ich, by nikt nie uwolnił Keurie...

– Takem się zastanawiał, skądęście wiedzieli, żeby kupować zaorańskie jedwabie. To nimfa była? Nimfy ubija jedwab z Zaorii z proszkiem perłowym.

Mag skinął bez słowa.

Krasnolud rozejrzał się i naraz posmutniał.

– Jak ni ma królestwa, to tatulek naszego kupczyka pewnie nie zapłaci, co?

– Pewnie nie.

Sodi pochylił się i podniósł jedną z pereł. Podrzucił ją, a potem wsadził pomiędzy zęby i nadgryzł lekko.

– Prawdziwe – zdumiał się. Potem spojrzał na przyjaciela, kalkulując intensywnie. – Jak je pozbieram, to suka nie odżyje?

– Nie. – uśmiechnął się Yasa.

– To pozbieram. Co się mają marnować. Przynajmniej jakąś rekompensatę będziem mieli... za czas stracony. No i za te wasze niedoszłe chędożenie, co to wam nieboszczka obiecywała...

Zabrał się prędiutko do zbierania pereł i wciskania ich do kieszeni. Naraz podniósł głowę i spojrzawszy w miejsce, w którym pan Toree pochrapywał głośno, zapytał:

– A co powiemy gówniarzowi?

Yasa milczał przez chwilę.

– Powiemy mu – odpowiedział wreszcie – żeby słuchał matki, ożenił się z Halunką, zrobił jej dzieci i przestał się włóczyć po lesie z czarodziejami.

Krasnolud uśmiechnął się szeroko, tak brzydko, jak tylko Sodi Yudherthardere uśmiechać się potrafił.

– No dyć – potaknął. – Matki słuchać trza. Święta, kurwa, prawda.

A potem pochylił się z powrotem zbierać perły.

Bajki krasnoludzkie

Copyright © Małgorzata Lisińska

Copyright © Wydawnictwo Genius Creations

Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak

Copyright © for the cover art by Leszek Woźniak

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2020 r.

druk ISBN 978-83-7995-459-9

epub ISBN 978-83-7995-460-5

mobi ISBN 978-83-7995-461-2

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski

Redakcja: Iga Wiśniewska

Korekta: Małgorzata Tarnowska

Korekta techniczna: Beata Paździurkiewicz

Projekt okładki i adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski

Ilustracja na okładce: Leszek Woźniak

Skład i typografia: www.proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Kormoranów 126/31

85-453 Bydgoszcz

sekretariat@geniuscreations.pl

www.geniuscreations.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach www.MadBooks.pl

www.eBook.MadBooks.pl